

MARIA SZYSZKOWSKA

TYWÓRCZE NIEPOKOJE CODZIENNOŚCI

I. PRZEOBRAŻANIE CODZIENNOŚCI

Codziennosc jest wielowymiarowa. Dostrzega się to nieczęsto. Bywa, że żyjemy tylko na jednej z jej możliwych płaszczyzn. Inne, wzbogacające, tkwią w nas samych. Trzeba sobie uświadomić możliwości, które w sobie nosimy.

Poruszanie się w codzienności, jeżeli nie ma ona nas przygniatać – wymaga wysiłku wyobraźni, zdolności reagowania emocjonalnego. Na ogół nakreśla się cele, wybiegając w przyszłość, rozpamiętuje przeszłość, i w rezultacie z pola widzenia i świadomego kształtowania umyka teraźniejszość wraz z jej codziennym wymiarem.

Nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, co to znaczy codzienność, jakkolwiek nic nie jest tak bezustannie doświadczane przez każdego, jak właśnie ona. Codzienność łączy nas, chociaż poszczególne jednostki

odmiennie ją odczuwają. Z codziennością pod pewnym względem jest tak, jak ze smakami czy zapachami: trudno o zgodę, o ujednoczone oceny.

Już starożytny filozof, Demokryt, dowodził, że te jakości zmysłowe, podobnie zresztą jak i na przykład barwy, są subiektywne, są rezultatem sposobu reagowania naszych ludzkich zmysłów na podniety płynące ze świata poznawanych przedmiotów. Zależność doznań od budowy naszych organów zmysłowych jest bezsporna. Prawdopodobnie w analogiczny sposób trzeba wyjaśniać niemożność jednoznacznego określenia codzienności; jej obraz zależy od stopnia naszej wrażliwości i uczuciowości, od intensywności przeżywania, od naszej indywidualności, umysłowości, tęsknot, nadziei, fantazji, wyobraźni, upodobań i skali wartości.

Sposób patrzenia na codzienność jest uwarunkowany przez świat, w którym dana jednostka wzrastała. Mianowicie, od wczesnego dzieciństwa podlegamy kształtowaniu przez najbliższe otoczenie i w rezultacie widzimy i odczuwamy codzienność przez pryzmat zaszczepionych poglądów i wyobrażeń. W miarę wzrastania coraz bardziej tracimy zdolność spontaniczności, bowiem wciąż mocniej ciąży zaszczepiona w nas wiedza o tym, co powinno nas cieszyć, smucić, czy też, na przykład, co powinno nas zachwycać, co powinniśmy uznawać za słuszne i właściwe.

Czy na codzienność składa się jedynie praca zarobkowa, podróz w zatłoczonym tramwaju, zakupy, sprzątanie, słowem, wiele zajęć, których nieodmienny tok zaczyna się wraz z każdym dniem? Schemat czynności się powtarza, lecz każdy powinien odnajdywać w sobie siły do świadomego kształtowania codzienności. Właśnie w niej, o czym nie można zapominać, dzieją się wszelkie sprawy zasadniczej wagi. W niej przełamuje się to, co drobne i to, co znaczne.

Obserwując różnorodne kierunki ucieczki człowieka od codzienności, można zapytać: czy nie lepiej ten sam zasób energii i uporu przeznaczyć na

jej przekształcenie, wzbogacenie? Tadeusz Różewicz stara się wyjaśnić, iż koloryt codzienności dojrzeć mogą tylko ci, którzy w obozach i na wojnie przeżyli stan zagrożenia życia, miesiącami trwając w strachu, że każda chwila może być ostatnia. Tylko wtedy – gdy w przeszłości to się przeżyło – można w pełni pojąć, czym jest woda, czym jest powietrze...

Umiejętność dostrzegania piękna W tym, co zwykłe, zależy w dużej mierze od nas samych. Cecha ta nie tkwi w przedmiotach, lecz jest przejawem naszego stosunku do nich. Jest dodatkową charakterystyką przedmiotu, zbędną, na przykład, dla przyrodnika w jego pracy, lecz nieodzowną w życiu codziennym, w którym wciąż wartościujemy.

Umiejętność dostrzegania w codziennych sprawach i zdarzeniach czegoś niemałego nie wyraża minimalizmu. Warto podjąć wysiłek odnajdywania kolorytu w tym, co określamy mianem szarżyzny życia. Warto osiąść umiejętność radowania się zwykłymi czynnościami. Nawet palenie w piecu – czynność w powszechnym mniemaniu męcząca i uciążliwa – może stać się źródłem radosnych wzruszeń; płonący ogień zaspokaja atawistyczne poczucie bezpieczeństwa, koi trzask drzewa obejmowanego przez płomień. Codziennosci tylko my nadajemy znaczenie i wartość, podporządkowując ją naszej wyobraźni i innym cechom osobowości.

Codziennosc łączy, zbliża. Ale prawdą jest również, że każdy tworzy swoją własną codzienność. Stąd odczucie izolacji. Stąd trudność porozumienia się z innym człowiekiem. Wprowadzie wzajemnie do siebie mówimy, lecz rzadko się słyszymy. Nawiązując do słynnego obrazu *Powidok słońca* Władysława Strzemińskiego i jego teorii unizmu, można powiedzieć, że jednostki różnią się między sobą powidokami codzienności. Malując powidok słońca – a nie jego widok – Strzemiński chciał oddać wnętrze oka spoglądającego ku słońcu.

O codzienności decyduje właśnie obraz w człowieku, jak również

stopień dynamizmu, z jakim wychodzimy jej naprzeciw.

Nie mogę zgodzić się interesującą skądinąd postawą wobec codzienności, która wyłania się z *Dziennika Annais Nin*: „Zawsze uważałam, że w szaleństwie jest coś świętego, poetyckiego, wręcz mistycznego. Oblęd to przecież negacja codziennego życia, próba wyzwolenia się, wyniesienia ponad nie, oderwanie się od Doli Człowieczej”. Odległa od mojej jest ta postawa pisarki. Stwierdza ona, że codzienność ją nie interesuje. Szuka tylko momentów niezwykłych. Odwracając się od codzienności, Annais Nin ujawnia jednak jej bogactwo i tajemnicę.

Codziennność, a raczej jej powidok w nas, ulega zmianom i rozwojowi, w miarę jak przekształcamy a nawet porzucamy nasze wczorajsze „ja”, podlegając rozwojowi. Jej obrazu w nas nie możemy konstruować dowolnie. Kąt widzenia zależy od nas samych, tj. od właściwości naszej struktury psychicznej.

Nie łączy jednostek jedynie to – mówiąc słowami W. J. Kasińskiego (*Na jednym pionie*) – że „dymy swych ognisk odprowadzają do jednego komina. Że piją wodę z jednego źródła, z tej samej rury wodociągowej. A inną rurą, też wspólną, odpływają ścieki. Ze swoje odpadki wyrzucają na wspólny śmietnik. Że żyją pod jednym dachem krytym blachą”. Łączy je codzienność, której wspólnie nadają kształt w wymiarze społecznego życia.

Brak wyobraźni jest dotkliwym niedostatkiem, zmusza bowiem do prozaicznego bytowania, w którym nie ma miejsca na wielowymiarowość. Stany neurotyczne komplikują obraz codzienności, ale zarazem sprowadzają ją głównie do jednego wymiaru (neurotycznego). To samo – z większym nasileniem – dzieje się w przypadkach obsesji.

Trzeba pamiętać o trudności, jaką niesie ze sobą przekładanie spraw przekraczających wymiar potocznego doświadczenia na język

zwykłego dnia. W nadawaniu głębszego sensu własnej codzienności jesteśmy podobni do Pigmaliona; pełnimy rolę stwarzającą. W tym procesie, angażującym emocje i wyobraźnię, tzw. zdrowy rozsądek nie powinien stanowić instancji odwoławczej. Nie możemy pozwolić sobie na onieśmienie wobec jego racji.

Od nas zależy kształt codzienności. Stąd wynika zobowiązanie do czynnej postawy wobec życia. Nie wystarcza postawa obserwatora. Nic nie stoi na przeszkodzie, by tworzyć odświętny rytuał zwykłego dnia. Zwykłą kolejność powszednich obowiązków i czynności nasycać troskliwym przeżywaniem. Wymaga to wyrwania się ze stagnacji. Warto zastanawiać się nad sobą i nad kształtem swej codzienności.

Jeśli komuś brak wyobraźni i zdolności inspirowania własnej płaszczyzny codzienności, to odczuwa czasem niedosyt bodźców. W każdym razie, wrażliwość większa od przeciętnej wymaga dużej dozy wrażeń ze świata. Nowych napięć psychicznych.

Wojna tym, którzy ją przeżyli, przyniosła nowe problemy. Potrzebę wielkich czynów, zarazem sprawdzianów, i niezdolność do trwania w przeciętnych „normalnych” warunkach. Bo jak pogрузić się bez reszty w drobiazgach teraźniejszości, gdy przeżyło się bombardowanie Warszawy, Zieleniak pełen nacjonalistów ukraińskich czy ucieczkę na Wschód, aż gdzieś po Ural?

Nawet wówczas gdy zdarza się coś niezwykłego, pozostajemy w naszej codzienności, z której nie jesteśmy w stanie się wyrwać. Wszystko, co przeżywamy – w niej się zamyka. Pozostaje więc nam ćwiczyć się w prawidłowym jej odbiorze, w patrzeniu na rzeczy codzienne tak, jakby widziało się je po raz pierwszy. Pomaga to w utrzymaniu pożądanego stanu psychicznego, który można by określić jako zdziwienie tym, co nas otacza.

Nie sposób przekroczyć codzienności; można ją tylko widzieć

wielobarwnie bądź jednobarwnie. Zależy to od umiejętności. I każdy w tej nauce jest dla siebie zarazem uczniem, i mistrzem.

II. BUNT

Bunt to postawa życiowa, przypisywana zwykle tym, którzy działając w szerokiej skali odniesień, zamierzają przekształcać, na przykład, układy społeczne. Jednakże zadaniem każdego, w jego własnej codziennej skali, jest wyzwalenie się, kształtowanie w sposób obcy konformizmowi i oportunizmowi.

Nie jest dobrze, gdy postawa buntu mija wraz z osiągnięciem tzw. dojrzałości i stabilizacji. Idzie wszak o to, by rzeczywistość przystosować do własnych coraz lepiej uświadamianych potrzeb – nie zaś odwrotnie. A więc, trzeba się buntować nie tylko w okresie biologicznej młodości.

Kultura, w której przychodzimy na świat i zgodnie z nią odbierane wychowanie, dają nam wzory życia I uczą rozwiązywać cały szereg naszych problemów; wystarczyłoby powielać gotowe wzory. Można, oczywiście, nie podejmować żmudnego procesu przewartościowywania wartości, ale tylko wtedy, gdy biernie przejmie się zastane wzorce. To nęci. W każdym z nas tkwi pewna ociążałość, lenistwo, niechęć do wysiłku. Już dawno Kant wyraźnie ujawnił tę stronę człowieka.

Jednakże funkcja kultury, przystosowująca do ogółu za cenę poddania się jej wzorcom, budzi niepokój uzasadniony tym, że zabija wewnętrzny autentyzm i zwalnia z odpowiedzialności za swoje życie. Jest to wygodne, lecz niebezpieczne. Można żałować tego poddania się, kiedy późno i trudno już zaczynać inaczej, po swojemu.

Stąd właśnie pozytywny sens buntu, który skutecznie przewycięża naszą tendencję do marazmu i budzi potrzebę szukania własnych dróg.

Jego negatywnych cech nie należy przeceniać chociażby dlatego, że każdy z nas ma w sobie uczucia agresywne. Idzie więc o to, by skanalizowane przez bunt – dały oczekiwane rezultaty.

Paradoksalnie może zabrzmieć stwierdzenie, że jeśli idzie o tendencje przystosowujące do kultury, to jedynie mechanizmy adaptacyjne kultury nędzy nie wymagają – moim zdaniem – odruchów obronnych. Zawiera się bowiem w tej kulturze głęboka tolerancyjność. Nie spycha ona na margines tkwiącej, w każdym z nas słabej bądź silnej potrzeby przewartościowywania na swój własny sposób wszelkich wartości.

Socjolog amerykański, Oscar Lewis, przeprowadził interesujące badania w slumsach wśród ubogich Portorykańczyków i na tej podstawie scharakteryzował w przedmowie do swojej książki kulturę nędzy, trwalszą, jak słusznie zauważył, od samej nędzy. Rozwija ona w jednostkach pewne pożądane właściwości, a przede wszystkim umiejętność życia terażniejszością. To z kolei może „rozwinąć w człowieku spontaniczność, smak przygody, tego, co dają zmysły, pobłażliwość wobec impulsów, czyli cechy często tłumione w klasie średniej przez ludzi myślących o swojej przyszłości. Być może właśnie realność chwili, którą pisarze egzystencjaliści tak rozpaczliwie próbują uchwycić, w kulturze nędzy jest zjawiskiem naturalnym i pospolitym”.

Kultura nędzy wykazuje najmniej tendencji deformujących indywidualność jednostek, bowiem nie wzbudza wysokich aspiracji, nie wywiera nacisku, by „stawać się kimś”, a więc pozwala pozostawać sobą i nie rodzi w związku z tym kompleksów. Jednostka, żyjąc w kulturze nędzy – co nie znaczy, że w nędzy – znajduje w niej usankcjonowanie własnych hedonistycznych potrzeb. Nie wstydzi się radości płynących z doznań sensualnych i nie usiłuje przetworzyć siebie – co bywa najzupełniej, zresztą, niepotrzebne i szkodliwe – w funkcję rozumu, możliwie najpełniej uwolnioną od uczuć.

Sposób życia podsuwany przez kulturę nędzy nie zabija, jak widać, zdolności do spontanicznej radości i umiejętności trwania w terażniejszości. Nie trzeba wobec tego wytwarzać w sobie postawy buntu, skoro ta kultura nie wywiera presji w kierunku wyzbycia się własnej indywidualności. Tworzy ona mentalność i podstawę wobec życia bliską widzeniu świata przez cyganerię artystyczną.

Być twórcą w jakiegokolwiek dziedzinie to zarazem znaczy być buntownikiem. Tym, który się nie zgadza na dotychczasowe, utrwalone wartości w kulturze i szuka innych dróg. Ci, którzy tworzą historię ludzkości – jako jednostki wybitne, a nie tylko jako część masy – też byli i są buntownikami. Inaczej nie wniesliby nowych wartości czy nowej miary do oceny tego, co zastali.

Camus odnajdował w buncie istotę życia i stwierdzał, że „nie można go negocjować nie wyrzekając się życia”. Wyjaśniał, „honor buntu jest w przekreśleniu wszelkich kalkulacji, w ofiarowaniu wszystkiego życiu i żyjącym braciom. Oto jego hojność dla ludzi. Prawdziwa wielkoduszność wobec przyszłości polega na oddaniu wszystkiego terażniejszości”.

A życie człowieka – niebuntownika. Kogoś, kto nie ma odwagi na swój sposób pokierowania własnym istnieniem i ucieka też od współodpowiedzialności za los innych? Nie wydaje się, by takie życie przynosiło głębokie zadowolenie i poczucie sensu, chociaż jest niewątpliwie znacznie łatwiejsze. Trzeba włączać się w sprawy ogółu, nie ograniczać do problemów własnej egzystencji po to, by odnaleźć poczucie sensu i trwałe zadowolenie z życia. Taki wybór nieuchronnie spleta się z postawą przeciwną koniunkturalizmowi, jest bliższy postawie indywidualnego buntu wobec nieprawości i niesprawiedliwości świata. Bunt, niezgoda na kompromis, uświadamia nam, jacy jesteśmy naprawdę. Nie chodzi tu o to, by ubierać się w sposób odmienny niż chcieliby rodzice bądź na złość kształcić się w innym kierunku niż rozsądnie

proponowany, lecz o to, by wszelkie modele życia weryfikować i niczego nie przyjmować w drodze bezmyślności, biernego naśladownictwa. Żeby buntować się wobec kultury, trzeba dobrze ją poznać i cenić.

Człowiek nie zbuntowany, często z trudem dostosowujący się do wzorów i mentalności otoczenia, przypłaca swój wysiłek i fałsz wewnętrznymi nerwicami i psychonerwicami. Z trudem daje sobie radę. Bywa niezadowolony z siebie. Szuka ucieczki w alkohol, w narkotyki. Jest słaby, zbyt słaby, by stawić czoła światu, i w rezultacie słabość prowadzi go do samozniszczenia.

Z buntem wiązać trzeba optymizm. Zdawać sobie sprawę z tego, co tak mądrze wyraził Camus, a mimo to buntować się nadal. Bunt nieustannie napotyka zło, z którego musi czerpać siły do nowego zrywu. Trzeba zdawać sobie sprawę, że ludzie będą nadal umierali niesprawiedliwie, nawet w doskonałym społeczeństwie. Przy największym nawet wysiłku człowiek może zmierzać jedynie do zmniejszenia, nie zaś usunięcia cierpienia świata. Niesprawiedliwość i cierpienie będą istniały zawsze. „Dlaczego?” Dymitra Karamazowa będzie rozlegało się nadal, jak pisze Camus.

Buntem jest niezgoda na obserwowany tak często fałsz w stosunkach między ludźmi, na obłudę i kłamstwo, na obojętność wobec ludzkiego cierpienia, na podstęp i podłość w dążeniu do pieniędzy i kariery, na kliki zamykające drogę ludziom utalentowanym.

Bunt jako spontaniczna postawa jest właściwy młodości, bowiem wrażliwość i świeżość spoglądania na ludzkie sprawy powoduje, że pragnie się uniknąć utartych dróg i nie naśladować innych. Pragnie się lepiej i jest się szczególnie uczulonym na obłudę świata dorosłych. Dobrze jest, gdy również i w następnych latach życia pozostaje taka jasność widzenia i żywość odczuwania. Gorzej, gdy ktoś przyjmuje w życiu postawę, której symbolem jest Piotr z *Wojny i pokoju*. Tołstoj pisał, że Piotr „wyczuwał

w sobie ową nieszczęsną zdolność wielu ludzi, zdolność widzenia Dobra i Prawdy i wiary w ich istnienie, lecz jednocześnie jasnego widzenia zła i kłamstwa w życiu, zbyt jasnego na to, by odważyć się wziąć w nim poważny udział”.

Pisarzem, dramaturgiem, który bunt podnosi do rangi najwyższej w swojej twórczości jest – poza Camusem – niewątpliwie Ibsen. Budzi swoją twórczością odwagę do tego, by żyć według własnych zapatrywań i odważnie występować przeciw złym tradycjom i przesądom. Jego bohaterowie „cierpią na ostrą gorączkę prawości”. I mają odwagę – inna sprawa, na ile dyskusyjną – odbierać bliźnim kłamstwo ich życia.

Postawa buntu stawia wysokie wymaganie przede wszystkim w stosunku do siebie samego, bo inaczej bunt byłby nieszczerzy. Nie można innym odbierać kłamstwa ich życia, jeżeli tkwi się w nim samemu. Trzeba równocześnie głęboko rozumieć innych a zarazem być bezkompromisowym. Bowiem, jak słusznie zauważył Romain Rolland w *Duszy zaczarowanej* zrozumieć wszystko – znaczy nie móc działać.

Postawie buntu staje na przeszkodzie – poza wygodnictwem, które wyraża się w biernym przystosowywaniu do opinii ogółu i unikaniu w ten sposób odpowiedzialności – nawyk posłuszeństwa, wyrabiany w każdym z nas od dziecka. Tak więc naturalne tendencje do buntu w okresie młodości muszą być później pogłębione. Idzie bowiem o bunt dojrzały, a nie o powierzchowne „jesteśmy przeciw wszystkiemu”. Bunt wymaga poznania siebie i poznania życia. Kształtuje charakter jednostek, domagających się respektowania i urzeczywistniania tego, co słuszne. Opinii w tej mierze bywa wiele, lecz liczy się wewnętrzna prawda.

III. GDZIE SZUKAĆ POMOCY?

Literatura piękna przyzwyczają nas od kilku dziesiątek lat do wdrażania się w strukturę psychiczną bohaterów, którzy mogliby się stać interesującymi obiektami badań psychiatrów. Pisarze często opisują w swych powieściach ludzi w sytuacjach granicznych, ludzi-wraki, indywidua „pokręcone”, niemal przypadki z klinik psychiatrycznych. Pisarze, sięgając do takich przykładów, ujawniają podstawowe prawdy dotyczące istnienia człowieka w świecie. One bowiem oraz bohaterowie powieści, ustawieni w sytuacjach granicznych, wyrażają najostrej człowieczeństwo w przerysowaniu tego, co obserwujemy w codziennym świecie ludzkim. Postaci Becketta czy bohater *Samotnika* Ionesco ujawniają w jaskrawym skrócie, najczęściej przez zanegowanie, wartości najwyższe, dla których wayto w życiu ponosić klęski. Czytanie tych dzieł odsłania istnienie w świecie, pozbawione złudzeń i ozdobników, i wstrząsając – uczy je cenić i wykorzystywać upływający czas. Uczy odpowiedzialności za własne życie i świadomości, że podjąwszy działania, powinniśmy czuć się odpowiedzialni za każdego człowieka, stwarzając niejako wzór postępowania.

Znikanie z księgarni książek polskich psychiatrów i psychologów oraz tłumaczeń dzieł Fromma, Junga, Jacobi, Horney czy Frankla mówi o tym, że wielu potrzebuje pomocy. Wskazuje, że pytania, „jaki właściwie jestem?”, „jaki kształt nadać swemu istnieniu?” etc. , nurtuje nas, wzmagając poczucie zagubienia i osamotnienia. Myślę, że samodzielne studiowanie takich prac dzieje się nie zawsze z pożytkiem dla czytelników. Nie dysponując solidną wiedzą psychiatryczną czy psychologiczną, mogą oni – ze szkodą dla siebie – wyolbrzymiać jedno stwierdzenie książek z pominięciem innych, zawartych w tym samym tomie lub w całości

wiedzy.

Dlaczego książki te mają aż tak wielkie powodzenie? Czyżby interesowało nas rzeczywiście tak bardzo zobaczenie własnej twarzy w krzywym zwierciadle?

Każdy z nas ma problemy z sobą samym. Wewnętrzne konflikty i rozdarcia nie są stanami znamionującymi tylko rozterki młodzieńcze. Zewnętrzne konflikty, podobnie jak wewnętrzne, towarzyszą nam przez całe życie. Ale czy zawsze mamy się do kogo zwrócić? Różnica w sytuacji człowieka dorosłego i młodzieńca wyraża się w częściej bezradności tego pierwszego. Młodzież, przynajmniej formalnie, ma do kogo się zwracać ze swymi problemami; jest to jedno z podstawowych zadań do spełniania przez opiekunów. Lecz gdzie mają szukać pomocy dorośli? Czy rzeczywiście poprzez zaburzenia, podlegające zainteresowaniu psychiatrów, dochodzić mają do pełniejszego rozumienia własnej struktury psychicznej?

Tak się jednak dzieje, że w rozwiązywaniu problemów swego istnienia każdy jest zdany, niestety, na siebie. Rzadko znajduje pomoc. System kształcenia i system wychowawczy nie są źródłami tej wiedzy. Rady rodziców – które mogłyby spełnić swe zadanie – przyjmowane są niechętnie. Zresztą, często rodzice nie potrafią ich udzielić.

Pozostaje wiedza naukowa. Nie ma rozpraw z filozofii człowieka, z których wynikałyby wnioski pomocne w przewycięzaniu psychicznych trudności naszej egzystencji. Stąd zwrot ku rozprawom psychiatrycznym i psychologicznym, zwłaszcza że poza nimi nie bardzo mają gdzie się zwrócić ci, którzy rady oczekują.

Nie wskazane jest wszak – przykładowo – czytanie książek medycznych przez laików, bowiem odznaczający się dużą wrażliwością czytelnik odnajdzie w nich cały szereg schorzeń, które przypisze sobie. Jakież więc może powstać niebezpieczeństwo, gdy ktoś zacznie studiować

bez należytego przygotowania książki Kępińskiego czy Freuda! Ta zaznaczająca się dziś powszechnie droga: przez psychiatrę, tzw. , najogólniej, humanistyczną, do problemów człowieka zdrowego jest nam niejako narzucona ze względu na brak filozoficznych rozpraw, pisanych w przystępny sposób, podejmujących problemy związane z istnieniem.

Być może to zaniedbanie – tj. brak rozpraw poświęconych kwestiom sensu życia, cierpienia, nadziei, miłości, przyjaźni, fantazji, samotności, problemom modelu życia i hierarchii wartości – spowodowane jest tym, że problemy te wydają się nienaukowe. Silne u nas tradycje filozofii pozytywistycznej uczyniły powyższe tematy wręcz wstydliwymi, nadającymi się do odświeżonych konwersacji, nie zaś do poważnej refleksji.

W rezultacie stajemy wobec paradoksu: mając trudności typu intelektualnego, odnajdujemy bez trudu pomoc w bibliotekach, w przeróżnych informatorach i encyklopediach, odnajdujemy tę pomoc u profesjonalistów oraz w systemie szeroko i wielorako rozbudowanego nauczania. A co mamy począć, gdy przeżywamy trudności inne niż poznawcze: emocjonalne czy w ogóle związane z istnieniem w świecie? Co mamy począć, gdy nie umiemy nawiązać kontaktu z otoczeniem, gdy nie umiemy uporać się sami z naszą rozpaczą, smutkiem bądź problemami światopoglądowymi?

Nikt z nas nie jest samowystarczalny. I z kolei też nie zawsze możemy znaleźć wokół kogoś, kto mógłby nam pomóc. Książek z literatury pięknej o człowieku pogrążonym bezradnie w labiryncie własnego istnienia – nie brak. Potrzebne są wszak książki-drogowskazy.

Mamy więc cały arsenał porad oraz instytucji mających oświecać. Jednakże wciąż nie wyprowadziło się praktycznych wniosków ze współczesnej wiedzy psychologicznej, która wyjaśnia, że uczucia są ściśle związane ze wszystkimi działaniami człowieka i ważą na

naszym postępowaniu nie mniej niż racje rozumowe. Nie ma stanów wolnych od współobecności uczuć i zarazem niewiele robimy w tym kierunku, by kształtować poziom reakcji emocjonalnych. A przecież kultura uczuciowego reagowania na świat określa kształt naszego człowieczeństwa.

Nikt z nas w żadnym momencie swego życia nie powinien stwierdzić, że jest gotowy, uformowany, doskonały (ma swą miarę). Istnieć to znaczy się rozwijać. I znów rozwój intelektualny jest starannie przez społeczeństwo przygotowany i zabezpieczony powołaniem instytucji, w tym szeregu kursów doskonalących, na przykład, w określonych zawodach. Nie pozostawia się tu jednostek ich własnej inicjatywie i ich własnej dobrej woli.

Natomiast troskę o prawidłowy rozwój osobowości pozostawia się przypadkowi. Nie ma szkół kształtowania charakteru. Nie ma kursów podnoszących uczuciowe reakcje na wyższy poziom. I wskutek tego każdy doświadczać musi podobnych błędów i omyłek, co jego praszczurowie. Każdy, będąc zdany na siebie, odkrywa na nowo dawne, odnalezione w doświadczeniu innych, stare prawdy. Każdy rozpoczyna trud od początku.

Jerzy Gąsiorowski w rozważaniach o prowokującym tytule, *Czy lepiej być wariatem, czy normalnym?*, stwierdza, że uleczyć innego człowieka można przede wszystkim miłością i „trudno wymagać od psychiatry, aby był zdolny do miłości dla wszystkich swoich pacjentów”. Działania zrationalizowane, naukowe, które pozostają psychiatrze, nie mogą przynieść wyników, jakich spodziewa się on i jakich oczekują jego pacjenci.

Masowe, jeśli chodzi o niektóre inne kraje, grzebanie się w podświadomości jednostek budzi u wielu niepokój. Manipulowanie człowiekiem, jego świadomością, uczuciem i wolą (używając nazewnictwa tradycyjnego), każe postawić pytanie: kto właściwie

powinien mieć prawo i pod jakimi warunkami do wyjątkowego przecież przywileju przekształcania innych? Zamiast adaptować się sztucznie i higienicznie przy pomocy psychoterapeutów do rzeczywistości, która bywa zwariowana – pisze Jerzy Gąsiorowski – wolę w niej być normalnym znerwicowanym człowiekiem.

Ci, którzy poszukują rozpraw psychologicznych i psychiatrycznych, zapewne najbardziej oczekują odpowiedzi na pytanie, jaki wzorzec człowieka proponują autorzy i jakie są drogi jego osiągnięcia. Są to ludzie mający kłopoty z sobą bądź konflikty z otoczeniem. Chcą sami temu zaradzić, chcą lepiej poznać samych siebie i trafniej sterować własnym życiem. Ale czy muszą w tym celu wnikać w stany patologiczne?

Wątpliwość ta ma podstawę również i dlatego, że pytania, co leczyć, jak leczyć i co jest stanem normalnym, stanowią w świecie psychiatrów oraz psychologów przedmiot dyskusji. Wciąż zarysowują się nowe stanowiska. A więc, po co wprowadzać każdego, kto oczekuje pomocy i pozostaje w granicach tzw. normy W świat chorób i różnorodnych na ich temat opinii? Jest to niebezpieczeństwo duże, zwłaszcza dlatego, że znaczna większość psychiatrów i psychologów jest przekonana, iż wyraża prawdę nie tylko o człowieku chorym, ale o człowieku w ogóle.

Obcowanie z patologią nie dla każdego jest wskazane. Czy pragnęłabym wobec tego postulować wprowadzenie ograniczenia wolności pisarza do opisu pozytywnych i zarazem zdrowych psychicznie bohaterów? Na pewno nie. Ale ta, naszkicowana wyżej, sytuacja, odnosząca się do sposobu odbioru dzieła, wymaga szczególnego namysłu. Zwłaszcza, że nie tylko o utwory literackie tu chodzi.

Jeśli ktoś nazwałby bohaterów wielu sztuk czy powieści XX wieku jednostkami patologicznymi, to zakładając na moment prawdziwość tego stwierdzenia, pragnę podkreślić, że obcowanie z nimi może się jednak okazać tylko pozytywne dla naszego własnego życia.

Natomiast literatura naukowa, ta, której tak bardzo poszukują obecnie czytelnicy, opisuje stany w dosłownym znaczeniu patologiczne, stykające się z którymi jest niewskazane, zwłaszcza dla cierpiących na nerwice czy psychonerwice. Takie opisy są niezbędne jedynie dla specjalistów.

Nawet przy chorobach somatycznych lekarze nie zalecają zgłębiania ksiązek medycznych przez pacjentów; cóż dopiero mówić przy zakłóceniach w sferze psychiki. Nikt rozsądny nie będzie negował konieczności publikowania specjalistycznych prac psychiatrycznych i psychologicznych. Przeciwnie. Zapewne, jest ich wciąż mało. A jeszcze mniej jest ksiązek naukowych o sensie i sposobach istnienia, pisanych dla ludzi zdrowych, którzy ich szukają.

Pewne współczesne szkoły W psychiatrii i psychologii przyjęły nazwę „humanistycznych” czy „antropologicznych”, ażeby podkreślić, że dostrzegają niepowtarzalność człowieczeństwa i prawo jednostki do bycia sobą w każdej grupie i w każdym układzie społecznym. Można tu zauważyć, iż w filozofii Kant już w końcu XVIII wieku wprowadził pełne treści pojęcie człowieczeństwa, jako celu samego w sobie. Szkoły dziś formułują postulaty o charakterze etycznym, uczą odpowiedzialności za własne życie i prawidłowych kontaktów z drugim człowiekiem. Poruszają, w oparciu o analizy psychiatryczne, problemy istnienia człowieka w świecie.

Bliski mi jest niepokój zawarty w artykule Adama Podgóreckiego, opublikowanym w „Zdrowiu Psychicznym” (1976 nr 2): „na jakich założeniach teoretycznych i w imię jakich wartości – pyta autor – wpływa się na zmianę profilu osobowości za pomocą psychoterapii, psychoanalizy itd. ? „, Zdarza się, wypada dodać, że ci, którzy zajmują się leczeniem innych, sami bywają bezradni wobec problemów własnego życia i – co znacznie gorsze – ich relacje z innymi pełne są konfliktów, a nawet zakłamania. Nie cytuję konkretnych przykładów.

We wspomnianym artykule Podgórecki podkreśla „brak dostatecznego metodologicznego uzasadnienia statusu naukowego praktycznych nauk psychiatrycznych” i jednocześnie pełnienie przez nie istotnej funkcji społecznej. Co więcej, praktyczne nauki psychiatryczne stwierdza Podgórecki – systematycznie manipulują podmiotami ludzkimi, , ... i te dokonują tych manipulacji nie zdając sobie dokładnie sprawy z punktu widzenia jakich wartości są one podejmowane”.

Szukanie w pracach psychiatrów i psychologów odpowiedzi na trudności związane z istnieniem znajdowałoby jedynie uzasadnienie w dyskusyjnej teorii Szasza. Mianowicie, zdaniem wymienionego uczonego, choroba psychiczna nie istnieje. Jest czymś realnym „... dokładnie w tym samym sensie, jak kiedyś realne były czarownice”. I w innym miejscu: „choroba psychiczna odnosi się do wydarzeń socjopsychologicznych, na które otoczenie społeczne wywiera decydujący wpływ”. Można by więc twierdzić, że skoro, zdaniem Szasza, „współcześni psychoterapeuci mają do czynienia z problemami życia, a nie z chorobami psychicznymi i ich leczeniem”, to wobec tego tzw. zdrowi psychicznie mogą, zgłębiając ich książki, osiągać poszukiwaną przez nich wiedzę o życiu.

Stanowisko Szasza jest radykalne, gdy głosi on, że to, co ludzie nazywają chorobą psychiczną, polega głównie na k om unikatach, wyrażających niemożliwe do zaakceptowania idee, często ujęte w niespotykane formy słowne, polega na zachowaniu nie respektującym pewnych norm etycznych, politycznych i społecznych.

„Tłumaczy to – pisze w *Micie choroby psychicznej* – czemu pewnym postaciom historycznym, począwszy od Jezusa, a skończywszy na Fidelu Castro, i od Hioba do Hitlera, stawiano diagnozę, że cierpieli z powodu takiej czy innej choroby psychicznej”.

Podobne stanowisko zajmuje w *Schizofrenii jako ideologii* Thomas J. Scheff: „Używając autorytetu nauki do etykietowania nonkonformizmu

jako choroby psychicznej, medycyna sankcjonuje tym samym społeczne *status quo*". Jednakże ten przekorny punkt widzenia Szasza i Scheffa wprowadzający niewątpliwie pewne momenty poznawcze, budzi uzasadnione opory jako zbyt jednostronny. Słynny eksperyment Davida L. Rosenhana, polegający na umieszczeniu w szpitalach psychiatrycznych grup pseudopacjentów, wykazał wprawdzie, że w szpitalach tych nie umie się odróżnić zdrowych psychicznie od chorych, nie przekonuje, iż chorych w ogóle nie ma. Podobnie nie można twierdzić, że chorób psychicznych nie ma, opierając się na tym, że wciąż trwa dyskusja wokół tematu co to jest zdrowie psychiczne?

Poszukiwanie przez szeroki ogół czytelników pomocy przy rozwiązywaniu problemów własnego istnienia w pracach wielu współczesnych psychologów i psychiatrów jest pośrednio zwrócone ku filozofii. Niektóre z tych prac stanowią kontynuację egzystencjalizmu, i wpływ tej filozofii na psychiatrię nie ustaje (Maslow, Rogers, Frankl, Laing). Wymienieni przykładowo autorzy-psychiatrzy tworzą swoiste i różnorodne powiązania tej filozofii z rozważaniami psychoanalitycznymi i z metodami psychoterapeutycznymi.

Szerząca się wiedza o patologii skierowuje jednak uwagę czytelnika na tory niewłaściwe i może stawać się wręcz źródłem osłabiającym aktywność, usprawiedliwieniem własnej bierności w obliczu poznawanych w książkach dewiacji, a nawet może powodować doszukiwanie się w sobie samym stanów, których w rzeczywistości się nie doznaje.

Dlaczego jednak to znikanie z księgarń książek Junga, Horney, Jacobi, Frankla – by poprzestać na wymienieniu kilku nazwisk autorów obcych – uznaję zarazem za zjawisko budzące optymizm – mimo negatywnych stron, które starałam się zarysować? Otóż świadczy ono o pogłębieniu refleksji nad własnym istnieniem, o szukaniu celów przekraczających wymiar codziennego doświadczenia i o uporczywie stawianym pytaniu:

jak żyć? Optymizm – bowiem potrzeby te są własnością znacznie szerszego ogółu, niż zwykło się to przyjmować.

Póki nie było telewizji, póki środki masowego przekazu nie podważyły autorytetu ludzi starych, póki młodzi – jak to ma miejsce dziś w niektórych azjatyckich krajach – słuchali uważnie przekazów swoich dziadów, kształtował się w ten sposób charakter Wnuków. Z tego dzielenia się własnymi doświadczeniami płynęło wiele wskazań formujących osobowość, a nie tylko intelekt. Telewizja nie może zastąpić bezpośredniego, osobistego kontaktu, choćby podawała modele życia do naśladowania również i w sferze emocjonalnej.

Nikt, może, tak wyraźnie, jak Jerzy Grotowski, nie odczytał konieczności powołania instytucji, która by służyła pomocą zdrowemu człowiekowi, skłopotanemu sobą samym i swymi związkami ze światem. Powstał kilka lat temu Konsultacyjny Ośrodek Rozwoju Twórczego w Warszawie, przeznaczony głównie dla twórców. Niestety, istniał krótko. A miał właśnie na celu pomagać w rozwoju wewnętrznym.

Każdy w pewnym okresie swego życia pragnąłby podejmować usiłowania na miarę zamierzeń Kordiana. I w tym trzeba umieć dopomóc. Zwłaszcza wtedy, gdy skutki podjętego odważnie dzieła przekraczają wytrzymałość jego twórcy. Wciąż, nieustannie, aż do śmierci, która przerywa nasze wysiłki, musimy się uczyć, jak żyć. A poznanie stanów patologicznych nie może być uznane za środek najwłaściwszy w tym procesie.

Gutenberg uprzystępniał swym wynalazkiem całokształt piśmiennictwa. Pozwala to kształtować się każdemu wielostronnie. Nie pozostaje się pod ciśnieniem jednego tylko poglądu. Można wyrabiać w sobie własną ocenę. Ale właśnie ową rozpiętość możliwych punktów widzenia czynić może nieraz jednostkę bezradną w obliczu równosilnych sądów. Rozprawy psychiatrów w tym wypadku również nie stanowią właściwej instancji

odwoławczej.

Sięganie do filozofii codzienności (zob. rozdz. XXXVI) byłoby rozwiązaniem najwłaściwszym. Może ta dziedzina filozofii – zaistniawszy – byłaby zdolna unieść ogrom problemów człowieka w jego zwyczajnej, a także trudnej czynności.

IV. APROBATA

Sztuka kochania siebie to problem, wobec którego każdy jest stawiany, choćby go tak nie nazywał, bowiem nikogo nie omija Kierkegaardowskie „albo-albo”. Jest to zagadnienie trudne do rozwiązania, ponieważ powszechnie funkcjonuje przekonanie o tym, że mamy kochać innych, nie zaś siebie. Siebie Kochamy na ogół skrycie. Postawę kochania siebie zastępujemy deklaracjami o służbie dla innych. Nie chcemy we wzniosłych postawach, określanym mianem altruistycznych, dostrzec wysublimowanej miłości własnej. Scott, robiąc wyprawę na biegun, czy Pasteur, dokonując wynalazku, uczynili wiele dla ludzkości, ale wkładany ogrom wysiłku i poświęcenia nie był pozbawiony pierwiastka egoistycznego. Dokonywali tego również dla siebie, dla zaspokojenia własnych ambicji, własnych potrzeb.

W sztuce kochania siebie zawarty jest stosunek do samego siebie oraz stosunek do innych. Sztuka ta wymaga umiejętności przeprowadzania harmonijnej granicy między myślą i dbałością o siebie a myślą i dbałością o innego konkretnego człowieka. Idealny jest stan, w którym ta granica samoistnie zanika dzięki temu, że każda z tych dbałości zaczyna wyrażać zarazem dbałość przeciwstawną.

Sztuka kochania siebie – należycie opanowana – nie pozwala ani na poświęcenie się innym bez umiaru, ani też na nadmierny egotyzm i

egocentryzm. Nie dozwala na traktowanie wszystkiego, co się otrzymuje, jako należnego sobie. Mądre kochanie siebie skłania do zwracania uwagi na przeżycia innych. Ale nie dozwala też na takie robienie ofiary ze swego życia dla innego, które prowadzi do zatury własnego indywidualnego kształtu życia i bywa wygodnym zdjęciem odpowiedzialności z siebie; wygodniej mieć winnego, który ponosi odpowiedzialność za nasze nieudane istnienie. I wygodnie też zasługi innego przypisywać sobie.

Nie tylko nadmierny egoizm, ale i postawa przeciwna, tj. brak umiaru w altruizmie, są objawami niepokojącymi, niepożądanymi. Brak umiaru w altruizmie bywa często sposobem ucieczki przed samym sobą, przed koniecznością wysiłku, by rozwiązać trudne własne problemy.

Czy można bliżej określić przejawy sztuki kochania siebie? Otóż wiąże się ona najczęściej z umiejętnością znajdowania aprobaty. Podkreślam, umiejętnością, bowiem potrzeba uznania, zaakceptowania przez innych, bywa tak silna, że jej brak staje się czymś destrukcyjnym. Prowadzi do deformacji naszego „ja”. Wtedy – przy tak silnym niepoohamowanym pragnieniu – wierność sobie schodzi na dalszy plan, zaś postawa koniunkturalizmu w różnych przejawach do chodzą do głosu, by tą drogą znaleźć aprobatę.

Potrzeba aprobaty staje się szczególnie silna, gdy człowieka znamionuje niewielka pewność siebie. Każdy z nas ceni w szczególności sposób aprobaty w tej dziedzinie, w której czuje się niedoskonały. Utało się, że potrzeba aprobaty wyraziście pozostaje w związku z osobowością artystów. Jednak każdy człowiek pragnie „oklasków”. Słowa Goethego, „Kto zajmuje się sztuką, ten wszystko traci, jeśli dzieło jego nie zyska uznania”, są prawdziwe nie tylko w odniesieniu do artystów. Trzeba je rozciągnąć na sprawy bardziej powszednie, codzienne.

Aprobatę, o której mowa do tej pory, określiłabym jako aprobatę zewnętrzną. Jej sens sprowadza się bowiem do stosunku innych, –

zewnętrznych wobec danej jednostki – wobec niej samej. Ta, rozważana potrzeba aprobaty zewnętrznej, czyli uznania ze strony innych dla nas samych, znajduje wyraz w niepokoju o opinię otoczenia. Co on, oni o mnie myślą? Prowokuje do unikania czynów, które by mogły być skrytykowane czy wyśmiane, co często wszak hamuje przejaw indywidualności. W pewnych krajach kompromitacja do dziś jeszcze bywa powodem samobójstwa.

Kryteria aprobaty i dezaprobaty środowiska mają silny wpływ na postępowanie człowieka i powodują niejednokrotnie skutki negatywne. Mianowicie, postawę niewierności wobec siebie – tak bowiem cenną i niezbędną wartością staje się dla wielu aprobata zewnętrzna. Nie każdy ma odwagę bez niej istnieć. Ale nie zawsze zewnętrzna dezaprobata dowodzi tego, że słuszność jest po stronie krytycznie ocenianej jednostki.

Bywa też odwrotnie.

Bywa, że wierność sobie jest dla danej jednostki wartością na tyle bezcenną, iż podejmuje ona odważny trud urzeczywistnienia swej wewnętrznej prawdy bez względu na stosunek otoczenia. Decyduje się na heroiczne postępowanie wbrew opiniom innych. Skazuje się na osamotnienie. Wystarcza wtedy, w tak skrajnej sytuacji, aprobata ze strony jednego człowieka, by nie dopuścić do zejścia z uznawanej drogi. Van Gogh został uratowany dzięki temu, że odnalazł jednego człowieka – brata – który go wspomagał.

Zdarzają się, oczywiście, wybrańcy, którzy pozostając wierni sobie, bez trudu zyskują aprobatę otoczenia o dużym nawet zasięgu. Są wybrańcami, bo rzadko się zdarza, by dochowując wierności sobie, trafić zarazem w ton powszechny. Na przykładzie artystów widać najjaskrawiej tę tragiczną prawidłowość wyprzedzania prądów estetycznych epoki bądź opóźnienia wobec tego, co powszechnie aprobowane.

Wierność sobie i zyskiwanie aprobaty otoczenia rzadko, niestety, idą

w parze i stąd pokusy postaw oportunistycznych i konformistycznych, słowem, – koniunkturalnych. One właśnie najkrótszą drogą prowadzą do zyskania zewnętrznej aprobaty.

Aprobata wewnętrzna, czyli aprobata siebie przez siebie samego, jest wyrazem samoświadomości i związanego z tym procesu wyzwania się spod niewolnictwa opinii innych osób. Jest wyrazem narastającego procesu poszukiwania własnego autentyzmu, wyrazistego określenia moich chcień, moich celów, zgodnych z moimi właściwościami.

Aprobata wewnętrzna najczęściej pozostaje w sprzeczności z aprobatą zewnętrzną. A jeśli aprobata wewnętrzna bierze górę w tym zmaganiu się, to znaczy, że toczy się w nas pozytywny proces rozwojowy i że nadal, pragnąc zewnętrznej aprobaty, uniezależniamy się od niej. Wymaga to samozaparcia oraz odwagi stawania się, kształtowania na swój własny sposób i na swoją własną odpowiedzialność.

Aprobata wewnętrzna ma również społeczny charakter. Wyraża się w tym podobieństwo z aprobatą zewnętrzną. Chcę przez to powiedzieć, że po to, by określać swoje własne potrzeby, po to by odnajdywać siebie autentycznego, nie można odsuwać się od ludzi wzorem anachoretów. Przeciwnie.

Jakim się jest naprawdę, dowiadujemy się wciąż lepiej poprzez kontakt z innymi, poprzez czyny, które podejmujemy wspólnie, czyli poprzez konfrontację. Niezbędne w tym procesie odnajdywania własnego autentyzmu – procesie twórczym i tak długim, jak życie jednostki – jest również poznawanie ludzi poprzez dzieła kultury, które tworzyli i tworzą. Twórczość innych pomaga ujawniać nam nas samych. W opisach przeżyć i przemyśleń innych zdarza się, że natrafiamy na strony, które przeżywamy nie umiając ich nazwać. Przykładowo, z literatury czerpać możemy bodźce skłaniające do odwagi bycia sobą. Obcowanie z dziełami sztuki, z muzyką pobudza naszą zdolność przeżywania, bywa, że wzmacnia

świeżość emocjonalnego kontaktu ze światem, niezbędną również do tego, by zachować wierność sobie.

Aprobata wewnętrzna – inaczej niż aprobata zewnętrzna – zawsze bywa niepełna. Pełne zadowolenie z samego siebie czy, jak nazywają psycholodzy, pełnia dodatniej samooceny, może być tylko krótkotrwała. I to nie tylko dlatego, że podlegamy procesom rozwojowym.

Aprobata wewnętrzna wobec nas samych w dniu dzisiejszym zawsze jest niepełna, ponieważ zdajemy sobie sprawę z wewnętrznego rozdarcia, wyrażającego się w dualizmie: ja tu i teraz oraz ja, jakim uważam, że być powinienem.

Aprobata – poza podziałem na wewnętrzną i zewnętrzną – wymaga jeszcze innych rozróżnień. Problem aprobaty jest istotny, bowiem wzmaga ona siły witalne, nie tylko psychiczne. Ma moc pobudzania do czynu. Katalizuje. Otóż bywa aprobata za coś, aprobata pozorowana, wygodna, bo nie wymagająca wysiłku wewnętrznego, interesowna. Aprobata autentyczna – w jej odmianach zewnętrznej i wewnętrznej – już została omówiona. Pozostaje więc jeszcze wspomnieć o aprobacie totalnej. Znakomity wyraz takiej aprobaty zawarł znany aktor, Anthony Quinn, w swojej *Autobiografii*: „Nawet jeżeli będę w czymś ostatni, wstawaj i klaszcz, uważaj mnie za zwycięzcę”.

Chciałam, kończąc, zwrócić uwagę na pozytywne znaczenie braku aprobaty. Brzmi to paradoksalnie, ale w pewnych określonych warunkach brak ten staje się rozwojową siłą napędową. Dzięki przeżywanemu niedosytowi jednostka gotowa jest zdobywać się na czyny urzeczywistniające jej możliwości, na takie, które w warunkach aprobaty nie doszłyby do głosu. Taką moc wyzwala nieraz boleśnie odczuwany rozdźwięk między aprobata wewnętrzną a brakiem aprobaty zewnętrznej. Jeśli wierność sobie jest urzeczywistniona, wtedy brak zewnętrznej aprobaty może być przeżywany jako niesprawiedliwość i krzywda.

Twardy mur nieaprobata ma wciąż nadzieję owa jednostka zburzyć i wykazać słusność własnej prawdy. Nowy sens zyskują tym samym słowa Mickiewicza: „mierz siły na zamiary”.

V. SZCZEROŚĆ

Nieszczerość jako pewna postawa wobec siebie i wobec innych wchodzi w skład codzienności każdego z nas. Nieszczerość. Nie chodzi tu o kłamstwo. Tylko niewielu z nas notorycznie kłamie, zaś nieszczerość, bywa, towarzyszy stale naszemu życiu.

Problem nieszczerości nabiera szczególnego znaczenia poprzez swoją powszechność, bowiem czasy, w których żyjemy, Alfred Łaszkowski w książce *Sprzedaj zdarzeń* nie bez podstaw nazywał epoką namiastek i falsyfikatów. Warto nieszczerości poświęcić nieco uwagi również i dlatego, że splata się najściślej z całokształtem relacji zachodzącej między człowiekiem a człowiekiem. A czy może być sprawa istotniejsza niż stosunek do drugiego?

Bardzo trudno nieraz porozumieć się z kimś innym, dotrzeć do niego. Bywa naturalnie i odwrotnie. Można poznać kogoś, komu – nieoczekiwanie dla nas samych – ujawniamy prawdę o sobie i to bez żadnych wewnętrznych oporów. Następuje to wtedy, gdy czujemy, że napotkaliśmy kogoś obdarzonego tym samym rodzajem wrażliwości i podobnymi potrzebami. Odczuwa się w zetknięciu z taką jednostką bezsłowne porozumienie.

Nieszczerość określiłabym, najogólniej i wstępnie, jako brak otwartości, jako zatrzymanie całkowite bądź częściowe własnej prawdy. A więc jest ona czymś odmiennym niż konstruowany świadomie fałsz, z zamierzenia mający wprowadzić rozmówcę w błąd bądź – i tak bywa –

utwierdzić nas samych w naszej własnej nieprawdzie. Jest, oczywiście, wiele rodzajów nieszczerości i wiele jej przyczyn i celów. Nie chodzi o to, by napisać wszystko, co można by powiedzieć o nieszczerości. Warto jednakże zarysować przynajmniej podstawowe role, które spełnia w naszym życiu. A może wymaga ona jednakże choć częściowej apologii? Jakże zając stanowisko?

Zdarza się, że nieszczerzy bywamy kierując się wyimaginowanym dobrem tych, których kochamy. Nie chcemy ich martwić i przemilczamy pewne sprawy. Często postępują tak, na przykład, dorosłe dzieci wobec swych rodziców. I z pozoru niczego nie można tu zarzucić. Zapomina się jednak, postępując w ten sposób, o tym, iż rodzice, nie wiedząc, o co chodzi, czują, że coś jest przed nimi skrywane, a ciężar milczenia bywa niejednokrotnie znacznie, znacznie dokuczliwszy niż usłyszenie trudnej prawdy. Dołącza się wtedy wyobraźnia, która podpowiada trudniejsze i smutniejsze przypuszczenia w porównaniu z rzeczywistością.

Problem nieszczerości ulega szczególnemu skomplikowaniu, gdy uwzględni się zagadnienie szczęścia. Nie zawsze bowiem można znaleźć zaspokojenie tej podstawowej potrzeby człowieka. Często zdarza się, że ktoś o naturze refleksyjnej, świadomy swych potrzeb, wie, na jakiej drodze mógłby osiągnąć szczęście, lecz bezsilny wobec, na przykład, nieodwzajemnionej miłości musi szukać szczęścia pozornego. Musi z konieczności (bo jak zniewolić innego?) zadowolić się falsyfikatem. Żeby łatwiej trwać, często staje się nieszczerzy wobec siebie samego, wmawia sobie – sięgając do cytowanego tu przykładu – że nie miłość, lecz inne cele są w życiu ważniejsze, i wreszcie owa autosugestia sprawia, iż przyjmuje się za prawdę wewnętrzną ów *ersatz*.

Bywa też nieszczerłość wyrachowana. Podwładny milcząco przytakuje szefowi, ażeby mu się nie narazić. Mąż potakuje żonie, ażeby zyskać w zamian spokojną atmosferę w domu. Uczony, humanista, wyraża w

książkach tylko te poglądy, które w danej chwili w danym państwie zyskują mu uznanie ze strony wpływowych kół. Członek władz towarzystwa naukowego milcząco przyjmuje negatywne opinie prezesa towarzystwa na temat określonej osoby, zamiast w imię szczerości bronić niesłusznie oskarżonego, choćby miało to prowadzić do zachwiania sympatii prezesa.

Przykłady można by mnożyć, zwłaszcza gdy sięgniemy do życia towarzyskiego, którego formy służą właśnie zawoalowywaniu własnych reakcji i potrzeb z uwagi na przyjęte konwencje. Niedobrze jest w salonie (synonim życia towarzyskiego) mówić to, co się myśli, bo naruszając zasady form towarzyskich można zostać okrzykniętym mianem człowieka niekulturalnego. Przyjęte w życiu towarzyskim obyczaje mają na celu zaspokojenie potrzeb estetycznych, a może zresztą i coś więcej. Chronią autentyczne „ja” przed oceną innych. W formy towarzyskie można się ubrać niczym w togę, zakrywając własne „ja”; wystarczy, że mówi się to, co jest oczekiwane, bądź powszechnie przyjęte – a niekoniecznie prawdziwie – i sukces wtedy najpełniejszy.

Jedna z bohaterek powieści Kazimierza Wybranowskiego W *połowie drogi* powiada o innej kobiecie: kocha w mężczyźnie to, co sobie imagинуje. Uważam, że myliłyby się jednak ten, kto by wiązał ów problem o zagadnieniem nieszczerości. Nasza wyobraźnia nieuchronnie wzbogaca – na swoją miarę – obraz rzeczywistości i napotykanych ludzi. Czy wyobraźnia kłamie? Czyni świat barwniejszym i wzmagą nasze przeżywanie, ukazując go od strony bardziej złożonej.

We wspomnianej powieści któraś z postaci stwierdza: „... są kobiety, które muszą mieć swe samodzielne życie, a w nim poważne cele. Ale to nie jest szczęście. To są kobiety, którym szczęście nie jest dane. Kobieta jest naprawdę szczęśliwa wtedy, gdy jej ukochany mężczyzna ma wielkie, samodzielne życie, zwrócone do wielkich celów, gdy może jemu, a przez to jego celom służyć. To jest dopiero szczęście! „ Przyjmując, że jest

to spostrzeżenie trafne – niezależnie od oceny twórczości tego pisarza z punktu widzenia innych kryteriów – powstaje pytanie: ile kobiet w dobie emancypacji zdobędzie się na odwagę, by przyznać rację autorowi? By uznać przytoczone słowa za prawdę o własnej naturze? Jest sprawą oczywistą – niepotrzebne do tego badania ankietowe – że wiele kobiet takiej prawdy nie dopuściłoby do swojej świadomości, a więc nieszczerłość wobec siebie ma różnorodny grunt.

Nieszczerość nabiera szczególnie niebezpiecznego wymiaru, gdy my sami jesteśmy jej punktem odniesienia. Na przykład: gdy brak zgodności między tym, co czynimy, a tym, czego chcemy naprawde; gdy nie tworzymy siebie w zgodności ze swą naturą, lecz na modłę oczekiwań otoczenia. Jak słusznie pisze Boguchwał Winid („Ruch Filozoficzny” 1977 nr 3-4): „Istnieją kultury, które nagradzają za prowadzenie życia nieszczerego, np. magiczna kultura sakralna, kultura purytańska i wynaturzona kultura amerykańska, oparta na filozofii *«keep smiling»*. Najbardziej patologiczne formy takiej kultury amerykańskiej powstały w świecie artystów, to jest w Los Angeles i tam zrodziła się metoda leczenia ludzi wiodących nieszczerze życie, zwana analizą transakcyjną, wprowadzona do Polski przez Kazimierza Jankowskiego. By poznać wymiary «nieszczerego» życia, trzeba dotknąć drugiego człowieka, trzeba uczynić go dotkniętym, to jest znieść z niego szatę «niedotykalnego». Jeżeli rodzice wychowują dziecko w kulturze niedotykalności, to czynią z niego mimo woli neurotyka, dlatego też ludzie niedotykalni sami cierpią, gdyż potem nic innego nie robią, tylko bronią się, by prawda o tym, co czują i przeżywają, nie stała się publiczną tajemnicą. Stają się niewolnikami taktycznego milczenia, zarówno słownego, jak i bezsłownego. Jednakże człowiek nieszczerzy może mówić prawdę, gdyż istnieje zdolność dysocjacji tego, co mówią usta, od tego, co dyktuje serce”.

Myślę, że nieszczerłość wobec siebie samego jest tym rodzajem

nieszczerości, z którym każdy powinien walczyć. Ta walka jest trudna i rozciąga się na całe nasze życie. Ale jest to walka, którą warto wygrywać.

Dochodzenie do prawdy o sobie – na użytek własny – jest niezmiernie trudne. Dlaczego tak jest? Czy wynika to z niechęci do oglądania siebie „nagiego”, bez upiększeń, bez pozorów wznioślejszych motywów niż faktyczne?

Trudno nieraz – nawet gdy jesteśmy szczerzy wobec siebie – określać własne potrzeby bez mimowolnego fałszu. Wchodzi często w grę tzw. myślenie życzeniowe. Zresztą, w ogóle klasyfikacja potrzeb i wyodrębnienie ich rodzaju ma wiele odmian w literaturze naukowej.

Nieszczerość jest często wyrazem lęku przed innym człowiekiem. Sposobem ochrony – rozszerzonej niepomiarowo i nieproporcjonalnie – sfery intymności przed ciekawością i oceną ludzką. Znałam żonę pewnego lekarza, która wszystko, co przekraczało temat zdawkowych, konwencjonalnych rozmów bądź plotek towarzyskich, uznawała za tematy nie nadające się do otwartego omawiania nawet z przyjaciółmi. I rozmowy otwarte, istotne, stanowiące wyraz spotkania wewnętrznego z innymi, odrzucała jako ekshibicjonizm.

Mistrzynią rozmów, stanowiących niemal namacalne zetknięcie z zakamarkami duszy drugiego człowieka, była Maria Kasprowiczowa. Świadczą o tym nie tylko jej – szczerze zresztą – *Dzienniki*, ale i wspomnienia przyjaciół, a wśród nich Aleksandra Zaczyńskiego, autora *Kronik „Harendy”*. Szczerota taka burzy przegrody dzielące od innych i pozwala cieszyć się prawdziwą przyjaźnią.

Szczerota – w przeciwieństwie do nieszczerości – jest oznaką okrzepnięcia w sobie i afirmacji siebie, co nie znaczy, że bezkrytycznego spojrzenia. Szczerzy może być ten, kto nie boi się odmiennego sądu otoczenia, kto wie, że nie zachwieje się w swojej prawdzie mimo krytycznego sądu innych. Być szczerym to znaczy mieć odwagę cywilną.

To znaczy decydować się na ujawnianie wobec innych – często tylko pozornie przyjaznych i – własnych przekonań wraz z decyzją ich obrony. Można, niestety, łatwo narazić się na wyśmianie, na drwiny, na opinie dziwaka.

Nieszczerość pozwala, by się w nią owijać jak w woalkę, pozwala chronić swoje prawdy i swój sposób ochrony własnego „ja” przed ingerencją czy ciekawością ze strony kogoś, kto mógłby nas urazić czy ośmieszyć w oczach innych. Być może, nie wobec każdego szczerść ma sens i warto niejednokrotnie powstrzymywać swą otwartość bądź – odwrotnie – nie próbować przewycięzać nieszczerości. Powściągliwość chroni przed rozczarowaniami, przed zawodem – gdy brak spodziewanej reakcji rozmówcy. Trzeba w dużym stopniu zawierzać swej intuicji oraz doświadczeniom, ażeby trafniej rozstrzygać, jaki przyjmując stopień szczerości w kontaktach.

Trzeba jednakże pamiętać o tym, że ci zamknięci w sobie, opancerzeni, żyją w stanie głębokiej izolacji i mogą przejść mimo kogoś istotnego dla siebie, tracąc wiele z głębokich przeżyć. Zamykanie się w sobie, podobnie jak zamykanie się w bardzo wąskim kręgu, chroni wprawdzie przed nieelojalnością czy innymi negatywnymi cechami bliźnich, ale nie może stanowić wzoru do naśladowania. Brak otwartości, zawarta w tak pojętej nieszczerości izolacja od ludzi, wiąże się z osamotnieniem. I chociaż czasem intuicja podpowiada nam postawę przeciwną do szczerości – co nie znaczy, jak ustaliliśmy na początku, że kłamstwo – to jednak, jeśli się chce być naprawdę z innymi, trzeba przewycięzać tendencję do zamykania się w sobie i wkładania masek na twarze.

VI. WDZIĘCZNOŚĆ

Zaryzykowałabym twierdzenie, że sposób przeżywania wdzięczności i związana z tym postawa wobec drugiego człowieka stanowi jeden z zasadniczych mierników wartości jednostki. Jest zarazem sprawdzianem człowieka.

Przytoczę dwa przykłady: wdowa po lekarzu oddaje w czasie okupacji niemieckiej młodemu chirurgowi instrumenty swego męża. Umożliwia mu tym samym rozpoczęcie samodzielnej praktyki. Mijają lata. Przypadek sprawia, że właśnie do owego chirurga trafia ofiarodawczyni jako pacjentka, nie pamiętając o zdarzeniu sprzed trzydziestu paru laty. Ale nie zapomniał chirurg. „Przecież to ja jestem dłużny i cieszę się, że mogę spłacić mój dług. Choć w małym stopniu”. Jego opieka lekarska trwa już długo i jest bezinteresowna.

Przypadek drugi. Obóz w Niemczech, głód. A jednak ktoś, odmawiając sobie racji żywnościowych, wysłała komuś z rodziny w obozie koncentracyjnym, choremu na szkarlatynę, suchary, a wśród nich przemyca lekarstwo. Tym ratuje życie. Mijają lata. Po wojnie uratowany zrywa kontakt. Dlaczego? Czuje może, że sytuacja wymaga z jego strony pomocy materialnej (na którą, zresztą, byłoby go stać). A może nie umie sobie poradzić z odczuciem wdzięczności i wybiera formę najłatwiejszą: unik. Przysłowie mówi o małych darach zjednujących wielkich przyjaciół. A jak z darami wielkimi?

Może poczucie swoistej zależności od tego, kto – w tej czy innej formie – uczynił nam dobro sprawia, że powstaje instynktowna tendencja, by od niego się odwrócić? Poczucie, że od kogoś doznaliśmy pomocy, ciąży nam. Ale zrozumienie tej sytuacji, chwila refleksji, poczucie odpowiedzialności za własne zachowanie, a także świadomość

otrzymanego dobra – powinny zwyciężać na innymi odruchami wobec tego, kto nam pomógł. A poza względami etycznymi i estetycznymi – bo większość zachowań podpada pod obie te kategorie – istotne jest i to, że każdy z nas nie może się obyć bez powiązań z innymi ludźmi. Brak właściwie pojętej i praktykowanej wdzięczności narusza te powiązania.

Wdzięczność, wykluczająca unikanie tych, którym coś zawdzięczamy, wiąże się z gotowością do udzielania pomocy w ogóle innym ludziom. A czasem oddanie innym ludziom tego, co kiedyś otrzymaliśmy sami, jest jedynym sposobem wywiązania się z długu wdzięczności.

Dewiza w każdym przypadku jest nader prosta: postępuj z drugim tak, jakbyś chciał, żeby z tobą postępowano.

Niestety brak wyobraźni, częstszy niż się to zdaje, sprawia, że wyrządzamy krzywdę innym. Nie stać nas na wyobrażenie sobie, że sami będziemy kiedyś w podobnej sytuacji oczekiwania na odruch wdzięczności. Że, na przykład, będziemy starzy i nie zechcemy znaleźć się tani, gdzie – zapominając o wdzięczności – dziś odsyłamy swych rodziców: w domu starców.

Umieć być wdzięcznym to znaczy traktować inne jednostki, a więc i tych, którym coś zawdzięczamy, jako wartości same w sobie, a nie jako źródła naszych korzyści. Z wdzięcznością łączy się zdolność do serdecznego, pełnego empatii, autentycznego kontaktu z innym człowiekiem.

Niezdolność do wdzięczności wiąże się po części z brakiem przygotowania do wyrażania uczuć. Wstydzimy się ich. Nie potrafimy ujawniać. Nikt nam nie pokazuje, że można, a nawet powinno się to czynić. Czasem potrafimy, ale nie w porę. Wdzięczność dla mistrza jakże często wyrażają jego uczniowie wtedy, gdy nie muszą się bać, że jego sława nadmiernie ich przesłoni. A więc we wspomnieniach pośmiertnych.

Ten, kto wiele zrobił dla innego, nie oczekuje niczego w zamian.

Potrzebna mu jest „zapłata” polegająca na świadomości, że tamten człowiek zdaje sobie sprawę z jego wysiłku, starań, dobrej woli. Nieraz zdarza się, że czyjąś życzliwość i pomoc potrafimy docenić dopiero po latach. Nie jest niemądre – ze spóźnieniem, choćby nawet wieloletnim – powiedzieć to czy napisać.

Małość człowieka ujawnia, się wtedy, gdy nie umie być wdzięczny, gdy ucieka przed tym, kto mu w czymś dopomógł bądź wręcz odnosi się do niego w sposób nieprzyjazny. Może takie nieprawidłowe postawy wynikają z podświadomego lęku zależności od kogoś i poczucia skrepowania z powodu własnej niesamodzielności? Dlatego też nieraz tak pospiesznie staramy się czymś odwdziaczyć, ażeby pozbyć się jak najrychlej ciężaru długu.

Świadomość, że powinniśmy być wdzięczni, rozgorycza nas; nieokazanie wdzięczności rozgorycza tych, którzy mają prawo jej od nas oczekiwać. Rozgoryczenie jest osadem po bezskutecznym oczekiwaniu na coś, co odczuwamy jako należne. Trzeba być świadomym siebie i „osadzonym” w sobie, by daru nie odrzucić – niechby tylko podświadomie – jako rodzaju poniżenia: daje mi, a więc jest lepszy, większy, mocniejszy.

Zakładam, że zdolność do odczuwania wdzięczności jest właściwością powszechnie związaną z człowieczeństwem, choć nie stanowi cechy wyróżniającej. Różne są natomiast stopnie tej zdolności i różne sposoby jej wyrażania. Ograniczając się na moment do sprawy jej wyrazu, należy podkreślić, że przybiera formy od spontanicznych, a nawet egzaltowanych (nie nadaję temu terminowi pejoratywnego znaczenia), do powściągliwych, wewnętrznie skupionych czy onieśmielonych.

Wdzięczność wymaga nieraz wysiłku, poświęcenia, przewyciężenia właściwej nam skłonności do wygod. Wdzięczność, jeśli jest przeżyciem a nie frazesem okazuje się z gruntu czymś więcej niż werbalne jej wyrażanie. Przeobraża nas, wyzwalaając choćby czasem z pęt egoizmu i

samolubności. Stajemy się dzięki temu przeżyciu lepsi i szlachetniejsi.

Niewdzięczność ludzka ma tło jeszcze mocniej ją uwypuklające, mianowicie – wdzięczność zwierząt. A na odwrót, jeśli już tak trudno z wdzięcznością wobec współludzi, jak z naszą wdzięcznością wobec zwierząt? „Wiem, że we Francji w roku 1954 – pisze Cat Mackiewicz w jednej ze swych książek – wysłużone psy policyjne, z których jeden uratował życie dziecka, wyciągając je z rzeki, były zastrzelone z powodu starości”.

Oczekiwanie wdzięczności koresponduje z potrzebą aprobaty ze strony otoczenia, odczuwaną przez każdego. Siła tej potrzeby wzrasta, im mniej mamy pewności siebie. To oczekiwanie, by nasze działanie napotykało oddźwięk, potrafi wzbudzać w nas zdolność do działań przekraczających, zdawałoby się, siły jednostki, choć na pewno nie jest motywem jedynym. Działając bezinteresownie, pragniemy wdzięczności. I tego nie należy się wypierać ani wstydzić.

VII. LĘK I STRACH

Przepojenie naszej psychiki jednym, wyraziście określonym i zdecydowanie dominującym stanem uczuciowym czy doznaniowym, przynosi ulgę. Nawet wówczas gdy jest to uczucie, zdawałoby się, należące do negatywnych. Następuje bowiem integracja, która ogniskuje nasze stany ambiwalencji i ambitendencji wokół jednego punktu. Przy czym od struktury psychicznej jednostki zależy to, czy pewne doznania destrukcyjne przetworzy na pozytywne, czy też im ulegnie.

Na przykład, lęk przed śmiercią może powodować opuszczenie rąk, rezygnację, apatię, a może też, odwrotnie, przyspieszać nasze działania. Zdawanie sobie sprawy z przemijalności czasu niejednokrotnie uruchamia

nasze dodatkowe moce, nie znane nam pokłady energii psychicznej. Ci, którzy przeżyli, na przykład, obozy, wiedzą najdokładniej to, że człowiek może wytrzymać znacznie więcej niż jest gotów przypuszczać. Niejednokrotnie przełamywali lęki i odczucia strachu.

Dochodzimy do pytania o różnice zachodzące między lękiem a strachem. Strach ma miejsce wtedy, gdy grozi komuś obiektywne niebezpieczeństwo. Mówi się o przeżyciu strachu, gdy reakcja jest współmierna do stanu zagrożenia. Lęk jest również, podobnie jak strach, reakcją emocjonalną na grożące niebezpieczeństwo, ale pozbawioną – w ocenie innych – tej cechy proporcjonalności do bodźca. Przy czym bodziec ma często charakter wyobrażeniowy.

Okazuje się, że w pewnych przemyślanych i przygotowanych z góry warunkach należy bać się, przeżywać strach po to, aby wypoczywać. Jeżeli ktoś odczuwa zmęczenie psychiczne, to znakomitym lekarstwem, na przykład, dla mieszkańca Austrii jest kolej z duchami na Praterze. Zawodowy duch, który tam straszy, nie ma nazwy dla swego zawodu, wykonywanego już ćwierć wieku. W opublikowanym niedawno wywiadzie opowiedział o zróżnicowanym, stosowanym przez siebie sposobie straszenia. Utrudzonych i samotnych chwytą za ramiona, lekko masując. Dziewczęta głaszczą, łaskocząc tak, żeby przybliżyły się do swych partnerów. Małe dzieci chwytą silniej, aby nie wystraszyć. Duch działa umiejętnie. Niepokoi go tylko brak następców.

Z rozmaitymi postaciami lęku czy też inaczej – obaw mamy do czynienia na co dzień. Jako przykłady, zdarzające się od czasu do czasu każdemu, wystarczy wymienić wywołujące lęk sny, konieczność przeprowadzenia jakiejś rozmowy, od której zależą nasze istotne sprawy, lęk wysokości, lęk przed zapadnięciem na jakąś chorobę czy właściwy każdemu lęk przed śmiercią.

Racjonalizacja lęku, to znaczy szukanie obiektywnych podstaw dla

tego stanu psychicznego, zmniejsza dolegliwość, lecz jej nie usuwa. Trwożliwe działania, by zabezpieczyć się przed pewnymi chorobami, mogą, w czyjeś ocenie, mieć podstawy urojone, lecz dla człowieka ogarniętego lękiem choroby – są rugowaniem realnego zagrożenia.

Najbardziej dokuczliwym i często występującym jest lęk przed osamotnieniem. Obrona może przybierać różnorodne postaci, jak na przykład, działania dla dobra innych ludzi, bowiem odczuwa się wówczas namacalnie, że się jest potrzebnym innym. Działalność społeczna czy spotęgowana praca zawodowa mogą przynieść rodzaj pożądanego oszołomienia, w którym ginie odczucie osamotnienia. Inni szukają ucieczki w nadmiernym spaniu bądź, na przykład, jedzeniu. „Jak człowiek nie ma przy sobie nikogo, kto by go kochał, to robi się tłusty” – zauważa Emil Ajar w *Życiu przed sobą*. Mniej jeść to trudne dla kogoś, kto jest sam na świecie, „bowiem musi mieć więcej siebie niż inni”.

Trudno wymieniać wszystkie możliwe sposoby niwelowania przeżyć lękowych. Jedne i drugie są wielorakie. Sam lęk ma wiele przejawów: napięcie w czasie spotkania z kimś, kogo się ceni, wynikające z przeżycia niepewności czy wypadnie się odpowiednio. Inne przejawy – to zakłopotanie, chęć rzucenia wszystkiego i rozpoczęcia życia z dala od dotychczasowego miejsca, brak zaufania we własne siły, etc.

Kontakt z osobą bliską zmniejsza stan lękowy do tego stopnia, że, na przykład, obecność małego dziecka, które samo przecież wymaga opieki, może dawać poczucie bezpieczeństwa. Znika uczucie izolacji, zamknięcia w mieszkaniu, w jego murach.

Psychologowie zwracają uwagę na fizjologiczne wyrazy lęku, jak brak tchu, bicie serca, wilgotnienie dłoni, bóle karku, duszność, pocenie się, doznanie suchości w gardle.

Bywają lęki nieokreślone, nieumotywowane w sposób wyraźny. Często wyobrażenia i fantazja podsuwają wymaginowane obrazy, które

nasycają nas lękiem. Bywa też, że obrazy te mieszczą się w granicach prawdopodobieństwa. Słyszac, że sąsiedzi zostali obrabowani, lękamy się, iż może się to powtórzyć w naszym mieszkaniu. Nawet szmer za drzwiami może napawać nas wtedy trwogą. Czytamy o wypadku ulicznym i ogarnia nas lęk, czy ktoś z bliskich nie wpadł pod koła.

Lęk przed możliwą biedą nęka tych, którzy z trudem osiągnęli bogactwo. Słyszcy się o skąpcach trzymających majątek w banku, a żyjących ubogo i szaro.

Lęk, być może, nie jest zjawiskiem aż tak powszechnym, jak wynikałoby to z publikacji psychoanalityków. Nieznane napełniać może bądź obawą, bądź pobudzać wyobraźnię w kierunku mobilizacji sił jednostki. Bywa, że staje się motorem twórczości, w niej bowiem zanika uczucie obcości i wrogości świata. Są jednostki, które na tyle obco czują się w świecie, że zaczynają stwarzać dzieła sztuki, nauki czy literatury, by odzyskać utracone poczucie syntonii z otoczeniem, chociaż nie zawsze uświadamiają sobie ten właśnie motyw. Trudno jest tym, którzy nie umieją znaleźć sposobów niwelowania przeżycia lęku. „Tylko przerażenie potrafi uśmierzyć mój strach” – wyznaje w *Punktach* Janusz B. Roszkowski.

Różnorodne lęki, tłumione przez nas, mogą się objawiać w rozmaitych postaciach: od stanów depresji poprzez bezsenność do irytacji. Wówczas uwaga nasza skupia się właśnie na tych objawach. Pewne typy lęków, jak lęk przed zagładą atomową, lęk że nadejdzie wkrótce koniec świata, czy lęk przed nową wojną, w której bezpośrednio uczestniczyłby nasz kraj, lęk przed możliwymi niekorzystnymi przemianami politycznymi – mogą mieć rzeczowe podstawy. Ale uleganie im z nadmierną siłą emocjonalną bywa podstawowym sposobem odwrócenia się od zagadnień, które występują w naszym życiu jako codzienne i wobec których czujemy się nieraz bezradni.

Lękiem, o którym już wspominałam, lękiem nie mającym nic

wspólnego z ucieczką od siebie, ale odwrotnie, odznaczającym się na wskroś egotycznym charakterem, jest lęk przed śmiercią. W pewnych okresach jest to ciężar większy niż zdawałoby się, że można u nieść. Lęk ten nie jest związany z określonym wiekiem ani z ciężką chorobą, która wywołuje strach.

Zdarzyło mi się kiedy pracowałam w Konsultacyjnym Ośrodku Rozwoju Twórczego[1] – wysłuchać relacji dziennikarza o młodzięcym wręcz usposobieniu, szczęśliwie zakochanego od niedawna, na temat nękającej go wizji śmierci i bezsilnym buncie. „Pierwsza myśl o niej to poranne przebudzenie. Lęk, czy dziś nadejdzie, jaki rodzaj śmierci jest mi przeznaczony. Każdy dzień nieuchronnie do niej przybliża, a ja nie mogę pogodzić się z tym. Nie chcę opuścić mojej powłoki. Nikt nie umierał spokojnie. Nawet znajomi księża i zakonnicy. Kiedy myję się, ubieram, lęki się chowają. Idę po zakupy, jak zawsze żartuję z sąsiadką, i te zwykłe czynności pomagają odzyskać równowagę po normalnych lękach. Obowiązki wobec mojej egzystencji prowadzą do chwilowego zapomnienia. Ale co dzień zapada ciemność, która przynosi skojarzenia z czekającą każdego grozą. Dlaczego musimy samotnie ją spotykać? „ Ten lęk był nie do usunięcia.

Dreńczą lęki, których można się pozbyć. Jednym z nich jest lęk stojący w poprzek naszych procesów rozwojowych. Daje się on wyrazić słowami: co pomyślą o mnie inni, otaczający ludzie? Lęk prowokujący, by nie wyłamywać się z tego, co w danym otoczeniu jest uznane za powszechnie obowiązujące. Presja obyczajowa i lęki związane z jej nieprzestrzeganiem przeciwdziałają postępowaniu, dokonywanemu z poczucia wewnętrznej

[1] Ośrodek ten powstał w 1975 r. w Warszawie z inicjatywy Jerzego Grotowskiego pod kierownictwem Kazimierza Dąbrowskiego. Laboratorium Higieny Psychiczej — po blisko dwuletnim okresie trwania — zostało przekształcone w Ośrodek Higieny Psychiczej dla Ludzi Zdrowych.

słuszności. Takie lęki stanowią próbę charakteru. Wywołują też nieraz dokuczliwe poczucie winy. A po to, by je przewyciężyć, niejeden rezygnuje z uprawnionych wyborów, ażeby tylko zadowolić tych, z którymi się liczy. Czy jednak nie lepiej próbować urealniać swoją prawdę nawet wbrew najbliższym?

Niepokoimy się nieraz, gdy jesteśmy zadowoleni z życia i wszystko układa się nam pomyślnie. Bywa, że ten radosny czas zostaje zaciemniony przez lęk utraty tego, co nas czyni szczęśliwymi: stanowiska, pracy, stanu posiadania albo przykładowo, z innego zakresu – utraty miłości kogoś, z kim zwiążaliśmy swoje życie.

Muszę wyznać, że mnie też niepokoi lęk, z którym nie mogę sobie poradzić. Jest on, może, dziwny. Lęk utraty fotografii ojca, dziadków, pradiadków, bowiem słyszałam wiele o palącym się mieszkaniu z pamiątkami w czasie wojny i trudach mojej matki, która zbierała potem okruchy przeszłości.

VIII. ZNIECHĘCENIE

Prowadzenie czynnego trybu życia, chęć urzeczywistnienia szybko pewnych zamysłów, które uczyniliśmy celami naszego istnienia sprawia, że niejednokrotnie żyjemy zbyt intensywnie. Wypalają się w nas siły. Przy tym obciążają nas trudności życia codziennego, zmuszające do wydatkowania energii, która mogłaby zostać przeznaczona na poważniejsze sprawy. Zdarza się jeszcze inaczej. Mimo natężonej woli, i podjętych działań, nasze zamierzenia się nie ziszczają. Spalamy się w dążeniu do trudno osiągalnego celu, bo brak nam umiejętności cierpliwego czekania. Spełnia się przecież to, o co umiemy z wewnętrznym żarem zabiegać, ale rzadko w momencie, w którym najbardziej spełnienia tego

oczekujemy. Popadamy więc w zniechęcenie. Objawia się ono nie tyle brakiem sił witalnych, choć i ten może też występować, co brakiem wewnętrznej mobilizacji.

Zniechęcenie przyjmuje rozmaite postacie: rezygnacji, smutku, przygnębienia, załamania wewnętrznego, poczucia niewiary we własne siły, przeżywania osamotnienia, wątplenia w słuszność wartości, o które się walczy aż do stanu depresji i apatii. Może też przybrać maskę cynizmu. Na przykład, poczucie, że nie jest się dostatecznie cenionym przez otoczenie, może prowadzić do twierdzeń, iż nie warto ani pracować z oddaniem, ani wkładać wysiłku we własny rozwój.

Dla jednostek pracujących nad kształtowaniem swojego charakteru i wkładających energię w swój rozwój bywają szczególnie trudne pewne przejawy życia społecznego. Zniechęcenie ich ma źródło w fałszywych miarach wartości przyjętych w społeczeństwie. Ocenia się bowiem powszechnie ludzi według ich miejsca w hierarchii społecznej, według cenzusu wykształcenia i zasobów materialnych. W potocznym rozumieniu, zdobycie dyplomu czy stopnia naukowego świadczyć ma o tym, że jego posiadacz jest lepszy i mądrzejszy. Obserwuje się brak zainteresowania, wartościami rzeczywistymi, reprezentowanymi przez człowieka niezależnie od pełnionej funkcji w społeczeństwie, zamożności czy stopni naukowych. A zdarza się przecież, że, na przykład, ludzie o wysokim poziomie intelektualnym wykazują niedorozwój uczuciowy i że daleko im do człowieczeństwa. Ci, którzy chcą być sobą i żyją według własnego planu, wydają się często innym śmieszni, naiwni, niezaradni.

Nie każdy ma niestrudzoną wolę, by walczyć bez wytchnienia przeciw wszystkim i przeciw wszystkiemu. Zwłaszcza, że nie zawsze można liczyć na zrozumienie ze strony rodziny. I wtedy osoby psychicznie słabsze sięgają po środki przynoszące wytchnienie, pozwalające na chwilę ucieczki od sytuacji konfliktowej oraz od wewnętrznego

niepokoję. Najłatwiejsza jest ucieczka w świat alkoholu. Ale potem trudno się od niego uwolnić, bowiem przynosi ulgę, pozwalając na bardziej optymistyczną ocenę własnej sytuacji. Sprzyja też odnajdywaniu się w jakiejś grupie, zmniejszając poczucie niezrozumienia i obcości we własnym, najbliższym środowisku. Ułatwia – zmniejszając nieufność – otwarcie się wewnętrzne wobec innego człowieka i przynosi w ten sposób chwilową poprawę samopoczucia.

Tragizm alkoholizmu polega między innymi na zagubieniu poczucia upływu czasu i na odkładaniu na potem swoich planów. Jest to choroba, w której opinia społeczeństwa odgrywa istotną rolę. Otóż działania przestępcze, dokonywane pod wpływem alkoholu, stanowią okoliczność obciążającą, mimo że sprawca ma ograniczoną zdolność rozpoznawania swoich czynów i kierowania swym postępowaniem. Dochodzi tu do głosu nie tylko biologiczno-lekarski punkt widzenia, lecz i społeczno-prawny.

Alkohol wybierają w okresach dla siebie trudnych przede wszystkim mężczyźni. Za to w jednakowej mierze obie płcie stosują ucieczkę od rozwiązywania trudnych problemów oraz od drogi wewnętrznego kształtowania siebie – w świat telewizji. Jest to często podświadoma ucieczka. Niechęć do wejścia w siebie i dokonywania obrachunku ze sobą. Telewizja stale oglądana rodzi bierność, wzmacnia stan wewnętrznego rozproszenia. Pozwala na życie obok siebie. Zdarzają się też w stanach zniechęcenia czy załamania ucieczki w chorobę. Następuje to często wtedy, gdy źródłem takiego stanu psychicznego są sprawy uczuciowe, nie układające się w sposób przez jednostkę pożądanym. Ucieczka w chorobę – podświadoma zresztą – staje się sposobem wymuszenia na kimś, kto, na przykład, pragnęły odejść, zainteresowania sobą. Chorując, stawiamy siebie w centrum zainteresowania ze strony otoczenia, oczywiście, dopóki nadmierna częstotliwość takich zdarzeń nie wywoła nastroju zubożenia.

W świecie zachodnim Europy i Ameryki częstą formą ucieczek od siebie, od zniechęcania, rozczarowań, od otoczenia bywa przystąpienie do jakiejś sekty religijnej, w której szuka się wartości nie odnalezionych.

W najbliższym otoczeniu. W USA około 6 milionów wybrało tę drogę. Nie zawsze można to uznać za rozwiązanie. Wystarczy przypomnieć Świątynię Ludu, której członkowie w Gujanie na rozkaz Jima Jonesa, przywódcy, popełnili zbiorowe samobójstwo. Inny wymiar i znaczenie ma, na przykład, decyzja osiedlenia się w Auroville – międzynarodowym mieście w Indiach, wybudowanym na ziemi zwiezionej symbolicznie z krajów całego świata.

W sektach odnajduje się zespolenie z innymi oraz uwolnienie od własnego „ja” ze względu na konieczność poddania bezwzględnej władzy przywódcy. Znajduje się afirmację współuczestników i przeżywa wspólnotę z grupą, polegającą m. in. na pełnym przystosowaniu do mikrospołeczności. Uwalnia to z ciężącego jednostkom odczucia ich odmienności i odstawania od otoczenia. Sekta przewycięża uczucie zniechęcenia i załamania, proponując swym członkom wyraziście ustaloną hierarchię wartości. Uwalnia też przed podejmowaniem odpowiedzialności za własne życie: istnienie toczy się w skalach wartości ustalonych poza jednostką i przez nią akceptowanych.

Najbardziej niebezpieczne są próby rozwiązania stanów załamania psychicznego poprzez narkotyki. Środki te nie tylko nie rozwiązują konfliktów, ale wręcz wytwarzają zależność. Wzmagają chęć ucieczki od rzeczywistości, która z takich czy innych przyczyn przyniosła rozczarowanie. Dają niektórym pozór odgrodenia się od społeczności i bywają wyrazem protestu, nieraz – tylko mody.

Obserwatorzy oceniają osoby uzależnione od środków odurzających jako leniwe, aspołeczne, wyrodne, a nawet jako psychopatyczne i zdegenerowane. Oceny są czysto zewnętrzne i zazwyczaj pochopne.

Zgadzam się z doktorem Zbigniewem Thille, niedawno tragicznie zmarłym psychiatrą, który koncentrował swe siły na leczeniu narkomanów, że najczęściej nie jednostki są chore; bywają chore układy w skali mikro oraz makropołożecznej.

Zbigniew Thille podkreślał, że brak możliwości znalezienia prawdziwych przyjaźni oraz tworzenia grup nieformalnych, powiązanych indywidualnymi upodobaniami, skłania do używania haszyszu i alkoholu, które ułatwiają nawiązywanie bardziej intymnych kontaktów. Środki psychodeliczne, jak LSD czy meskalina, ułatwiają osiągnięcie stanu tzw. nadświadości. Niektórzy pod wpływem halucynogenów mogą osiągać szczyt możliwości twórczych, ale środki odurzające nie są w stanie zaspokoić naszych podstawowych potrzeb psychicznych w sposób bardziej trwały. Czynią spustoszenia w psychice i w organizmie. Lekarz często jest bezradny, zwłaszcza że nie ma prawa narzucać człowiekowi swojej własnej prawdy. Nie jest upoważniony do tego, by dawać leżonemu odpowiedź na pytanie, jaka ma być jego droga życia. Terapeuta może tylko stawiać pytania i starać się służyć pomocą w celu usunięcia chorobliwych mechanizmów oraz stereotypowych sposobów myślenia i odczuwania. Zbigniew Thille był przekonany, i konsekwentnie tak postępował, że należy do jego obowiązków stwarzanie najpełniejszych warunków pozwalających na odkrycie każdemu, kto do niego się zwracał, prawdy o sobie samym. „Ostatecznych jednak odpowiedzi udzielić musi sobie każdy człowiek sam! „

Trudnym problemem może stać się utrata zapału czy entuzjazmu we własnych działaniach. Stają się one wtedy wymuszone bądź przez poczucie obowiązku, bądź przez konieczności zewnętrzne. Znużenie, zniechęcenie, *spleen* – uosobione w postaci Obłomowa z powieści Gonczarowa – trudno jest przezwyciężyć. Niemoc najczęściej tkwi W nas, W jakimś naszym defekcie, chociaż chętnie oskarżamy świat zewnętrzny.

A na chorobotwórcze niebezpieczeństwo długotrwałego smutku zwrócili uwagę lekarze.

W najpomyślniejszej sytuacji znajdują się ci, których pochłania praca czy jakaś idea. Łatwiej wtedy przemóc zniechęcenie. Simone Signoret w jednym z wywiadów, mówiąc o swojej pracy, szczerze wyznaje: „Film to wspaniałe alibi, pozwalające uciec od nudnych obowiązków, usprawiedliwienie nieobecności w świecie i jego kłopotach. Inaczej zresztą nie dałoby się grać w filmie”. Ucieczka od zniechęcenia w działalność ma znaczenie większe niż potocznie się wydaje.

W dawnych czasach mechanizmem obronnym bywały też omdlenia. Pozwalały one uniknąć działania dalszych przykrych bodźców. Utrata świadomości w czasie omdlenia następuje nie z powodów organicznych, lecz psychicznych. Bronią naszych prababek bywały migreny, których przynajmniej część okazywała się wyrazem ucieczki od rzeczywistości w chorobę.

Jest wiele powodów stanu zniechęcenia. Dostrzegana i przeżywania niewspółmierność między dużymi wysiłkami a nieproporcjonalnymi do nich efektami należy do częstszych.

W twórczości artystycznej czy naukowej moment spełnienia, choćby się było nawet zadowolonym z uzyskanego efektu, jest jednocześnie stanem, który przypomina zniechęcenie. Oto osiągnięty cel i brak w pierwszej chwili wyraźnie nakreślonej perspektywy przypomina stan próżni, zważywszy natężoną wolę i działania w okresie wcześniejszym. Jest się wyzwolonym od wewnętrznego przymusu, lecz nie zawsze przynosi to zadowolenie.

Istnienie nasze ściśle wiąże się z wszechstronnym i nieustannym rozwojem. Jeśli tak się nie dzieje, to po latach rodzi się poczucie zmarnowanego życia, a W rezultacie załamanie; dochodzi do konfliktów z sobą samym.

Wszystko, o czym wyżej była mowa, wiąże się z bliskim tu tematem – cierpieniem. Jednakże temat ten postanowiłam pominąć. Cierpienie odnosi się właściwie do naszego istnienia w całości jego objawów. „Cierpienie głębsze od rozkoszy” – notuje P. Lagerkvist. „W największej rozkoszy, jaka istnieje, w punkcie kulminacyjnym stosunku seksualnego, istnieje przecucie bólu (podobnie w każdym nieskończonym uczuciu szczęścia). – To jest tak, jakby życie nie mogło znaleźć wyrazu, nie miało wystarczających możliwości dla wyrażenia szczęścia – musi czerpać z przeciwieństwa, ze swojego niezmiernego rezerwuaru bólu” (tłum. J. B. Roszkowski).

I w związku z tą wszechobecnością cierpienia wybieram tylko niektóre z jego postaci. Przy czym ma rację jeden ze skandynawskich pisarzy, T. Gulbrandsen, stwierdzając: „I właściwie najlepiej rozumiemy życie, gdy pogrążeni jesteśmy w bólu”. Chcąc uniknąć cierpienia, choćby cierpienia, które niesie ze sobą zniechęcenie, trzeba by zarazem zrezygnować z życia.

IX. AGRESJA

Od zarania dziejów gromadzą się fakty świadczące o naszej ludzkiej wojowniczości, o nienawiściach, o podziałach na „swoich” i na „obcych”, z którymi prowadzi się wojny. Od zarania dziejów skutecznie jednoczy nas w grupy społeczne nienawiść.

Zgodnie uznając człowieka za wartość wysoką, jeśli nie najwyższą – bo co do Boga zdania są podzielone, uważa się zarazem, że powinien on oddać życie dla ojczyzny. Próbą przełamania tego poglądu jest pacyfizm, w dawnych wiekach głoszony przez niewielkie grupy arian, baptystów i kwakrów. Obecnie pacyfizm zatacza szersze kręgi, a jego

głosiciele – wśród nich m. in. niektóre nowe sekty – domagają się nie tylko zaprzestania wszelkich wojen, ale również zniesienia kary śmierci oraz uprawnień do nieodbywania służby wojskowej.

Myśliciele, począwszy od starożytności, tworzyli koncepcje państwa idealnego, łącząc z tą wizją stan pokoju. Jest to najdobitniej wyrażone w filozofii Kanta. Platon, przykładowo, w dążeniu do harmonijnego państwa proponuje zespolenie wszystkich faktycznymi bądź domniemanymi więzami krwi. Najwidoczniej nie przewidywał agresji w obrębie rodzin, czego jesteśmy świadkami.

Odwiecznym tematem traktatów filozoficznych jest jednak nie tylko koncepcja idealnego państwa, rozwijającego się w pokoju. Równie starym i ponawianym jest stan wojny między jednostkami. Głoszą go niektóre teorie stanu natury, tj. czasokresu przedpaństwowego i przedspołecznego, przez który miała przejść ludzkość. W myśl tych teorii właśnie cechy społeczności są dla człowieka naturalne.

Rośnie nienawiść, wrogość i obcość wobec tych, których oceniamy w kategoriach moralnych zła oraz wobec wrogów, którzy skądinąd mogą być ludźmi prawymi; kategorie polityczne różnią się z moralnymi. Siła staje się momentem decydującym – zwycięzców w walce historia nigdy nie osądzała, im zawsze przypisując słuszość.

Słuszne jest domaganie się rozwoju tkwiących w jednostkach uzdolnień i talentów oraz wiara, że nastanie wreszcie czas, w którym jednostka w pełni zrezygnuje z prawa pięści. Wiąże się to z przetworzeniem ludzkiej struktury psychicznej, a przede wszystkim z wysiłkiem nadania ludzkiej agresji wysublimowanych form.

Warunki zewnętrzne, które by zapewniły pełny rozwój człowieka, składają się zarazem na treść pokojowych stosunków między narodami, zespolone są z przebudową świadomości, z przewyciężeniem stereotypów myślowych w rozwoju dzielenia ludzkości na grupy: przyjaciel – wróg.

Podejmuje się niejednokrotnie agresję w imię zwalczania agresji. Niektórzy myśliciele, jak na przykład Sturm, widzą rozwiązanie problemu agresywności natury ludzkiej w propagowaniu sportu, aż do ryzyka śmierci, czy szerzej – pokojowego współzawodnictwa w szeregu dziedzinach. Niemalą rolę przyznaje Sturm oddziaływaniu sztuki i nagradzaniu dzieł pokojowych (*Kant und die Juristen*). Warto dodać, że był on prekursorem dzisiejszych nagród pokojowych, a pisał przed pierwszą wojną światową.

Myśl o pokoju jest sprzęgnięta z ludzkością od najdawniejszych czasów, choć nigdy w takim natężeniu, jak dziś, nie wypowiedana. Idea pokoju światowego wyraża się mocą proporcjonalną do zasięgu i skuteczności środków niszczenia, jakimi dysponuje człowiek:

O wojnie i pokoju pisali już myśliciele starożytności.

Kant miał słuszność, nierozzerwalnie wiążąc stan światowego pokoju ze sprawą obrony człowieka. Podkreślał, że pokój osiągnięty w danym czasie jest wciąż jeszcze drogą do pokoju. Domagał się wiecznego pokoju, obejmującego cały świat. „... Bez człowieka – pisał Kant w *Krytyce władzy sądenia* – cały stworzony świat byłby tylko pustynią, czymś nadaremny i pozbawionym ostatecznego celu”. A godność człowieka nie dozwala, by mógł być traktowany jako środek do osiągnięcia jakichkolwiek celów. Człowiek ma być traktowany jako cel sam w sobie. Kant ze swą ideą wiecznego pokoju (1793 rok) wyprzedzał na tyle swych współczesnych, że zrozumiany w pełni może być dopiero w naszych czasach.

Nasza narodowa tradycja przekazuje wzory odwagi bojowej, wzory poświęcenia życia w okresie wojny – brak natomiast wystarczająco opracowanych wzorów życia w czasie pokoju, wzorów wiążących zespolenie moralności i polityki z godnością człowieka.

Ani ustanowienie stanu wiecznego pokoju, jak tego domagał się Kant, ani wprowadzenie w wielu dziedzinach współzawodnictwa aż do ryzyka

śmierci, nie rozwiązałyby problemu ludzkiej agresywności. Henryk Heine wspomina swojego dawnego profesora, nazwiskiem Schramm, „... który napisał książkę o wiecznym pokoju i w którego klasie chłopaczyska najwięcej się tłukły” (*Gesammelte Werke*, tłum. Cz. Tarnogórski). Zapobieganie jej wymaga przekształceń w sferze ludzkiej świadomości. Jest to w pewnej mierze niezależne od warunków ekonomicznego, politycznego, kulturalnego życia jednostek. Wielkość człowieka, wyraża się właśnie w tym, że nie jest biernym odbiciem tych okoliczności, że nie jest nimi zniewolony. Przeciwnie. Świadomość człowieka wyprzedza niejednokrotnie obowiązujące systemy, prowokując do radykalnych przekształceń. Rewolucje, które miały miejsce w dziejach, są tego dowodem.

Ze względu na człowieka „jutra”, którego „dziś” pilnie trzeba tworzyć, zachodzi potrzeba zbudowania nowego działu w obrębie filozofii. Przedmiotem dociekań owej filozofii pokoju byłoby opracowanie metod przekształcenia treści świadomości jednostek i formowanie pożądaných modeli postaw. A więc, przewyżczenie funkcjonujących powszechnie ocen wyrażanych w kategoriach: przyjaciel – wróg. Następnie, przewyżczanie uprzedzeń narodowych czy etnicznych. Program taki powinien kształtować również stronę emocjonalno-wolitywną człowieka oraz podsuwać prawidłową hierarchię” wartości do urzeczywistniania.

Od kilku dziesiątków lat rozwija się nauka o charakterze interdyscyplinarnym, prowadząca badania nad uwarunkowaniami pokoju i wojny. Ma ona kilka nazw, m. in. *Friedensforschung*, polemologia (*polemos* – wojna), irenologia (*eirene* – pokój). Rozkwita w USA, Kanadzie, Holandii, RFN, Norwegii i Szwecji. Znaczącą naukę u nas jest Joachim Kondziela. Opublikował książkę *Badania nad pokojem*.

Punktem wyjścia rozważań o jutrze jest antropologiczny punkt widzenia, bowiem nosicielem pokoju jest każdy z nas. Właśnie J.

Kondziela zwraca uwagę na to, że niezbędne jest przygotowanie pokojowo zorientowanych nauczycieli dla szkolnictwa z podstawowym wyłączeniem. Rozważając *Deklarację ONZ o wychowaniu społeczeństw w duchu pokoju*, trzeba uznać, że istotną rolę mogłyby spełniać już teraz, na co dzień, siły społeczne o zasięgu międzynarodowym. W przekształcaniu świadomości i emocji jednostki znaczenie miałyby, przykładowo, wpływ kościołów czy elit intelektualnych.

Wyraża się w takim podejściu do człowieka „jutra” optymizm, wiara w możliwości rozwoju. Wiara w takie ukształtowanie sfery intelektualnej, które doprowadzi do wzmożonego poczucia odpowiedzialności za własne czyny.

A na co dzień? Należałoby traktować każdy podejmowany przez siebie wybór, każdą podejmowaną decyzję jako wzór, według którego mogliby i powinni postępować inni. Zaangażowanie się wobec samego siebie powinno stawać się zarazem zaangażowaniem wobec ludzkości. W tym egzystencjalistom należy przyznać rację.

Postulat człowieka działającego zgodnie z wewnętrzną prawdą, zaangażowanego w sprawy ogółu, a nie tylko własne, jednostkowe, ma znaczenie już w dniu dzisiejszym. A zaczynać trzeba od podstaw. Nie można zwlekać. Potrzebna jest silna opinia publiczna, odznaczająca się pokojowym nastawieniem i respektująca prawa człowieka. Opinia ta dawała, zresztą, nieraz znać o sobie, gdy prawa te były gwałcone. Można przypomnieć choćby sprawę Dreyfusa.

Filozofia dziejów, inaczej historiozofia, nie jest dziedziną zainteresowań wielu filozofów. Częściej zwracają się ku niej pisarze, dążąc do zrozumienia dziejów ludzkości i odkrycia prawideł rządzących tym procesem. *Wojna i pokój* Tolstoja, utwory Krasieńskiego czy hymny Kasprowicza pozostają w kręgu tej problematyki. I zawsze w jej centrum wchodzi zagadnienie wojny i pokoju, rozważania, czy

człowiek udoskonalił w ciągu wieków swą naturę, czy proporcja dobra i zła jest taka, jak w poprzednich epokach. Nie posuwamy się w sposób zadawalający w rozumieniu tego problemu. A ma on wymiar praktyczny, bowiem w obecnej chwili wiąże się ze sprawą zachowania gatunku ludzkiego w obliczu środków zniszczenia, jakie człowiek obmyślił i zdążył nagromadzić.

Agresywność narasta mimo przeciwstawnych dążeń i zabiegów zdecydowanej większości ludzi. Historia, wbrew głośzonym wciąż wzniosłym ideałom, jest zapisem konfliktów i wojen, nie zaś dążeń do wspólnoty. W dalszym ciągu, zresztą, wychowanie w niejednym kraju wiąże się z wyzwalaniem bądź podtrzymywaniem niechęci narodowych i wzbudzaniem przekonania, że ci inni, obcy, są gorsi.

W wymiarze międzyjednostkowym oszukujemy się czasem sami, fałszując przed sobą treść naszych potrzeb. Zdarza się, że, na przykład, szukając pewnych wartości i nie mogąc doprowadzić do ich spełnienia, zaczynamy przenosić na innych przyczynę i winę naszych niepowodzeń. Emanuje z nas niechęć, zjadliwość, jakkolwiek dla siebie pragnęlibyśmy ucuć przyjaznych. Obwiniamy tych, którzy są w pobliżu, na co dzień, najczęściej rodziców, bo ci są pod ręką. Nieznośna monotonia zwykłych dni może wywoływać agresję u tych, którzy nie potrafią znaleźć do codzienności klucza. Podświadomie szukają sporów, zaczepek, wywołują awantury, piją, ażeby w tych konfliktowych sytuacjach znaleźć zastępcze zaspokojenie potrzeby niezwykłego życia.

Próby samobójcze też niejednokrotnie są wyrazem agresji wobec otoczenia, jakkolwiek wymierzone w siebie samego. Pragnie się w ten sposób wyrazić swoją bezsilną wrogość wobec innych, ukarać ich. Targnięcie się na własne życie bywa rozpaczliwą próbą zwrócenia uwagi na siebie, bywa również wyrazem zemsty za niedosyt zainteresowania i bywa też spowodowane chęcią wywołania trwałych wyrzutów sumienia

u innych. Ktoś z kręgu moich przyjaciół zakończył życie śmiercią przez powieszenie w momencie, gdy utracił całkowitą nadzieję na zatrzymanie przy sobie osoby, którą kochał. Cierpiał w sposób odbierający chęć do dalszego trwania, bowiem oddał się całkowicie miłości. A tylko jako wyrzut sumienia miał szansę trwale zapisać się w pamięci ukochanej istoty.

Agresja zarówno w sprawach drobnych, jak i wielkich pomnaża ogólną masę nienawiści i utrzymuje nas w antynomii: wróg – przyjaciel. Kilka pokoleń Polaków wychowywało się na Sienkiewiczu, który w *Potopie* stwierdzał: z żadnym nieprzyjacielem nie paktować, ale wszystkich bić! Słów tych nie wywiódł z historycznej próżni. Jest to przykład kłopotów z pojęciem pokoju w obrębie jednej tylko narodowości i jej dziejów.

Zdaniem Borosa, sprawą, od której należałoby zaczynać, jest rozmowa wrogów, „... a trzeba ją zapoczątkować w sobie samym. Linie podziału przebiegają w nas samych. Rozmowę trzeba odbyć najpierw we własnym wnętrzu. W tej wewnętrznej rozmowie z «wrogiem we własnym sercu», jeśli doprowadzi się ją nieprzerwanie do końca, dozna się oświecenia i rozjaśnienia, nauczy się bezstronności i trzeźwości myślenia” (*Odkrywanie myśli*, przeł. Cz. Tarnogórski), Stan pokoju zależy w jakiejś mierze od każdego z nas, od naszej postawy wobec innych. Nie powinni mówić o pokoju, i chyba raczej nie mają ku temu prawa ci, którzy na co dzień uprawiają wojnę podjazdową, rzucają za plecami oszczerstwa, słowem – są w stanie czynnej wojny w dostępnym im wymiarze.

Wrażliwość na sprawy innego człowieka, zespolona z czynnym działaniem, nie pozwala zacieśniać się do żalosego podwórka własnych interesów. A więc, chcąc zachować pokój – czyli podstawę prawidłowego układu stosunków między narodami – trzeba zacząć od siebie.

Wychowywanie i samowychowywanie siebie w duchu pokoju jest procesem złożonym i dlatego wielu przedstawicieli irenologii domaga

się powołania odpowiednich instytutów uniwersyteckich. Wydaje się, że przedłużeniem ich oddziaływania byłoby powołanie naukowego Towarzystwa Pokoju (nie spierajmy się o szczegółową nazwę) w każdym z krajów. A może bylibyśmy w tym pierwsi? Warto zainicjować to pod warunkiem, że w tym gronie chodziłoby merytorycznie o ideę pokoju, nie zaś o wzajemne świadczenie sobie tą drogą honorów, co dzieje się przecież w niektórych towarzystwach naukowych o szczytnych celach społecznych i pięknych nazwach.

Tworzenie warunków dla pokoju wiąże się najściślej z odpowiednią przebudową struktur psychicznych jednostek. Nie mniej ważne dla sprawy przezwycięzania agresji jest obalenie barier i niwelowanie uprzedzeń.

X. MIŁOŚĆ I PŁEĆ

Ustawiczny proces twórczy, któremu podlega rzeczywistość w interpretacji i wyobraźni jednostek o usposobieniu artystycznym, napawa zwykle innych, tych zadomowionych w jednowymiarowej codzienności, lękiem, śmiechem, oburzeniem. Jednostki pokroju Salvadora Dali narażone są zwykle na ataki, bowiem trudno o tolerancję w życiu społecznym. Przekonanie, że większość zawsze ma rację, powoduje, iż oczekuje się podporządkowywania sposobu życia temu, co powszechnie obowiązujące.

Społeczeństwo jest wyjątkowo nietolerancyjne, zwłaszcza polskie, dla wszelkich odmienności obyczajowych. O amerykańskiej aktorce Liz Taylor, która po raz ósmy wychodzi za mąż, pisze się u nas z przekąsem, oceniając ten fakt złośliwie i czysto zewnątrznie jako „dalszy ciąg jej nieustannych polowań na mężczyzn”. W dziedzinie obyczajowej, mimo wielu przemian, w dalszym ciągu panuje u nas atmosfera podwójnej

moralności. Wszelkie odstępstwa od ogólnie przyjętych zasad mogą się odbywać jedynie po cichu. *Moralność pani Dulskiej*, ostre oskarżenie naszego społeczeństwa przez Zapolską, nie straciło, niestety, nic na znaczeniu.

Zagadnienie miłości – sprawa osobista, w której dochodzi do głosu konglomerat złożonych właściwości danego człowieka – podlega szczególnie ostrej cenzurze społecznej obyczajowości. Dziedzina, w której każdy powinien mieć nieskrępowane prawo wyboru i oceny, podlega wielu naciskom rodzinnym i środowiskowym. Wprowadzenie ślubów cywilnych po drugiej wojnie światowej jest u nas krokiem prawnym sprzyjającym podejmowaniu wolnego wyboru. Przed II wojną światową zawarcie ponownego małżeństwa – o ile nie było powodów do unieważnienia poprzedniego – wiązało się z koniecznością zmiany wyznania katolickiego na inne. Na przykład, Stefan Żeromski zmienił wyznanie na ewangelickie, by móc ożenić się ponownie.

Oczywiście, nie zachodzi związek nierozzerwalny między miłością i jej formalnym wyrazem, tj. ślubem, ale potrzeba poczucia bezpieczeństwa, silniejsza u kobiet, zaspokojona może być tylko w związku sformalizowanym. Potrzeba, zresztą, na tyle silna, że nawet obserwowane obrazy licznych niedobrych małżeństw i powszechność konfliktów dwojga, nie osłabiają chęci podejmowania takiej formy życia. Charakterystyczne, że w Europie w połowie naszego stulecia rozgorzała walka o formalny wyraz dla uczuć miłości homoseksualnej. Świadczy to o silnej potrzebie urzeczywistnienia uczuć miłości w postaci małżeństwa. Próby grupowych małżeństw pozostały ograniczone do niewielkich kręgów nawet w krajach o liberalnej opinii społecznej.

Miłość erotyczna jest związkiem nietrwałym, przemijającym z biegiem czasu, a – paradoks! – domagającym się zapewnienia o wiecznym trwaniu, o nieustannie wzmagającym się natężeniu oraz wyłączności.

Małżonkowie związków trwających lat kilkadziesiąt w dziwny sposób upodobniają się do siebie, przypominając rodzeństwo, i trudno w nich rozpoznać zakochaną dawniej w sobie parę. Ich stosunek też tchnie miłością. Skąd więc moje wcześniejsze orzeczenie o przemijalności tego stanu uczuciowego?

Otóż pojęcie miłości jest jednym z najbardziej wieloznacznych. Określa się tą samą nazwą odmienne stany uczuciowe, jak miłość ojczyzny, przyrody, bliźniego, Boga, rodziców. Mówi się o miłości rodzeństwa, papieża, kocha się ciotkę i stryjków, swój zawód, babcię, zwierzęta i wybranego, z którym chciałoby się pobrać. Różne są więc zakresy uczucia miłości i różne jej przedmioty; od jednostkowych do zbiorowych. Słusznie wydaje się zastępowanie nazwy „miłość” – w pewnych jej przejawach – nazwą „życzliwość” czy „przyjacielskość”.

Miłość, która zarazem wiąże się z namiętnością, chciałoby się określić wyłącznie w stosunku do innej płci – ale może to być również miłość homoseksualna – stanowi zarzewie twórczości pisarzy, muzyków, malarzy. Jest to rodzaj miłości szczególnej, przyspieszający siłą namiętności nasze działania, dający poczucie pełni życia, rodzaj całkowicie przeciwstawny stanom osamotnienia, zdolny wyrwać z depresji, wzmagający siły psychiczne i dający się sublimować – i szkoda, iż brak na jego określenie odrębnej nazwy. Miłości Solveigi i Peer Gynta, Abelarda i Heloizy, Tristana i Izoldy – zadomowione w literaturze – wydają się równie rzeczywiste, jak miłość Salvadora Dali do żony Gali, z którą rozwodził się kilkakrotnie po to, by na nowo przeżywać pierwsze uniesienia, czy równie rzeczywiste, jak, miłość Onassisa i Marii Callas, czy – sięgając do naszych przykładów – Maksymiliana Gumpłowicza, syna wybitnego filozofa, do Marii Konopnickiej, zakończona śmiercią samobójczą pod drzwiami poetki. Może Konopnicka uciekła przed tą miłością, bo nie miała tyle odwagi, co Isadora Duncan, która wyszła za mąż za młodszego

o siedemnaście lat Jesienina?

Ulegając presji obyczaju i powszechnych mniemań, wyrządza się krzywdę osobom starszym. Egoizm młodości nadał rangę prawdy mniemaniom, że tylko młodzi mają prawo do miłości. Egoizm młodości chciałby ześrodkować na sobie dążenia i zainteresowania rodziców i dziadków. Póki są sprawni fizycznie, odbiera im prawo do życia osobistego, staje na przeszkodzie powtórnym związkom. Tymczasem uczucia miłości w wieku sędziwym są może jeszcze bardziej cenne. Mogą ratować od lęku przed śmiercią. Miłość i śmierć – to dwa przeciwstawne krańce. W każdym czasie może pojawiać się widmo śmierci. Przewyciężyć może je tylko miłość, chociaż przynosi ona chwile uniesień niemal agonalnych. Znam przeszło osiemdziesięcioletniego Wiedeńczyka, który na tej drodze wyszedł z ciężkiej depresji. Od ludzi tak umiejących angażować się uczuciowo w późnym wieku warto się uczyć mistrzostwa życia.

Miłości nie można ani zakazywać, ani nakazać. Można się jej wyrzec. Ale to, chociaż ocenia się często jako heroizm, najczęściej płynie ze słabości i z lęku przed obowiązkami i odpowiedzialnością. Znamy wartość miłości ze smutnych okresów, kiedy pozbawieni jej, szukamy nadaremnie innego celu. A czym właściwie ona jest? Czy zawsze wymaga ofiar? Wiadomo jest tylko, że potęguje naszą zdolność doznawania i że wzmaga w nas egoizm, bowiem inni stają się nam potrzebni głównie po to, aby wykrzyczeć światu to uczucie, które, jak się wydaje, uczyniło nas, tylko nas, wybranymi i wyjątkowymi.

Istnieje język na świecie, w którym akt erotyczny i poznawanie są oznaczone tą samą nazwą. Jest to oczywiste uproszczenie, o ile się nie doda, że warunkiem wzajemnego poznawania (i zarazem poznawania siebie) tą drogą jest miłość dwojga. Miłość, która jest uczuciem nie wymagającym słów. Gest, dotyk zbliżają bardziej niż słowa. Zespoleńia pozbawione miłości pozwalają zaznać najwyższej wzmoczone odczucie

obcości i skrajną samotność, co ilustrują obfitą ilością przykładów współczesna literatura, teatr, a zwłaszcza film, niedyskretnie i drastycznie ujawniający w wyrazisty sposób prawdę o tej stronie życia człowieka, której dominująca rola bywa w rzeczywistości mimo wszystko raczej starannie skrywana.

Nasza kultura obyczajowa nie pozwala na odważne odsłanianie najważniejszych sfer życia uczuciowego. Erotyzm, zwłaszcza spleciony z miłością, wywala wewnątrz, a więc wyrywa z tego, co uznawane jest za obowiązujące. Porywem swym przekreśla żmudne spełnianie obowiązków i nastawia egoistycznie. Wyrywa z udziału w sprawach ogólnych i wspólnych. Zawija się mimo różnic narodowości i pochodzenia. Choćby przykład związku Jana Kasprowicza, chłopca, z arystokratką, Rosjanką, młodszą od niego o trzydzieści lat, trzecią żoną poety.

Niestety, znacznie więcej napotykamy przykładów miłości tragicznej, niespełnionej, jak poetki Bronisławy Ostrowskiej do Wacława Berenta, czy Joasi do Judyma. Przesycone tragizmem takiego stanu uczuciowego jest malarstwo Edwarda Muncha. A nawet miłość spełniona nabrzmiewa czasem głębokim smutkiem, którego sens wyraziła znakomicie Małgorzata Hilar w jednym ze swoich wierszy:

*Nie sprawdzę
czy odczuwasz to samo co ja
głaszcząc kosmatą owcę
Nigdy nie dowiem się tego
choćbym oglądała twoje palce
pod słońcem
albo dotykała ich wargami*

Znamienne, że kobiece widzenie problemów miłości równie wnikliwie, jak one wyrażają mężczyźni. Odwrotnie udaje się to gorzej. Ingmar Bergman czy Amerykanin Martin Scorsese (film *Alicja już tu nie mieszka*) to przykłady twórców wyrażających złożoność przeżyć miłości po stronie kobiecej. Być może – jak wynika z ich filmów – potrzebne są nieraz drastyczne wydarzenia, by kobieta zmierzyła się ze światem, bowiem pełne wykrystalizowanie indywidualności kobiety zachodząc może jedynie poprzez mężczyznę. Ten ostatni dokonuje tego w sposób od kobiety niezależny. Ta odmienność procesów zachodzących w obu płciach uwypukla zdwojoną potrzebę miłości w świecie kobiet, bowiem cały kształt kobiecego świata pozostaje w najściślejszej relacji z mężczyzną i poprzez pryzmat stosunku do niego kobieta rozstrzyga sprawy własnego poglądu na świat. W swojej biografii Isadora Duncan pisze: „często zastanawiałam się, czy kobieta może być rzeczywiście artystką, ponieważ sztuka jest bezwzględny mistrzem, żądającym wszystkiego dla siebie, gdy tymczasem kobieta, kiedy kocha, wszystko oddaje życiu”. Przy czym, jak słusznie pisze Ostrowska w swoich rozmyślaniach, „miłość nie może być wielka ani mała – jest lub nie ma jej. Określać można tylko surogaty miłości”. Wyznania wszystkich kobiet, z wybitnie utalentowanymi włącznie, są w zasadzie zbieżne. Każda pragnęłaby sprowadzić swoje życie do miłości.

Surowe kodeksy moralno-obyczajowe, zwłaszcza w państwach, które stają na straży purytańskiej obyczajowości, przekornie wzmagają zainteresowanie sferą zagadnień erotycznych.

Nie tylko bywają warunki patologiczne, ale i sama miłość przybiera nieraz postać złowrogą. Mam tu na myśli rzesze żon alkoholików, które trwają przy swoich wybrańcach, bowiem związek taki zaspakaja potrzebę poczucia niezbędności choćby dla jednego człowieka. Na znacznie wyższym poziomie podobne zjawisko wystąpiło, na przykład, w życiu

wybitnego kompozytora, Gustawa Mahlera. Nie taił przed swoją żoną, Almą, *ultimo voto* Werflową, że gdyby zeszpeciła ją jakaś choroba, gdyby nie mogła się nikomu poza nim podobać – wtedy dopiero dowiódłby jej, jak ją kocha.

Dla rozważań na temat miłości fundamentalne znaczenie ma następujące orzeczenie Nietzschego: „To, czego dokonywa się z miłości, dzieje się zawsze poza dobrem i złem”. Anna Magnani – jak wynika ze świadectw jej przyjaciół, zwłaszcza Tennessee Williamsa – należała właśnie do grona tych, którzy odrzucają przyjęte ogólnie kategorie dobra i zła i mają odwagę poza tymi granicami rozstrzygać problemy własnego życia, własnych miłości, w sposób autentyczny. Ale bywają też postawy odmienne, do których przyznaje się wspomniany dramaturg amerykański. Można być wewnętrznie prześladowanym przez nieustannie dające znać o sobie poczucie winy. Potrafi ono, naturalnie, niszczyć uczucie miłości i powodować – denerwujące dla drugiej strony – postawy pełne wahania, wątpliwości i braku decyzji.

Miłość jest problemem odwiecznym. Jest siłą zdolną nawet pewne schorzenia, zwłaszcza psychosomatyczne, przezwyciężyć. Ale nie każdy jest zdolny do tego uczucia. Wiąże się to zapewne z niezdolnością do uczuć wyższych w ogóle. Zdarza się inaczej. Namiętność pozbawiona sublimacji staje się siłą potężną, niszczącą życie, siłą pochłaniającą i spalającą. Przykład znakomity to film Nagisa Oshimy *Królestwo zmysłów*, oparty na autentycznym wydarzeniu z lat trzydziestych naszego wieku. Pewna dziewczyna i właściciel oberży ulegli zatraceniu w miłości, zatraceniu prowadzącym do śmierci. Ich miłość staje się symbolem namiętności bez granic. On rzuca żonę, dzieci; ona czasem tylko pojawia się w domu starszego człowieka, który ją utrzymuje. Kochankowie chcieliby przelać przepelniającą ich namiętność na innych; zaszczepić innym swój wyjątkowy stan i, być może, zyskać w ten sposób aprobatę.

To, co się dzieje między nimi, nie ma żadnego związku ze światem na zewnątrz ich ciał. Pochłania ich potęgowanie własnej rozkoszy i zachwyty, że można dla kogoś tak wiele znaczyć, być bez reszty pożądanym. Nawet w naturalizmie zawierać się może symbolika. Skandalizując swymi dziełami, twórcy wyrażają w nich znacznie więcej, niż krytycy na ogół chcą dostrzegać.

Inaczej George Sand. „Pragnienie miłości było jej «daimonem», a poznając ją głębiej dochodzi się do przeświadczenia, że w swoich przygodach miłosnych szukała znacznie mniej zaspokojenia zmysłów niż możliwości odnalezienia siebie samej”. W pięknej biografii, *Żal Szopenowski*, czytamy, że umiała oddawać się w pełni, bez zastrzeżeń i bez rezerw temu, kogo kochała. Za każdym razem wydawało jej się, że umrze z tej miłości którą właśnie przeżywała. Taką moc wyrazu miłości odczuwa również wielu homoseksualistów, zwłaszcza tych, którzy uznając ją za wartość nadrzędną, uczuciu nadają walor sztuki.

Sens prawdziwej, głębokiej miłości wyjaśnia znakomicie Włodzimierz Odojewski w *Opowieści starożytnej*. Otóż rodzi się ona, „kiedy uświadamiamy sobie własne pragnienie posiadania, a równocześnie pojmujemy okrutną konieczność rezygnacji. Rezygnacji może nie całkowitej, powiedzmy: z wyłączności (tym bardziej to bolesne, wciąż bowiem podsycające nadzieję), ale jeśli na to przystajemy i nie odchodzimy od razu, to to jest miłość”. Zazdrość towarzyszy miłości i od niej nie da się uciec.

W latach siedemdziesiątych w USA zaczęto wreszcie otwarcie pisać o wpływie homoseksualizmu na życie codzienne oraz artystyczne, a zwłaszcza teatralne, ze względu na powszechność wśród twórców tej właśnie formy miłości. Przyjęte konwencje zmuszają do wymyślania dwupłciowych wersji dla homoseksualnych przeżyć. Tragedia mieści się w cenzurze obyczajowej i konwencji, które żądają zamaskowania. Po to,

by wyrażać swoje przeżycia, homoseksualista musi się maskować. Część dziennikarzy i krytyków w USA dopomina się o prawo do szczerego pisania o uczuciach, które dramaturg zna z własnego doświadczenia. Obłuda bywa przytłaczająca. Ukrywanie uczuć prowadzi do nienawiści wobec tych, którzy do tego zmuszają.

Przedmiotem miłości niekoniecznie musi być człowiek, ale *gros* rozważań tego rozdziału dotyczy miłości związanej z namiętnością, w której dochodzi do głosu chęć jedności z tym, kogo się kocha oraz chęć posiadania go w sposób wyłączny, aż do uzależnienia od siebie. Zaznaczę tu tylko, że w wypadku usposobienia marzycielskiego bliska może stać się koncepcja związków miłosnych opartych na porozumieniu duchowym, których ideę szerzył u nas nie tak dawno Wincenty Lutosławski, filozof o światowym znaczeniu.

Głośny *Kinsey's report*, opublikowany w USA, sprowadza temat miłości do anatomii, fizjologii i techniki seksualnej. Zagadnienie płci zostało w tym studium pozbawione swojego wymiaru metafizycznego i potraktowane jako zagadnienie higieny ciała. Oczywiście, nie jest to tylko stanowisko Kinsey'a i taki sposób podejścia nie zaznaczył się dopiero w połowie dwudziestego wieku.

Współczesna seksuologia walczy o zmianę złego nastawienia do homoseksualizmu, wyjaśniając, że nie jest to perwersja, lecz wrodzona bądź nabyta zmiana przedmiotu pożądania. Uważa się również słusznie, że homoseksualizm nie powinien być oceniany w kategoriach moralnych. Niektórzy twierdzą, że stanowią oni „trzecią płć” i że jest to jedna z postaci normalnego, skoro właściwego nam, życia seksualnego. Wielu wybitnych twórców odznacza się tymi właściwościami. Podobnie jak wśród heteroseksualistów, wśród ludzi o omawianej tu skłonności, znajdują się obok jednostek niepospolitych – także ludzie tworzący margines społeczny.

W Polsce od 1932 roku homoseksualizm nie jest karany, a kodeks karny obowiązujący od 1970 roku zniósł kary również za homoseksualną prostytucję, a więc została zrównana z heteroseksualną. W naszej literaturze naukowej lat powojennych zwraca uwagę wielostronnością i wielopłaszczyznością ujęcia problemu artykuł Tadeusza Gorgola pt. *Niektóre aspekty prawno-społeczne homoseksualizmu* („Palestra” 1977 nr 10).

Autor słusznie podkreśla, że niejednokrotnie homoseksualiści „odbierają namiastkę miłości jako miłość, w czym pomocny jest pierwiastek marzycielski i fantastyczny, występujący u tych ludzi w wyższym stopniu niż u heteroseksualistów”. T. Gorgol podaje, że homoseksualiści stanowią średnio 5% ogółu społeczeństwa. Nie należy zapominać, że w starożytności homoseksualizm był opiewany i kultywowany.

Miłość jako przeżycie niepowtarzalne, wyjątkowe, daje poczucie odmienności od innych doznań. Jeśli dana osoba jest zakochana trzeci czy piąty raz w życiu, to za każdym razem zostaje w niej zaspokojona potrzeba wyodrębnienia spośród tłumu. Wzrasta poczucie własnej wartości wraz z oddźwiękiem, który wywołujemy w kimś innym. Chcąc utrzymać miłość erotyczną w natężeniu, aktorzy wielokrotnie, by wymienić ich jako przykład, wchodzą w nowe związki małżeńskie. Bohaterowie Becketta, czyniąc rozrachunek ze swoim życiem, zatrzymują się głównie na sprawach związanych z płcią. Czyżby miłość była właśnie tym, do czego ostatecznie sprowadza się nasze życie, choćbyśmy się wobec tego buntowali?

XI. PRZYJAŹŃ

Do relacji międzyludzkich, rozumianych niejednoznacznie, należy przyjaźń. Zalicza się ona w każdym razie do tych związków, dla których obojętna jest płeć, wiek, stanowisko w hierarchii społecznej, wykształcenie czy stopień zamożności. To znaczy, pojawia się wtedy, gdy między dwiema jednostkami zawiązuje się bezinteresowny kontakt, gdy rodzi się poczucie „bratniej duszy”. Wraz z tym odejściem od traktowania innych jako środków do naszych celów kształtuje się postawa lojalności, bez której przyjaźń zostaje pustym dźwiękiem. „Jak rzadko człowiek na spotykanego w życiu bliźniego tylko jak na człowieka patrzy” – czytamy u Bronisławy Ostrowskiej. „Zwykle widzi splot interesów lub obowiązków, któremu samo wrażenie obcowania z ludźmi jako ludźmi zacierają. Otrząśnięcie się z pęt tych konwencji i względów – oto pierwszy stopień człowieczeństwa”. I – dodałabym – punkt wyjścia przyjaźni.

Lojalność przenika wszelkie, różnorodne odmiany przyjaźni i skłania niejednokrotnie do jej czynnego manifestowania. Przyjaźń pozwala przewyciężyć stany osamotnienia, ale – i o tym trzeba pamiętać – poza głęboką radością, zaspakajającą nasz egocentryzm, niesie ze sobą zobowiązania wobec drugiego człowieka. Zdarzają się sytuacje konfliktowe, w których trzeba umieć połączyć inne obowiązki i te wynikające z przyjaźni. Zdarza się też położyć na szalach obowiązki rodzinne oraz te, mające źródło w przyjaźni. Toteż nie każdy człowiek jest do niej zdolny. Ulega choćby presji zazdrosnego męża lub żony czy dodatkowego zdobywania pieniędzy, by wzmocnić w taki sposób swój prestiż w domu. Różne są przeszkody na drodze przyjaźni, a wśród nich nieraz wiele małostkowości. Trzeba umieć i chcieć je przewyciężać.

Przyjaźń wymaga nieraz ofiar, a w każdym razie wykraczania

poza egoizm, egotyzm i egocentryzm. A bywają jednostki zapatrzone w siebie, jak również takie, które umieją myśleć tylko kategoriami interesu własnej rodziny. Ale o tym, niestety, że ktoś nie jest zdolny do przyjaźni, dowiadujemy się przeważnie już w sytuacji dla siebie trudnej, kiedy przyjaźń jest nam najbardziej potrzebna. Przeżywamy gorycz rozczarowania, zawodu, a nawet zwątpienia o człowieku w ogóle, skoro spośród wszystkich za najgodniejszą naszej przyjaźni uznaliśmy właśnie tę osobę, która nas zawiodła.

Przykre i trudne, gdy z perspektywy czasu zmuszeni jesteśmy zastanawiać się nad tym, czy rzeczywiście z danym człowiekiem wiązała nas przyjaźń. Bywają bowiem rozstania nie poprzedzone ani konfliktami, ani zmniejszonym stopniem wzajemnego rozumienia. Odejścia jednej ze stron bez rozdzwiku. Można odnieść wrażenie, że nie jest już jej potrzebna przyjaźń, ponieważ innego typu uczucie zaczyna ją całkowicie pochłaniać. Okazuje się więc wtedy, że nie my sami byliśmy darzeni przyjaźnią, że właściwie traktowano nas tylko jako pełne wyrozumienia lustro.

Zdarza się czasem w życiu, i to niezależnie od ilości lat, że osacza kogoś krąg nieżywych. Bywa, że ma się więcej bliskich, a w tym przyjaciół, „po tamtej stronie”. I wtedy, zwłaszcza w wieku sędziwym, przyjaźń może stawać się jedynym pomostem ze światem. Czuć się potrzebnym, choćby jednemu człowiekowi, to znaczy mieć radosną chęć istnienia. Nieludzkie są sytuacje schorowanych bądź starych osób, wyczekujących nadaremnie przyjaznego znaku od kogoś.

Nasze życie wewnętrzne przebiega na różnych płaszczyznach i poziomach. Toteż postacie przyjaźni bywają różnorodne. Od zawiązywanych w momentach krytycznych – na wojnie, w obozie, w czasie prześladowań (*Kameradschaft*) – do przyjaźni wyrażającej się w pomocy i współdziałaniu w codziennych trudach, do związków przyjaźni

opartych na wspólnych czynach, przybliżających pewne ideały. Bywa też przyjaźń o charakterze, powiedziałabym, psychoterapeutycznym, w której strony wzajemnie otwierają się wobec siebie i zwierzają z najbardziej intymnych wzruszeń. Zresztą, stosunek, jaki zawiązuje się między pacjentem a psychoterapeutą, jest też jedną z odmian przyjaźni.

Bywają przyjaźnie trwające od ławy szkolnej aż po późny wiek, i takie, które zawiązują się nieoczekiwanie. Swoisty sens mają zetknięcia z kimś nieznanym, w czasie których odczuwa się niemal dotykalnie pełne porozumienie. Spotkania o trwałym znaczeniu, nie mające się już nigdy powtórzyć. Bywają takie zdarzenia w czasie podróży. Przeżyłam podobne, pełne treści spotkanie podczas wędrówki w Rauris, miejscowości alpejskiej. Przyjaźń listowna, głęboka i mająca wyraźny oddźwięk w twórczości, łączyła Tadeusza Bairda z Haliną Poświatowską. Nigdy nie mieli się spotkać.

Przyjaźń to trwały punkt odniesienia w różnorodności przeobrażeń świata i naszego własnego rozwoju. Oczywiście, ważne jest, by przemiany następowały u obu stron. Przyjaźń daje możliwość powrotu do siebie sprzed lat dzięki pamięci tego, kto towarzyszy naszej drodze przemian. Staje się naszym lustrem. Przynosi poczucie identyczności siebie obecnego z sobą dawnym.

Przyjaźń to wykraczanie poza siebie, to forma osvajania się z tym, co wobec nas zewnętrzne, to postawa ufności wobec innego. Jest świadomym wyborem w przeciwieństwie do miłości, w której nie zawsze dochodzi do głosu owo wewnętrzne porozumienie, decydujące o przyjaźni oraz poczuciu przenikalności wewnętrznych światów.

Przyjaźń wiąże jednostki wyznające analogiczną hierarchię wartości, podobnie myślące i czujące. Trwałość związków przyjaźni i brak wyraźnego czy uświadomionego podłoża erotycznego decyduje o jej odmienności od uczuć miłości. Przyjaźń ma szczególne znaczenie dla

tych, którzy podejmują trud kształtowania własnej indywidualności. Łączy się on bowiem zawsze z jakimś stopniem nieprzystosowania do otoczenia, które wzmagą potrzebę odnalezienia kogoś bliskiego nam w swojej wierze.

Zespolenie duchowe w przyjaźni pozwala zwiększyć stopień naszej samowiedzy, a w tym także drzemące w nas możliwości. Znakomity, pełny obraz przyjaźni zawarł Romain Rolland w powieści *Jan Krzysztof*.

Zastanawiające, że przyjaźń częściej łączy ze sobą mężczyzn niż kobiety. Może dzieje się tak dlatego, że uczucia miłości nie wypełniają mężczyzny na tyle szczelnie, by nie zanikała w nim potrzeba przyjaźni. Kobiety, na ogół bardziej zaabsorbowane krzątaniną dnia codziennego niż sprawą kształtowania własnego „ja”, mniej wykazują zainteresowania przyjaźnią.

Uzasadnienie przyjaźni można sformułować. W miłości nie wiemy, czy kochamy kogoś, czy stany uczuć i wzmożone poczucie istnienia aktualizowane jest w nas przez innych. Kochamy często wbrew rozumowi i wbrew woli. Z przyjaźnią jest inaczej.

Dążenie do przyjaźni świadomie dochodzi do głosu w wieku kilkunastu lat. Warto dokładać starań, by przetrwało. Trudne są początki tych przyjaźni, które się nie zawiązują w rezultacie intuicji, niemal w momencie poznania. One jakby powoli narastają. Wymagają przełamania wzajemnych barier i nieufności. Czasem zaczynają się dopiero pod wpływem doznanej pomocy w trudnej sytuacji. Zaczynamy sobie zdawać sprawę, że możemy liczyć na czyjeś zrozumienie i gotowość działania. Odpowiadamy tym samym.

Wydaje się, że zbyt pochopnie szafuje się słowem „przyjaźń”. Określa się tak, na przykład, związki oparte na wymianie plotek i jakże emocjonujących obgadywań podczas wspólnego picia, oparte na wspólnych interesach. Wzajemne składanie sobie wizyt nie jest też jeszcze

przyjaźnią, choć jako życzliwość może do niej prowadzić. Bywają za to autentyczne przyjaźnie, w którym słowo to nie pada. Bywają takie, które trwają żywo mimo rzadkich kontaktów. Są ludzie, którzy spotkawszy się po latach, rozmawiają tak, jakby ostatni raz widzieli się wczoraj.

Stajemy się szczególnie bezradni, gdy spotyka nas obmowa z czyjejs strony, a zwłaszcza, gdy czyni to ten, kogo uważamy za przyjaciela. Jesteśmy z reguły bezsilni, jeśli przypisuje się nam czyny nie popełnione i motywy różne od rzeczywistych. Możemy przed kimś wykrzyknąć swoją złość, bezsilę. Ale co począc ze wzbierającym żalem?

Żal wypełnia nas zawsze, gdy przeżywamy rozczarowanie. Jest on osadem niespełnionych nadziei, które, wydawałoby się, miały nie urojony grunt. Żal to stan, który osacza i przepelnia nas swoistą mieszaniną pro testu, wzburzenia, poczucia krzywdy i opuszczenia. Jest on przenikliwym milczeniem, nie dającym się opisać słowami, choćbyśmy najdokładniej próbowali to czynić. Oplata nas jak pajęczyną. Zniewała tak skutecznie i subtelnie, jak nitka dziecko powiązane nią z nakazem bezruchu. Nikomu nie można żalu zawiedzionej przyjaźni do końca przekazać, a zwłaszcza temu, kto to uczynił.

Być może, my, Słowianie, mamy nadmierną łatwość otwierania swojego wnętrza przed innymi. Spotkania wzbierają zwierzeniami. Umiemy mówić o sobie. W czasach dawniejszych istniała instytucja przyjaciół domu. Nie byli oni naczyniami do wylewania zwierzeń. Same ich odwiedziny, obecność, były momentem odświętnym, a wymiana myśli i wrażeń pobudzały obustronnie do samorozwoju. Stawały się katalizatorem i przenosiły na kolejne pokolenie. W taki sposób również wzrastała tradycja.

XII. EMPATIA

Nasz stosunek do innych przybiera postacie, które można objąć skalą od egoizmu oraz egocentryzmu do empatii. Ta ostatnia jest czymś więcej niż przejawem życzliwości i sympatii do jakiegoś człowieka; jest szczególnym rozumieniem. Polega ona na umiejętności nie tylko wysłuchania kogoś, nie tylko myślowego przeniknięcia czyichś spraw, lecz na wniknięciu w świat wewnętrzny rozmówcy, i to w sposób nieoceniający. Jest to zdolność postawienia siebie w sytuacji kogoś drugiego, a co za tym idzie – emocjonalnego odebrania odczuć tego, kto nimi się dzieli. Jest to subtelne przeniknięcie od wewnątrz czyjegoś świata. Ma ono sens podwójny. Przewycięża obustronnie stan osamotnienia, jak również pozwala zmultiplikować swoje własne życie. Wzbogacamy się o sposób odczuwania innego człowieka. Współodczuwanie jest istotniejsze dla porozumienia od współrozumienia. Krasiński podkreślał pragnienie wzajemnej identyfikacji siebie z innym człowiekiem jako stan upragniony.

Empatia – jeżeli nie ma prowadzić do stanów konfliktowych – musi przebiegać w obu kierunkach. W przeciwnym razie jedna ze stron zostaje sprowadzona do roli bezpłatnego psychoterapeuty, a druga staje się coraz bardziej zachłanna i bezwzględna. W końcu żywi urazę, gdy nie jest się jej nieustannym powiernikiem i podporą.

Wczuwać się w stan ducha innego człowieka i rozumieć go można tym łatwiej, im bogatszy ma się zapas własnych doświadczeń i przemyśleń. Być może potrzebna jest świeżość odczuwania, którą ma dziecko, po to, by trafnie przejąć „spowiedź” drugiego i nie wepchnąć go w swoje schematy... „Spowiedź” nie jest warunkiem procesu empatii. Również dochodzi ona do głosu, gdy ktoś milczy.

Empatia to nie tylko swoisty rodzaj pełniejszego poznawania ludzi,

ale również – samego siebie. Wgląd emocjonalno-intelektualny w innego poszerza świadomość naszego „ja” spełnionego oraz „ja” pożądanego.

W szczególnie sposób empatia wiąże się z twórczością poetycką, i szerzej, literacką. Pisarz wnika w świat przeżyć swoich postaci, powołując je do życia. W innych dziedzinach twórczości artystycznej empatia dochodzi zapewne w równym stopniu do głosu, ale jest to niesprawdzalne. Bo jak ustalić stopień empatii muzyka czy malarza? Można mówić o empatii czy jej braku po stronie odbiorcy wobec konkretnego dzieła kompozytora lub malarza.

Stając się w procesie empatii jakby innym człowiekiem i z jego punktu widzenia spoglądając na świat, w dalszym ciągu pozostajemy sobą – tyle że ulega zmianie perspektywa. Intuicja, jako czynnik irracjonalny, pełni tu istotną rolę. Jest ona niezbędnym źródłem poznania, uzupełnieniem naszego zmysłowego, uczuciowego oraz racjonalnego sposobu reagowania na świat.

Intuicja, związana ściśle z empatią, jest pojęciem szerszym. Jest rodzajem poznania bezpośredniego, w którym wprost wychytujemy pewne prawdy, bez uciekania się do procesu rozumowania. W życiu codziennym, w odniesieniu nawet do spraw drobnych, często mówimy, że coś intuicyjnie było nam wiadome bądź, że na tej drodze coś odczuwaliśmy czy przeczuwaliśmy.

Empatia prowadzi do porozumienia. Jest bowiem kontaktem wzbogaconym o całą pozasłowność. Ma to znaczenie ze względu na wieloznaczność pojęć, a także ich niezdolność do wyrażenia wielu treści. Na tej drodze przekazujemy swoje stany i problemy innemu człowiekowi bez ograniczenia, które nakłada wymiana słownej informacji w rozmowie.

Empatia sprzyja wyzbywaniu się uprzedzeń. Nasiąkamy nimi przyjmując bezwiednie, a także bezkrytycznie opinie naszego otoczenia. Poznanie na drodze empatii, a więc przeżycie sytuacji, którą wychodząc

z nawyków ocenialibyśmy jako naganną, pozwala nieraz zweryfikować własne poglądy. Wykroczyć poza uznane kanony tego, co „właściwe”. Mniej byłoby u nas dulszczyzny i więcej tolerancji dla wyborów dokonywanych przez innych, gdyby dało się zwiększyć dozę wzajemnej empatii.

Przydałaby się też wyobraźnia po to, aby umieć odczytać drobne nieraz sygnały, znaki drugiego człowieka, którymi mówi o sobie, o swoich odczuciach, oczekiwaniach. Często przechodzimy koło ludzi, którym możemy pomóc. Przechodzimy i mijamy, bo brak empatii nie pozwala odczytać znaczenia sygnałów. Sami zresztą nieraz tłumimy „otwarcie się” kogoś naszym zachowaniem.

Codziennność wymaga wyobraźni. Niestety, łatwiej jej mocą poruszać sfery niebieskie niż dostrzec, że ktoś obok jest głodny czy pragnie czegoś drobnego, możliwego do spełnienia, czy odwrotnie – do zaniechania.

Wyobraźnię rozwija obcowanie ze sztuką. Ona wzmaga wrażliwość, uczy patrzeć na rzeczy najzwyklejsze w sposób odkrywający w nich piękno.

Subtelność, delikatność jest właściwością tych, którzy charakteryzują się empatycznym stosunkiem do ludzi. Niektórzy przeżywają niemal chorobliwy lęk, ażeby nie urazić innego, choćby nawet mało znanego sobie człowieka. Taki lęk działa paraliżująco, onieśmiela. A jednostki prymitywne odczuwają ten stan jako słabość i stają się często wobec tych bezradnych, wrażliwych wręcz agresywne. Może się więc zdarzyć, że empatia ściąga złość, niechęć czy pogardę.

Empatię można świadomie rozwijać. Wymaga ona przekroczenia stanu zaabsorbowania samym sobą. Przyjaźń stanowi szkołę empatii. Ciekawość rozmaitych sposobów istnienia po to, ażeby skonfrontować z własnym – też uczy empatii. Simone de Beauvoir opisuje w swoich pamiętnikach, że wtedy gdy z Sartre'em poznawali nowe twarze, omawiali

je wielostronnie i nieznużenie poprawiali, uzupełniali psychologiczne portrety nieznanym, jakie usiłowali stworzyć. Starali się też odgadnąć przeszłe dzieje obserwowanych ludzi.

Są zawody wymagające empatii. Przykładowo, lekarz, ksiądz, pielęgniarka, wychowawca, nauczyciel powinni się odznaczać znacznym stopniem jej rozwoju. Jednakże predyspozycje do wykonywania zawodów, a w tym empatia, nie są szerzej badane. A rzadko obecnie talent i powołanie decydują o wyborze zawodu. W rezultacie zdarza się często, jak pisał w książce *Dwie diagnozy* Kazimierz Dąbrowski, że poziom diagnoz dokonywanych przez pisarzy charakteryzuje się głębią, penetracją w indywidualne przeżycia bohaterów, zaś diagnozy psychiatryczne są na ogół schematyczne. K. Dąbrowski wyjaśnia, wskazując, że są to właściwie odmienne grupy fachowców: z dyplomami akademickimi i z „dyplomami talentu, wnikliwości i empatii”.

Jesteśmy wszyscy w jakimś stopniu obciążeni stereotypowymi sposobami myślenia, pewnymi przesądami, i to niekorzystnie waży na relacjach międzyludzkich. Przykładem może być przeświadczenie, że przyjaźnie nawiązują się tylko we wczesnej młodości. To mniemanie przekazywane z pokolenia na pokolenie już z góry izoluje od ludzi w dalszym biegu ich życia w przekonaniu, że nowe znajomości nie powinny przekraczać „progu domu”.

Cenimy to na ogół, co statystycznie najczęstsze; życie odmienne od powielanych wzorów wartościujemy negatywnie jako dziwaczne. A przecież w każdym z nas drzemie coś nie ujawnionego i nie można przewidzieć skutków katalizującego wpływu zdarzeń i spotykanych ludzi.

Empatia mogłaby nas skutecznie obronić przed wydawaniem sądów potępiających, przed nietolerancją.

XIII. WIARA

Wydaje się nieraz, że twórczość człowieka w dziedzinie religii należy do przeszłości. Wielkie liczebnie wyznania, jak, na przykład, chrystianizm, buddyzm czy mahometanizm, rzeczywiście powstały w dawnych czasach. Jednakże na równi z twórczością artystyczną, naukową i gospodarczo-techniczną człowiek nie ustaje w twórczości religijnej. Reformy w Kościele rzymsko-katolickim, poczynając od II Soboru Watykańskiego, wyrażające się w poszukiwaniu środków bardziej skutecznego oddziaływania na wiernych we współczesności, są właśnie jednym z przejawów twórczości religijnej w XX wieku. Dostosowywanie kościoła do mentalności dzisiejszej, poszukiwanie odpowiednich środków komunikowania się trwają również w kościołach ewangelickich. Wyświęcanie w niektórych narodowych kościołach kobiet na pastorów jest przykładem zmian.

W XX wieku twórczość religijna wyraża się także w powstaniu nowych wyznań. Są one liczebnie zróżnicowane, ale mają na ogół wspólną właściwość: silnie oddziałują na sposób życia swoich wyznawców, kładąc nacisk na jego zgodność z głoszonymi poglądami. Jeżeli są to społeczności niewielkie, to rolę pomocniczą w tym nacisku na współwyznawców odgrywa wewnętrzne ciśnienie owych mikrospołeczności, w których wszyscy się znają. Ponadto, dochodzi do głosu żarliwość neofitów, którzy w sposób znacznie bardziej zgodny z literą wyznania obserwują zasady nowo przyjętej wiary.

Nowe wciąż odmiany wyznań powstają na gruncie chrześcijaństwa bądź też poza nim. Jako przykład tego ostatniego niech posłuży religia życia sformułowana u nas przez historyka i malarza w jednej osobie, dra Stefana Króla. Nie Bóg czy Absolut, lecz pewne wartości stają się

w tej religii ostatecznym punktem odniesienia. A więc samo istnienie na ziemi staje się wartością zasadniczą przy wszelkich cierpieniach i nieszczęściach, nie zaś życie pozagrobowe oraz Stworzyciel. Wartości o szczególnym znaczeniu to życie, miłość, dobro, przodkowie. Poświęcone im obrzędy odbywają się cztery razy w roku, w stałych terminach. Kult owych wartości, radosna aprobata istnienia – oto nakreślony schemat życia. A każdy dzień życia to wielkie święto. Przedstawiam, naturalnie, w dużym skrócie, a więc i powierzchownie, poglądy S. Króla.

W filozofii zachodnioniemieckiego myśliciela, Gustawa Radbrucha, zmarłego po ostatniej wojnie, religia została przedstawiona jako jeden z czterech światów, w którym żyjemy. Mianowicie, będąc częścią świata przyrody, wyrwywamy się ku światu ideałów, który pragnęlibyśmy urzeczywistnić. Rezultatem ludzkich wysiłków, powtarzanych przez kolejne pokolenia, staje się świat kultury. Jest on wyrazem naszej niedoskonałości. Wciąż szamocąc się między przeciwstawnymi wartościami, w świecie religii znajdujemy nareszcie ukojenie i wyzwolenie z tego rozdarcia między tym, co ujemne, a tym, co dodatnie. Otóż religia – jak wyjaśnia Radbruch – w swej aprobacie dla wszystkiego, co istnieje, znosi wartości ujemne, a więc zarazem i dodatnie. Dodatnie występują wszak pod warunkiem istnienia ujemnych. Religia staje się czymś, ilustruje – Radbruch – w rodzaju przydrożnej kaplicy, a jej wyznawca to wędrowiec, udręczony spiekotą i spragniony odrobiny cienia. W świecie religii nie odnajduje się Boga, lecz upokojenie, wytchnienie i zarazem zyskuje się nową energię do walki o urzeczywistnienie własnych zamysłów – twierdzi Radbruch. Przestrzega jednocześnie przed zatopieniem się w religijności, bowiem mogłoby to przynieść poczucie błogości, niwelujące pęd ku ideałom pozareligijnym i mogłoby też w ogóle niweczyć aktywność.

Być może przeznaczeniem człowieka jest wiara, nie przesądzając jej

treści. Można ją pojmować jako wyraz tęsknoty za tym, co nieosiągalne. Wiara wiąże się często ze sceptycyzmem, z niepewnością. Dotyczy bowiem obszaru wykraczającego poza możliwość poznania rozumowego. Przenika ona różnorodne dziedziny, a w tym naukę, która opiera się na założeniach przyjmowanych bez dowodu, na aksjomatach. Wiara zaznacza swoją obecność w rozmaitych płaszczyznach naszego życia.

Na przykład, Henryk Schliemann uwierzył *Iliadzie* – i odkrył Troję.

Wiara w człowieka, w szlachetne pobudki ludzkich działań to nic innego jak przeniesienie, projekcja, przypisanie własnych motywów innym. Bogu w wielu religiach przypisuje się wszak ludzkie pozytywne cechy, tyle, że w najwyższym natężeniu. Bóg Europejczyków, niezależnie od różnicy wyznań, jest biały, zaś Murzynów – czarny. Tę antropomorfizację gromi Ibsen ustami Branda, w dramacie pod tym tytułem. Brand poszukuje Boga, ale nie takiego, który jest „właścicielem siwej brody” i chodzi „w szlafmocy i łysinie”. Jego Bóg to siła, potęga bezosobowa, która przenika świat, powoławszy go do istnienia. Podobnie pojmował Boga, na przykład, Wolter, który do dogmatów kościelnych miał masę wątpliwości i zastrzeżeń. Wiara mędrców i kapłanów już w starożytnej Grecji czy w starożytnym Egipcie znacznie różniła się od wiary reszty społeczeństwa.

Wiara filozoficzna, religijna, naukowa – oto podstawowy podział jej typów, rozróżnianych bez koniecznego związku z Bogiem. O wyborze bądź szczególnym ciężeniu do jednego z nich decyduje struktura psychiczna człowieka.

Na przykład, osoby o usposobieniu, które nazwałabym „artystycznym”, a więc odznaczające się dużą dozą wrażliwości, silnie rozbudowaną uczuciowością, wyobraźnią i fantazją, są w szczególny sposób predystynowane do wiary religijnej. Natomiast usposobienie intelektualne skłania w swej skrajnej postaci do jej odrzucania jako obszaru, który nie

daje się ująć w formuły racjonalne. Zdarza się, zresztą, iż w dążeniu do racjonalizmu, uznawanego za ideał czy wyraz nowoczesnego sposobu myślenia, dochodzi do wewnętrznego zafalszowania, polegającego na tym, że udaje się niewiarę przed sobą samym.

Nie mogąc zrozumieć wielu zjawisk ani też otrzymać odpowiedzi na dręczące pytania, zastępujemy często poznanie niewiadomego samym nazywaniem, formułami. Stwarza to pozór wiedzy, a w istocie pozostajemy nadal bezradni wobec niezgłębionego. W obszarze wiedzy – mieszczą się obszary wiary.

Sprawa tej ostatniej wiąże się z zagadnieniem punktu odniesienia. Deizm oraz panteizm sprowadzają pojęcie Boga do siły występującej – odpowiednio – poza światem bądź też w zespoleniu z nim jako jego wewnętrzna moc. Przyjmując jedno z tych stanowisk, każdy musi sam rozstrzygać zagadnienie norm postępowania i sam dla siebie stać się najwyższym sędzią. Może uznać wewnętrzne poczucie obowiązku za najwyższy sprawdzian swych czynów, może jako kryterium słuszności uznać, na przykład, odpowiedź na pytanie, czy chciałby, ażeby inni w analogicznej sytuacji rozstrzygali w ten sam sposób wybory dróg postępowania.

Natomiast przyjmując jedno z określonych wyznań, czyli wchodząc na grunt teizmu, człowiek powinien stać się posłuszny istniejącym poza nim, już ustalonym i gotowym regułom postępowania. Oczywiście, nie rozważa się tu postaw podwójnej moralności, kiedy członek jakiegoś wyznania przyznaje się do niego, uczestniczy w nabożeństwach, jakkolwiek jego życie odbiega od usankcjonowanych reguł.

Wyznania religijne należałoby określić jako systemy myśli i działań podzielanych przez pewną grupę, dostarczające jednostkom układu orientacji w świecie oraz przedmiotu czci.

Można dojść do wniosku, że częste są postawy powierzchownego

związku z wyznawaną wiarą. Być może, już sam udział w obrzędach – których brak w wypadku deizmu i panteizmu – jakby zmniejsza poczucie odpowiedzialności za zgodność myśli, słów i czynów. Podświadomie uznaje się, iż Kościół zdejmuje w jakiś sposób odpowiedzialność indywidualną. Bywa, że określone wyznanie, w którym się wzrosło i przejęło, w pewnym momencie zaczyna ciążyć, bowiem prowadzony sposób życia wyraźnie odbiega od obowiązujących reguł. Wtedy dochodzi do zmiany wyznania; w okresie międzywojennym częsty powód to – wymieniana tu już wcześniej – chęć usankcjonowania powtórnego małżeństwa. Odwagi wymaga decyzja wyjścia z kręgu danego wyznania; szczególnie u nas silny jest ostracyzm społeczny. Dotyczy on często również całych mniejszych wyznań. A które z nich jest najbliższe prawdy?

Uczestniczenie w obrzędach religijnych, na przykład niezmiernie bogatych od strony przeżyć estetycznych w wyznaniu prawosławnym, przecina zwykłe dni, wrywa z jednostajności i daje poczucie odświętności. Nie każdy ma wyobraźnię na tyle bujną, by samemu stawać się projektodawcą dni świątecznych. Poza tym, gotowe formuły ustalonego obrządku pomagają wyrazić uczucia, a nie można zapominać, że wiele osób ma trudności z nadawaniem stronie emocjonalnej zewnętrznego kształtu.

Z tej nieporadności wyzwala rytuał przyjętego wyznania. Należąc do jakiegoś określonego wyznania, jednostka staje się częścią grupy i pozbywa się ciężącego nieraz poczucia swej odmienności. Występują bowiem w nas sprzeczne tendencje: dążenie do wyodrębnienia się z masy oraz dążenie do zlania się z nią, choćby na pewien czas, po to, ażeby zaspokoić instynkty stadne. I te potrzeby właśnie spełnia przyjęcie obranego wyznania bądź przynależność do związków ateistycznych.

A jakie motywy skłaniają już nie do wiary w ogóle, lecz do wiary w Boga? Interesującą wiedzę o tym zdobyłam pracując w Ośrodku Higieny

Psychicznej dla Ludzi Zdrowych. Wśród szukających porad była znaczna grupa osób, mających problemy natury religijnej. Rozmowy z ludźmi wielu środowisk, jak również szersze obserwacje ujawniają następujące powody, skłaniające do wiary w Boga: niewytlumaczalność wielu zjawisk (w tym również objętych dociekaniami naukowymi), lęk przed tym, co może nadejść w naszym życiu (to znaczy lęk przed niewiadomą przyszłością), skłaniający do szukania opieki w Bogu. Potrzeba aprobaty, której dotkliwy brak ktoś odczuwa w swoim kręgu, również występowała jako czynnik zwracający jednostkę ku Bogu, tj. ku Temu, kto wysłucha, zrozumie i oceni sprawiedliwie. Podobnie, ciężar zawiedzionego zaufania naprowadza do szukania rekompensaty w Bogu. Jednostki o charakterze perfekcjonistycznym, szukające wartości w wymiarze najwyższym, odnajdowały w Bogu – pojmowanym osobowo – doskonale dobro, sprawiedliwość, czy piękno. Lęk przed śmiercią jest znacznie bardziej silnym, niż wymienione, motywem zwracania się ku Bogu. Jak pisał w *Zarysie filozofii prawa* Radbruch, „uwikłaniu człowieka w życie społeczne przeciwstawia się ostateczna samotność straszliwa kobiety, która rodzi, i człowieka, który umiera. Pracujemy razem setkami, miłujemy się we dwoje, umieramy samotni”. Jednakże lęk ten, skierowujący człowieka ku wierze w Boga oraz wiecznemu trwaniu w zaświatach – zgodnie z nadzieją nieśmiertelności – nie jest, co paradoksalne, niwelowany bez reszty przez tę wiarę. Nawet księża czy zakonnicy, a więc te grupy, które nominalnie najzarliwiej wierzą i są najbliżsi Bogu, z lękiem przyjmują zbliżający się kres życia.

Odkrycia psychologów, wykazujące dominację uczuć w życiu człowieka, ich występowanie nawet w stanach, które gotowi byłibyśmy nazwać „czysto rozumowymi”, pozwalają zarazem domniemywać, że wiedza nie jest zdolna wyczerpać całokształtu życia psychicznego człowieka, że właśnie owa dominacja strony emocjonalno-wolitywnej

staje się pożywką wiary.

Wiele wieków trwa już spór, czy wiara jest przeciwna rozumowi. Są nurty filozoficzne, które głoszą zgodność poznań wywodzących się z wiary i z rozumu, a są też i takie, które wskazują na odmienność tych dwóch porządków. Bowiem wiara często bywa przeświadczeniem o istnieniu tego, czego nie da się poznać na innej drodze.

Niebezpieczne dla postaw tolerancyjnych są przeświadczenie, że to, w co ja nie wierzę, nie istnieje, świadczy. W każdym razie, poszukiwanie sensu życia niektórzy wyrażają innym językiem, mówiąc o dochodzeniu czy poszukiwaniu Boga. Potrzeba wzajemnego głębokiego zrozumienia jest wręcz nieodzowna również i dlatego, nie wszyscy, którzy się do tego przyznają, wierzą w Boga. I odwrotnie, można mniemać, że nie wszyscy głoszący niewiarę są zawsze zgodni z tym swoim stwierdzeniem. W każdym razie, chęć osiągnięcia czegoś absolutnego znamionować może zarówno wyznawców Absolutu, Boga, jak też zaprzeczających temu. Właściwy każdemu z nas rodzaj wrażliwości, emocjonalności intelektualizmu prowadzi do odmiennego przeżywania świata i do wyboru różnych stanowisk wobec szeroko rozumianego zagadnienia wiary.

XIV. ZAZDROŚĆ I ZAWIŚĆ

Opisanie zawiści jest trudne, bowiem wymierzona bywa w czyjąś nadzieję, jak również w czyjeś szczęście, zaś żywi się ambicją. Można by ją określić mianem choroby, gdyby nie to, że zyskałaby w ten sposób pewne usprawiedliwienie. Wiąże się ona z żądzą niszczenia innych. Ma zostać im wymierzona kara za nasz niedosyt powodzenia lut za to, że stoją mu na drodze. Jednakże ta złowrogość uderza przede wszystkim w tego, kto jest przepełniony zawiścią. Bowiem myśli złe, nieprzyjazne, obracają

się w końcowym rachunku przeciwko temu, w kim tkwią. Tłumienie i wypieranie ze świadomości nieprzyjaznych uczuć, które żywimy wobec kogoś, jeszcze ich nie niweluje i może mieć nawet znaczenie chorobotwórcze.

Być może, prądródełm uczuć nieprzyjaznych, żywionych względem kogoś jest poczucie naszej małej wartości oraz spoglądanie na siebie oczyma otoczenia; przyjmowanie jako prawdziwych tych opinii, które nas deprecjonują. Czujemy się wówczas poniżeni. Zazdroszcząc, nie docenia się siebie i tego, co – może się zdarzać – zazdroszczą nam inni. Przyjmuje się często niewłaściwe kryteria.

Nietzsche powiada, że na pytanie, dlaczego mi się ktoś nie podoba, szczerza odpowiedź brzmiałaby: „gdyż mu nie dorównywan”. Ale czy kiedykolwiek ktoś sam sobie tak odpowiedział? Odwrotnie. Spycha się do podświadomości własne poczucie niższości, a na zewnątrz okazuje pogardę. Wolimy deprecjonować innych niż. uznać swoje niedostatki oraz przewycięzać swoją ociążałość. Chce się mieć bez wysiłku to, co inny zdobył wyteżoną wolą i pracą. Ale bywa też zazdrość wynikająca z niesprawiedliwości, z traktowania nas jako gorszych niż w rzeczywistości jesteśmy.

W pracach z zakresu tzw. psychologii humanistycznej wiele uwagi autorzy poświęcają zagadnieniom lęku w życiu człowieka. Nie umniejszając znaczenia zasięgu tego stanu psychicznego, wydaje się, że nie mniejsze znaczenie należałoby przypisać uczuciu zazdrości – bliskiemu zawiści. Zwłaszcza, że rzutuje ono w ogóle na relacje z otoczeniem. Utwór dramatyczny o zazdrości wydaje się również potrzebny, co dramat o czekaniu, który został już (przez Becketta) napisany.

O zazdrości się pisze wiele, ale zwykle w nieodłącznym związku z miłością, co jest zawężeniem problemu.

Zazdrość wyłącza nas z poczucia wspólnoty z innymi i w tym zawiera

się jej podstawowy rys zubożający. Ułatwia rozliczenia z sobą samym, ponieważ winę za to, co nam się nie udało, za to, czego nie posiadamy, przerzuca na innego, któremu „się udało”. Łączy się z nią wiara w magiczną siłę zdarzeń organizowanych przez los i jego niełaskawość w stosunku do nas. Łatwiej jest zazdrościć niż przyznać się przed sobą do niedostatku własnych wysiłków. Łatwiej zazdrościć innym sprytu i znajomości niż mieć do siebie pretensje, za to, na przykład, że kiedyś wybrało się drogę, w której decydują inne wartości.

Zazdrość chroni nas niejako przed rozczarowaniem sobą, umacnia natomiast w mniemaniu o pechu, który nas osacza. Wzmaga bierność i przeświadczenie o bezcelowości własnych wysiłków. Można by zazdrość określić jako rezultat braku empatii, bowiem w stanach zazdrości nie dopuszcza się wyobrażeń o trudach, które przeżył inny człowiek, ażeby osiągnąć to, czego brak u siebie przykro odczuwamy.

Zawiera się w zazdrości również brak krytycyzmu wobec własnych możliwości. Przekonanie, że starczyłoby nam talentu i innych właściwości, ażeby osiągnąć to i tyle, co ci, którym zazdrościmy. Szewc zazdrości kanonikowi, że został prałatem – to ilustracja zazdrości, którą posługiwano się jeszcze przed pierwszą wojną światową. I pod tym względem niewiele zmieniło się od tamtych czasów. Nie dostrzega się własnych ograniczeń ani też braku dostatecznych kompetencji. Czujemy się nieraz teoretycznie omnipotentni.

Naturalnie prawdą jest, że zjawisko klikowości w życiu społecznym sprawia, że ludzie bez kompetencji zachodzą nieraz wysoko. Ale wybierając drogę uczciwości wewnętrznej, nie można oczekiwać ułatwień i nagród. Osiąga się je bowiem najłatwiej na drodze konformistycznych i oportunistycznych postaw. Ale czy pozostaje nam coś trwałego, gdy gubimy nasze „ja”? Konsekwencja wobec własnych założeń powinna ograniczać zazdrość!

Prężne, dostosowane do otoczenia i karieronośnych schematów jednostki też wywołują w innych uczucia zazdrości. Nadmierna łańczywość, chęć, by traktować wszystko, co możliwe, jako nam należne – spala nas. Zazdroszcząc innym, nie im, lecz sobie wyrządzamy krzywdę.

Uczucie niezadowolenia z siebie, uznanie mniejszej wartości własnej, działają destrukcyjnie, jakkolwiek niektórzy potrafią te stany przeobrazić i uczynić z tych negatywnych przeżyć dodatkową motywację dla działań. Chęć dorównania komuś bądź prześcignięcia go uruchamia wzmożone siły biologiczne i psychiczne. Ale czy nie prowadzi często na manowce? Czy nie żal wysiłku, nieraz gigantycznego, po to, ażeby komuś udowodnić swoją wartość? Właściwie, jeśli nie docenia nas otoczenie wtedy, gdy brak nam stanowiska, dyplomu lub sławy – to czy my sami przeżyjemy triumf, gdy schylą przed nami czoła, kiedy uzyskamy nareszcie te wartości? Wszak nasze „ja” nie stanie się inne z powodu mianowania dyrektorem jakiejś placówki, prezesem czy z powodu wydania książki.

Zazdrość przejawia się w rozmaitych dziedzinach. Jest zjawiskiem tak powszechnym, jak niepokój, jakkolwiek przyznawanie się do tego pierwszego uczucia przychodzi nam z trudem. Zazdrość o powodzenie w życiu, o to, że komuś szczęście sprzyja, opiera się zazwyczaj na czysto zewnętrznej ocenie czyjegoś życia, na stwarzanych nieraz pozorach szczęścia. Bywa też zazdrość o bogactwo materialne, o stanowisko, o życzliwość szefa, o względy nauczycieli, o sympatię, którą ktoś wzbudza, o rolę na scenie.

Właśnie w teatrze, w operze, w balecie, w filmie jest się uwikłanym w niekończące się stany zazdrości, bowiem z grona aktorów tylko jeden może zagrać Peer Gynta czy Hamleta. A czy ci pozostali są doprawdy gorsi? I czy ci, którzy przez całe życie grywali jedynie w teatrze „ogony”, nie mają danych po temu, ażeby grać role pierwszoplanowe? Jak wielkie znaczenie w karierach scenicznych – znane z historii – odgrywa

przypadek!

Zazdrość i związane z nią niechęci jest z natury rzeczy równie nieodłączna od życia teatralnego, co od miłości. W miłości erotycznej zazdrość, na przykład, o poprzednie związki uczuciowe, o to, co należy do przeszłości, a nie tylko do terażniejszości, jest zjawiskiem zrozumiałym. Rywalizacja kobiet, zazdrość wobec tych, które mają powodzenie, powtarza się w kolejnych epokach. Znam kobietę, chirurga, która w związku z tym męskim zawodem manifestuje swoją kobiecość w strojach harmonijnie skomponowanych z wielorakimi zestawami biżuterii. Zamiast naśladować – koleżanki jej zazdroszą.

Działalność krytyków i dziennikarzy, rozślawiających pewne zjawiska, przemilczających inne, staje się poważnym źródłem zazdrości na tle niesprawiedliwie, pochopnie ferowanych ocen. Na przykład, powszechnie znane były u nas po wojnie, jeśli idzie o filozofów, nazwiska Tadeusza Kotarbińskiego i Władysława Tatarkiewicza. Zaś nie mniejsze osiągnięcia Tadeusza Czeżowskiego czy Bolesława Gaweckiego pozostawały w cieniu i poza kręgiem filozofów zostali oni nieznanymi. Dlaczego?

Zazdrość dorosłych dzieci o rodziców nie tylko często łamie życie samotnej matce czy ojcu, którzy dla nich rezygnują z ponownego małżeństwa, ale też prowadzi do konfliktów między rodzeństwem. Zdarza się, że urodzenie się młodszej siostry wywołuje u starszej poczucie utraty pierwszeństwa i nie może się ona pogodzić z tym, iż odtąd rodzice będą obdarzać czułością również to nowo narodzone. Utrata uprzywilejowanej i wyłącznej pozycji staje się cierniem i żywi się tłumioną niechęcią do młodszej.

Inny rodzaj zazdrości zaznaczył się w życiu słynnej pary. Zelda i Scott Fitzgerald współzawodniczyli ze sobą w dziedzinie pisarskiej i przeżyca tego typu zazdrości, które zresztą w małżeństwie nie powinny występować,

przyczyniły się do tragicznej choroby Zeldy. I wreszcie, przykład mający również wyraziste odbicie w literaturze. Zazdrość dorastających córek o ojca, Jana Kasprowicza, rzuciła cień na życie jego nowo poślubionej żony Marusi. Nieprzejednana zazdrość dochodziła do nienawiści również i po śmierci poety, a wdowie zabrała wiele sił i zdrowia. Córki miały żal do ojca i nie mogły się pogodzić z tym – jak wyznaje jedna z nich – że ktoś obcy stanie między ojcem a nimi i że dom nie będzie już ich wyłącznym domem.

Zazdrość może prowadzić do zawiści, w której emocje i namiętności bardziej dochodzą do głosu niż przy zazdrości. W dodatku zawiść uruchamia nieraz czyny o niskich działaniach, nie poprzestaje tak jak zazdrość na cierpieniu, że innemu pod jakimś względem jest lepiej niż mnie. Zazdrość często jest rezultatem porównania, obserwacji; zawiść ma w sobie złość i złowrogość. Tej doprawdy trzeba się bać i wystrzegać jej potencjalnych nosicieli.

XV. OCZEKIWANIE

Nadzieja i tęsknota – tak nazywamy odczucia niewystarczalności tego, co już spełnione. Są to odmienne nieco stany nienasycenia i wrywania się ku czemuś więcej niż znajdujemy wewnątrz siebie oraz w tym, co nam dostępne. Owo poczucie braku można przetwarzać i wykorzystywać dla wrywania się ze stagnacji, do której każdy ma jakąś skłonność.

Nadzieja i tęsknota to wprawdzie odmienne przeżycia, ale mające jeszcze jedną wspólną właściwość poza tym, że odnoszą się do czegoś możliwego, co nie pozostaje ani w zasięgu naszych rąk, ani w sferze obecnych zdarzeń. Mianowicie, nastawiają nas bardziej refleksyjnie wobec przejawów własnego życia i wiążą się z bólem niespełnienia.

Może ból jest właśnie owym ogniem heraklitejskim, wodą talesową; pierwiastkiem świata. Ból wszakże jest naszym życiem!

Nadzieja i tęsknota przenoszą nas w inny wymiar codzienności. Pobudzają wyobraźnię, która jest dla nich pożywką i w ten sposób istniejemy w dwóch światach. Życie możliwe – spełnienie tęsknot i nadziei – może niejednokrotnie jawić nam się jako równie realne, co istnienie w namacalnej codzienności. Ale nie jest tak, by ów świat na miarę tęsknot i nadziei był czymś ostatecznie nieosiągalnym. Kilkakrotnie w moim życiu kształt spełnionej rzeczywistości przekroczył tę oczekiwaną.

Wiele zależy, naturalnie, od umiejętności i siły naszego chcenia, od zdolności koncentracji i woli spełnienia. Ale w równym, zapewne, stopniu pomocne stają się zbiegi okoliczności. Często ktoś zupełnie nieświadomie przyspiesza to, czego oczekujemy. Nie zawsze nawet zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele mu zawdzięczamy. I zadajemy sobie wtedy pytanie, czy to przypadek, czy zrządzenie losu?

Tęsknota za znanymi, za czymś, co przeminęło, czy za nie poznanym we własnym życiu, lecz psychicznie bliskim, jak choćby innfe epoka z jej właściwościami – bywa silna. Także mocno nas przenika tęsknota wybiegająca naprzód, w przyszłość. Właśnie w pisarstwie Becketta dochodzi do głosu jeden czas, kiedy się czeka, wierzy, ma nadzieję i drugi – kiedy można tamte stany, jako przeszłe, już tylko wspominać i analizować. Ale nawet minione dni drugiego czasu – jeszcze później – jawią się niemal jak błogosławione. A więc wciąż może być jeszcze gorzej. W okresie młodości, w tym pierwszym czasie, czeka się na to, co ma nadejść, i z przyszłością wiąże się myśl o szczęściu. Natomiast w okresie starości przypisuje się to szczególnie, szczęśliwe znacznie stanom i zdarzeniom przeszłym.

A więc zanika czas terażniejszy. I to właśnie należy wziąć pod uwagę, jako ostrzeżenie. Czas bowiem, który mija, ten czas stający się (chwila,

moment) są tymi składnikami codzienności, jakim trzeba nadać sens, ażeby nie spełniało się nasze istnienie tylko w stanach czekania bądź rozpamiętywania.

Tęsknota zwracająca się ku temu, co utracone, stwarza dodatkowe wartości. Dziecko rozłączone z matką wydaje się jej doskonalsze od tego, z którym wspólnie przebywa, choćby to ostatnie spełniało jej oczekiwania. Spalony dom – z perspektywy wspomnień – jawi się znaczenie wspanialszy niż wtedy, gdy w nim trwaliśmy.

Podobnie jest ze stosunkiem do bliskich, gdy spotyka ich śmierć. Ktoś niemal nie zauważany, traktowany podobnie jak sprzęty w mieszkaniu, zostawia po swym odejściu pustkę, a narastająca tęsknota dopowiada jego wielobarwny obraz. Zresztą, w nekrologach czytamy wyłącznie o odejściu ludzi szlachetnych, życzliwych dla innych, odznaczających się wielkim sercem i prawym charakterem. I zapewne, nie tylko obyczajowość, nie pozwalająca źle mówić o zmarłych, podsuwa te określenia i wyrazy nieodżałowanej straty. Tęsknota do kogoś bezpowrotnie straconego zabarwia nasze wspomnienia. Przy czym mamy na ogół właściwość zapominania z biegiem czasu o tym, co było przykre, toteż przeszłość w ogóle, nie tylko w odniesieniu do osób, jawi nam się w sposób wyidealizowany.

Mickiewiczowskie mierzenie sił na zamiary, postawa, którą mimo jej trudów należałoby zalecać każdemu, ma swój wyraźny grunt w umiejętności naszego oczekiwania, w nadziejach, pod warunkiem, że potrafimy je przekładać na język czynów. Zdarzają się, niestety, rozdziewki między nadzieją a wolą jej spełnienia. Wówczas stan oczekiwany zaludnia tylko naszą wyobraźnię i nie wrywa ze stagnacji. Tę postawę można by określić mianem konformizmu wobec gorszej części naszego wewnętrznego „ja”. Prawdopodobnie, iż wiąże się ona nie tylko ze ślamazarnością, lecz również z nie dość mocną wiarą w to, że

tęsknotom czy nadziejom może stać się zadość. Trzeba wciąż pamiętać, że dla ludzkości i, sądzą, zarazem dla siebie – najwięcej działali ci, którzy uwierzyli w możliwość urealniania nadziei, w ocenie ogółu widzianych jako bezsensowne mrzonki.

Poszukując dalej różnic między tęsknotą i nadzieją – przy całym ich podobieństwie jako sposobów oczekiwania – trzeba podkreślić znacznie silniejsze podłoże uczuciowe stanów określanych mianem tęsknoty. W epokach, w których dominuje racjonalizm i pozytywizm częściej mówi się o nadziei, bowiem odnosi się ona raczej do kalkulacji niż przeżyć. W każdym razie, oba stany wyrażają niedosyt bądź pewien rodzaj niezgody na sytuację teraźniejszą. Spoglądając na zamykających się w swoich domach, na odseparowanych wzajemnie mieszkańców wielu miast i miasteczek, choćby szwedzkiego Ulricehamn, miałam wrażenie, że stale zwyczajowo odsłonięte tam okna, nawet przy wieczornym świetle, są nieświadomym czekaniem na porozumienie. I nasunęło mi się, iż każdy musi sam zdecydować o tym, czy motywem przewodnim w życiu ma być właśnie oczekiwanie i, ewentualnie, narzekanie na zły los, czy działanie, czyny mające na celu przekształcić nadzieje w fakty. Don Kichot jest całkiem normalnym w swoim szaleństwie, i – jak pisałam w jednej z poprzednich książek[2] – wzorem do naśladowania.

Sami nie zawsze dość bacznie wychwytyjemy stany oczekiwania innych. A bywamy rozżaleni, gdy naszym oczekiwaniom nie wychodzą naprzeciw ci, którzy mogą i powinni to uczynić. Pośpiech (wśród innych przyczyn) czyni nas nieuważnymi. Pozostają pod wrażeniem czyjejś tragicznej śmierci i swej własnej nieuwagi. Łączyły nas od lat studenckich więzi przyjaźni. Zaprzyjaźnienie, jako stan gotowości, trwało, mimo że nasze rozmowy zdarzały się rzadko. Niespodziewanie zaczął często telefonować, nie ukrywając dramatu, który przeżywał. Ostatni raz

[2] *Człowiek wobec siebie i wobec innego*, Warszawa 1979.

odezwał się w noc poprzedzającą samobójstwo. Był bardzo poruszony, a ja spieszyłam się. Nazajutrz dowiedziałam się, że Leszek nie żyje. Dręczymnie pytanie, czy żyłby nadał, gdybym wówczas zajęła się nim zamiast relacją człowiek – człowiek w pilnym artykule?

Zło, udręka, cierpienie dają znać o sobie każdemu. A jednak na przekór im wrywamy się z takich otchłani w nadziei, że powiedzie się lepiej. Nadzieja wielkiego szczęścia bywa często starta na proszek, by posłużyć się określeniem Pawła Trzebuchowskiego.

Dramat Jerzego Żuławskiego, *Eros i Psyche*, oddaje znakomicie tęsknotę człowieczą ku czemuś wielkiemu i nieznanemu. Jest to coś innego niż nieokreślone stany tęsknoty i niepokojące przeczucia okresu młodzińczego.

Niemoc, nie pozwalająca nam ukształtować życia po swojemu – przynajmniej w wymiarach od nas zależnych – prowadzi do tego, iż żyje się w pewnej nieprawdzie. Stąd w *Dzikiem kaczkę* Ibsen powiada, że jeżeli zabierze się przeciętnemu człowiekowi jego kłamstwo życia, to weźmie się też zarazem i całe jego szczęście.

XVI. ŻARLIWOŚĆ

W słynnej powieści Musila *Człowiek bez właściwości* jednostka jawi się jako istota bezkształtna, niewykryształizowana, ukrywająca się pod pozorami racjonalistycznych uzasadnień. Taki jest nasz współczesny obraz. Demagogia, oddziałując na tak nieukształtowanego człowieka, może wydobywać z niego zachowania pożądane dla swych interesów.

Człowiek innego typu, przeniknięty żarliwością, dokonujący czegoś z pasją, oddający się czemuś z wewnętrznym napięciem i przekonaniem o słuszności – nie podlega temu nakreślonemu niebezpieczeństwu. Ma

właściwości. I ma coś, czemu pragnie służyć.

Bywają tacy, których nęka chęć aptekarskiego wyważenia proporcji w swoich reakcjach. Ale nie bardzo wiadomo, co cię właściwie waży na owych aptekarskich szalkach. Jeżeli same proporcje miałyby decydować o kierunku i sposobie naszych zachowań, to jest przecież do dyspozycji nauka znacznie sprawniejsza – matematyka.

Bronię więc egzaltacji. Niepotrzebnie narosła ona u nas niedobrym odcieniem znaczeniowym. Intensywne przeżywanie być może, zdaniem kogoś, nieproporcjonalne do bodźca oraz wyrażanie go – są jednak rękojmią braku fałszu i pełną świeżości chęcią podzielenia się tym, co nas przepaja. A zresztą, kto jest powołany do ustalania proporcji?

Prawo (czy, ściślej, uprawnienie) do egzaltacji zachowuje się niezależnie od ilości lat, i źle się dzieje jeżeli zanika ona wraz z wyrastaniem z dzieciństwa. Jest wszak spontanicznym sposobem wyrażania myśli i przeżyć. W niektórych krajach, choćby we Włoszech, zbędna byłaby ta obrona. I dlatego tam, zwłaszcza wśród warstwy prostych ludzi, można czuć się bardzo szczęśliwie; serdeczność, żywiołowo objawiana, przekreśla tak dobrze znane postacie obojętności, bądź gorzej – zainteresowania czysto konwencjonalnego w imię dobrego wychowania.

Nie ma najmniejszego powodu, by uznawać za śmieszna egzaltację u dorosłych, skoro nie śmiesz nas ona u dzieci, a jedynie wzrusza. Anna Magnani ze swą żarliwością, uniesieniami, egzaltacją stawiała się ożywczym elektryzującym zjawiskiem.

Żarliwość, entuzjazm, z jakim rozpoczyna się jakieś działania, przyczynia się do ich powodzenia, ponieważ gorąca wola spełnienia koncentruje nas w pełni na celu, do którego się zbliżamy. Jeśli zaś w grę wchodzi relacje z innymi ludźmi, to żarliwość staje się naszym silnym argumentem dzięki sugestyności, którą wraz z sobą niesie. Łatwiej wywierać wpływ na innych, osiągać wyobrażone cele, gdy nasze

pragnienia koncentrują się wokół zamierzeń. I gdy te zamierzenia nie są tylko intelektualnie przemyślane, lecz potwierdzone również naszą uczuciowością i tzw. wolą.

Nawoływanie do rozważy, do kalkulacji, do umiaru jest częste w epokach typu pozytywistycznego. Jednakże bez ognia wewnętrznego, bez żaru niewiele się osiąga. Nawet egzamin pomyślnie zdaje ten, kto się nauczył, ale zarazem skoncentrował swoją psychikę wokół jednego chcenia. Strona emocjonalno-wolitywna wzmaga nasze możliwości osiągnięcia celu. Przykładem krańcowych wysiłków mogą być historie odkryć geograficznych czy podróży samotnych żeglarzy.

Żarliwość bywa w swych skutkach niebezpieczna, gdy nabiera charakteru fanatycznego. Ale to nie może być argumentem przeciw. Najwartościowsze dzieła powstały właśnie z uniesienia, z żarliwości. Ekstazę w modlitwie traktowali średniowieczni jako najpełniejszą drogę spotkania z Bogiem.

W żarliwości następuje zespolenie wszystkich naszych myśli i uczuć oraz postanowień wokół tego, co nas absorbuje. Nie ma tu miejsca na chłód, na obojętność, na rozważanie „czy mi się to opłaca”. Postawa taka wzbudza głęboki szacunek. Wyrazicielem takiej żarliwości, by sięgnąć do współczesnych przykładów, jest Jerzy Koperski (Leszcin), który od dwudziestu lat z nieugiętą siłą walczy o miejsce dla poezji i początkujących twórców. Poświęca życie sprawie. Swoim entuzjazmem i bezinteresownością potrafił zdziałać niezmiernie wiele.

Jeśli umiemy ku komuś bądź ku czemuś zwrócić się z żarliwością, to spadają z nas wtedy wszelkie maski, które zwykliśmy nakładać po to, by bardziej, jak nam się wydaje, podobać się innym i sobie. W żarliwości – ponieważ bardzo nam zależy – stajemy się więc nadzy i łatwo w nas ugodzić, bo nie ukrywamy dążeń. I nawet jeżeli przegrywamy, to z uczuciem zwycięstwa w tym sensie, że nie skąpiliśmy sił, by spełnić

zamierzenia.

Dobre wychowanie uczy, jak poskromić nasze żywiołowe uczucia i jak je hamować. Powinniśmy być opanowani i starać się okiełznać żarliwość. Ale czy nie doznajemy ulgi, gdy znajdzie się w jakimś gronie *enfant terrible*, ktoś rubaszny, nieposkromiony, kto rozsadzając ramy „tego, co wypada”, daje ujście i naszym emocjom?

Żarliwość wzmacnia odwagę poprzez spotęgowaną wiarę we własne siły. Zwężone pole widzenia, które niesie ze sobą, jest zaprzeczeniem stanów rozproszenia. Człowiek obdarzony tą właściwością stanowi odwrotność ironisty, który z dystansem spogląda na świat i jego sprawy, i „wszystko wie lepiej”. Stanowi też zaprzeczenie zdawkowości, obojętności oraz tego, co można by ogólnie określić mianem przyzwyczajenia i pełnej życzliwości kurtuazji.

To wszystko, co wyłania się jako nowe, pragnie z żarliwością burzyć zastane i propagować z nie mniejszą żarliwością swoje idee. W manifestie futurystów – by sięgnąć do tego przykładu – czytamy: „Chcemy zburzyć muzea, biblioteki, akademie wszystkich rodzajów, chcemy zwalczać moralizm, feminizm i wszelką oportunistyczną lub utylitarną podłość”. I dalej „Poza sferą, w której my żyjemy, rozciągają się mroki. My, Futuryści, wstępujemy na najwyższe promienne szczyty i ogłaszamy się Panami Świata, ponieważ już teraz pijemy z żywego źródła Słońca”. Trudno o wyrazistszą ilustrację żarliwości, i to niezależnie od poglądów na temat wartości i znaczenia tego prądu w sztuce.

XVII. HONOR

Mówienie o honorze wydaje się już anachronizmem. W każdym razie odległy jest od tego, co uważa się za nowoczesne. W naszej epoce na

ogół wszyscy, niezależnie od wieku, lękają się zarzutu staroświeckości. Żyjemy bowiem w czasach, kiedy wzorem staje się sposób ubierania i sposób mówienia młodzieży. W czasach, w których nie czeka się z niecierpliwością na to, aby „być dorosłym”. Zanika bariera wieku dla wielu spraw, na które dawniej trzeba było poczekać.

Jednakże w codziennych rozmowach, prowadzonych przez ludzi rozmaitych środowisk, słyszy się nieraz odwoływanie do honoru bądź ocenia się czyjeś zachowanie jako „niehonorowe”. Mówi się też o długach karcianych jako honorowych. Dawniej, jeszcze przed II wojną światową, w pewnych warstwach obowiązywał „kodeks honorowy”, czyli prawo zwyczajowe, spisane przez Bożewicza. (Nasz kodeks honorowy wzorował się na kodeksach innych krajów, a zwłaszcza Niemiec).

Zanikająca, jak wspomniałam, jest nazwa honor, natomiast coraz częściej w literaturze naukowej oraz w publicystyce pisze się o godności człowieka. Ma to być wartość znamionująca każdego z nas, a więc nierozdzielnie związana z człowieczeństwem, wartość, której nikt nie powinien zostać pozbawiony. Właśnie, na przykład, prześladowanie z racji wyznania czy rasy, jak również obozy czasów wojny stanowią objawy nie respektowania godności człowieka. Byłaby więc to wartość obiektywna, która wyróżnia ludzi spośród innych istot żywych.

W myśl poglądów przedstawicieli wielu szkół filozoficznych, istnieje tzw. prawo natury, inaczej naturalne, określane też m. in. sprawiedliwością bądź prawami człowieka, które ma swoją podstawę właśnie, zdaniem wielu myślicieli, w godności człowieka. Niektóre ze szkół, głosząc te poglądy, nadają im zabarwienie religijne, wskazując na Boga jako stwórcę człowieczej natury. Ale jeżeli abstrahować od tego uzasadnienia, wskazywanego przez niektóre szkoły, na przykład tomizm czy personalizm, to należy podkreślić, że pojęcie godności człowieka stanowi platformę porozumienia dla grup i jednostek o odmiennych

światopoglądach. Jest to wartość powszechnie, przynajmniej teoretycznie, aprobowana przez współczesnych myślicieli.

Czy można postawić znak równoważności między honorem i godnością? Czym różnią się te pojęcia? Godność, to wartość obiektywna, właściwa każdemu z nas, choćbyśmy nie zdawali sobie z niej sprawy. Inaczej z honorem. Jest to wyraz subiektywnego uświadomienia sobie godności własnej i wypływających z niej nakazów i uprawnień.

Być człowiekiem honoru to znaczy wypełniać cały szereg czynności z poczucia obowiązku, czy wewnętrznej powinności, nie zaś ze względu na przewidywane korzyści. To znaczy nie zawodzić pokładanego przez innych zaufania i czuć się związanym danym słowem. Dobrze jest mieć do czynienia z kimś, kto kieruje się w życiu honorem, bo można wtedy mieć pewność obcowania z człowiekiem prawym. Z kimś, kto mówi zgodnie z tym, co myśli i odpowiednio do tego postępuje. Można się nie bać podstępu, nieszczerości, obmowy. Honor wymaga wierności wobec samego siebie, wobec przyjętej linii rozwojowej. Łączy się on z wykonywaniem obowiązków swojego zawodu i stanu.

Zwyczaj pojedynków – sposób odpowiedzi na dyshonor – trwał jeszcze w okresie między dwiema ostatnimi wojnami. Skończył się w latach trzydziestych, ale w niektórych krajach Europy, jak w Anglii, był on zakazany już przed pierwszą wojną światową. Również kościół dezaprobował pojedynki. Karol Estreicher w książce poświęconej biografii wybitnego filozofa i artysty, Leona Chwistka, podaje pewną ciekawostkę. Otóż we Francji pojedynki na szable uchodziły za interesujące barbarzyństwo Słowian. Przytoczę fragment tej książki: „Na dnie zwyczaju pojedynków, zwłaszcza wśród artystów, tkwiły ambicje towarzyskie i środowiskowe. Słonimski, opowiadając raz o swym pojedynku, ... wyznał szczerze, że głównym motywem, pchającym go do tego bezsensownego przelewu krwi, było tchórzostwo: «tchórzostwo

przed opinią publiczną, uważającą, że obrazę może tylko zmyć przelew krwi». Chwistek był zwolennikiem pojedynków. Ten racjonalista, za jakiego się uważał, tutaj okazywał zadziwiający brak konsekwencji. Wierzył, że pojedynek wyzwala od kompleksów, że oczyszcza z goryczy i krzywdy, że jest jedyną godną prawdziwego mężczyzny walką o własne prawa”.

Niezależnie od tego, czy uznany honor za anachronizm, czy też nie, pełni on w życiu rolę mobilizującą w obliczu przeciwności losu i wzmaga wolę przetrwania. Jest kwestią, czy zaniknął honor, czy raczej, unikając w naszej epoce nazw wzniosłych, przestaliśmy jej używać. Jeśliby się przywróciło funkcjonowanie honoru – w tym honoru zawodu, a więc lekarza, uczonego, nauczyciela czy rzemieślnika – to wszyscy i każdy na tym by zyskali. Pozytywne treści, jakie kiedyś zawierało to słowo, warte są kulturowania. Oczywiście, pojedynek jako sposób dochodzenia naruszonego poczucia honoru jest już dziś tylko zabytkiem obyczajowym, znanym z filmów, książek, dramatów.

Honor dobrze rozumiany, jego poczucie przejawia się wobec innego, ale i z nie mniejszą siłą wobec samego siebie. W tym ostatnim przypadku zmusza nas określając zachowanie powinno do przemagania lenistwa, niesumienności, a więc wszelkich nieprawidłowości w naszym życiu, Honor bywa siłą determinującą nasze postępowanie. Lęk przed popełnieniem czegoś, co mogłoby nas zhańbić, bywa silnym czynnikiem hamującym.

Współcześnie dziedzina sportu pozostała tą, w której jeszcze apeluje się do poczucia honoru.

XVIII. OBOWIĄZKI

Poczuciu obowiązku – nawet wtedy, gdy jest ono wyrażenie uświadomione – nie zawsze czyni się zadość. Ale jego występowanie drąży nas wewnątrz. Obowiązki każdego są rozliczne, co nie znaczy, że spełniane: rodzinne, zawodowe, przyjacielskie, patriotyczne, wobec społeczeństwa i inne. Nie miejsce tu na ich wyliczanie czy hierarchizację.

Bywają takie, które nas przenoszą w wyższy wymiar i takie, które stają się ciężarem trudnym do zniesienia. Przytłaczają i przyginają. Niektórzy zapominają o obowiązku wagi zasadniczej, wobec siebie samego, wobec rozwoju naszego „ja”. Postacią skrajną jest życie tych kobiet, które sprowadzają swoje istnienie do roli uzupełnienia życia dzieci i męża, do nieustannego służenia im. Zatrzymuję się tu szczególnie nad obowiązkiem wobec siebie, bowiem inne – te wobec współbliźnich i społeczności – są szeroko powszechnie omawiane.

Długotrwałe nieuwzględnianie obowiązku wobec siebie można rozwiązywać się ostatecznie w buncie wobec tych, którym się poświęcamy. Nie ma się zresztą prawa do tego, by niszczyć siebie i niweczyć troskę o własny rozwój ze względu na kogoś. Egoizm uszlachetniony, a więc w polu widzenia dostrzegający innych, egoizm kontrolowany przez rozum byłby drogą najbardziej zalecaną. Jeżeli zniszczymy siebie – nie pomożemy nikomu. Najtrudniej jest pomóc sobie. Znam młodą ładną dziennikarkę, która do tego stopnia przejęła się szczęściem innych, że prowadząc biuro matrymonialne, traktuje swoją działalność jako posłannictwo. Sobie nie może pomóc.

Obowiązkowość niektórzy wyrabiają w sobie ze względu na nią samą. Sprzyja takiej postawie odebrane rygorystyczne wychowanie. Może też być inaczej. Wzmaganie obowiązkowości może następować

ze względu na cele leżące poza nią. Jednym z celów, które pragnie się osiągnąć, jest poczucie bezpieczeństwa. Chodzi tu o nasze ciało, o jego nienaruszalność przez urazy i choroby oraz o nasze wewnętrzne ja – by nie doznało przykrości ze strony innych ludzi. W tym celu hamuje się tendencje aspołeczne w sobie, wzmacnia się obowiązkowość, ażeby nie zostać odrzuconym przez innych.

Obowiązki – jak już zostało powiedziane – mają źródło bądź w naszym poczuciu wewnętrznym, które objawia się jako powinność czy imperatyw domagający się spełnienia, bądź z zewnątrz pochodzących nakazach czy zobowiązaniach. Te ostatnie odczuwa się zazwyczaj jak ciężar, którego pragnęlibyśmy się pozbyć. Obowiązki, które nakłada nam otoczenie, mają sens przymuszający i spełnia się je zwykle bez żarliwości.

Jest wszakże sposób na to, ażeby nasze konieczne obowiązki przeobrażać w znacznie mniejsze ciężary psychiczne. Pomocna staje się tu autosugestia. Przez wiele ostatnich lat musiałam co tydzień dojeżdżać do innego miasta pociągami o 6 rano, a przed wyjściem z domu w zimie napalić w piecach. I nauczyłam się lubić trzaskający ogień w ciszy o czwartej nad ranem. To były wzbogacające, pełne koncentracji momenty.

Wiele więc zależy od naszego nastawienia do tego, co czynimy.

Wśród obowiązków, które musimy wypełniać, chciałabym się zatrzymać nad sprawą zawodu. Na pewno każdy – bardziej czy mniej lubiący swój fach – zdaje sobie sprawę z ciężących w tej dziedzinie obowiązków. I nie o tym chcę tu pisać. Odwrotnie. Wydaje mi się, że jednym z obowiązków wobec siebie samego jest nie ograniczanie swojego życia do jednostronnie uprawianego zawodu. Otóż niesłusznie jest nadawany, jak sądzę, pejoratywny sens pojęciu „dyletant”.

Nasza epoka, głosząc kult specjalizacji, pragnęłaby każdego zamknąć w ramach dla niego przewidzianych. Z pobłażaniem odnosi się do wykroczenia poza owe ramy, określając to, czemu się oddajemy, mianem

hobby. Pomniejsza to znaczenie własnego, pozainstytucjonalnego, wszechstronnego kształcenia. Droga, na przykład, Tadeusza Bairda może – *mutatis mutandis* – stanowić wzór do naśladowania. Nigdy nie ograniczał swojego życia do muzyki. Był na to zbyt ciekawy świata i zbyt świadomy krótkotrwałości istnienia. Zdobył sam rozległą wiedzę z historii kultury, literatury, teatru, malarstwa, historii wierzeń religijnych. Wszechstronne zainteresowania prowadzą do pogłębienia własnego „ja”, co – nawiązując do Bairda – nie pozostawało bez znaczenia dla komponowania.

Obowiązki zmuszają nas do ponoszenia skutków działania, których właściwie nie przewidywaliśmy. I w rezultacie stajemy się, najczęściej do tego nie przygotowani, ojcami, żonami i częścią składową jakiejś instytucji.

O wyborze zawodu rozstrzyga się najczęściej zbyt wcześnie, kiedy nie jest się w pełni świadomym własnych upodobań. Cięży na nas często pogląd rodziny, która niespełnione własne oczekiwania chciałaby urzeczywistnić przez syna czy wnuczkę. Trudno o większe nieporozumienie. Ulegając presji oraz wyobrażeniom środowiska o stosownej pracy, wiele osób dźwiga ciężar nietrafnie wybranego zawodu. Znam piekarza, który całe życie żałuje, że nie został krawcem – widocznie zbyt duża doza bierności nie pozwoliła mu na odwagę zaczęcia nauki od początku. Gorzej, gdy ktoś pragnąłby mieć jakiś fach, lecz czyniąc zadość ambicjom rodziny, chcąc dostać się do kręgu inteligenckiego, podejmuje pracę w jakimś biurze. I męczy się, bowiem praca urzędnicza bywa bardziej bezmyślna i monotonna, niż praca wykwalifikowanego robotnika czy rzemieślnika. Człowiek powinien móc cieszyć się tym, co robi. Każdemu jest niezbędna satysfakcja płynąca ze spełniania obowiązków.

XIX. POSZUKIWANIA ZA HORYZONTEM

Januszowi Anuszewiczowi Powszechne przenoszenie się z miejsca na miejsce jest jednym z bardziej znamienitych rysów charakterystycznych naszego czasu. Wydaje się, że niepokój wzniecony bądź wzmagany w nas przez środki masowego przekazu, rodzi lub potęguje tę chęć przemieszczania się, którą nagle zostali ogarnięci niemal wszyscy.

Środki masowego przekazu – poza swą funkcją uspokajającą, „narkotyzującą” – w nie mniejszym stopniu pełnią wśród pewnych grup społecznych rolę bodźca ruchliwości. Wzmagają ciekawość świata i pokazywanymi migawkami życia w innych krajach pobudzają do przemierzania nowych obszarów, a podświadomie skłaniają do poszukiwania tego, co powinno się zgodzić z nadzieją ziścić. Właśnie w podróżowaniu mają spełnić się nie zaspokojone potrzeby, a zwłaszcza ma zostać przezwyciężone uczucie osamotnienia.

Czy powszechna dziś ruchliwość człowieka jest spowodowana po prostu rozwojem środków komunikacji? Z pewnością, choć niewyłącznie. Ruchliwość ta, coraz bardziej stająca się powszechną, więc przynależną do życia codziennego rosnącej liczby jednostek, nie mogłaby wystąpić, gdyby z Paryża do Wierchowni na Ukrainie trzeba było z dużymi niewygodami podróżować dwa tygodnie, czy w najlepszym razie – jak Balzac spieszący do pani Hańskiej – dni osiem. Same jednak techniczne ułatwienia podróżowania nie byłyby wystarczające, jak się zdaje, dla wprawiania ludzi w coraz powszechniejszy ruch w przestrzeni. Wzmógł się stan napięcia i wewnętrznego niepokoju człowieka, a rozładowanie następuje właśnie podczas pokonywania odległości, właśnie w samym procesie podróży, choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę dość wyraźnie. Nigdy nie czułam się tak radośnie spokojna, jak w dniach,

kiedy za sprawą przyjaciół przemierzałam w ciągu trzech dni Niemcy, Belgię i Holandię.

Ludzie zawsze podróżowali. Chcieli dowiedzieć się, co jest za horyzontem. Przenoszenie się z miejsca na miejsce równało się dawniej długotrwałej przygodzie. Szybkość podróżowania była równa szybkości pieszego lub szybkości konia. Podróżnicy w czasach faraonów, w czasach Marca Polo i w czasach Napoleona przemierzali świat z tą samą szybkością. Podróż Czechowa z Moskwy na Sachalin i z powrotem, przez Ocean Indyjski zajęła mu prawie rok (transsyberyjska kolej jeszcze wtedy nie istniała). Nasuwają mi się tu słowa, zdaje się, Cata Mackiewicza, który powiedział, że prawdziwe podróżowanie miało miejsce przed wynalezieniem kolei żelaznej i zaczęło się na nowo wraz z samochodem, bo kolej to czarna rura; człowiek wsiada z jednej strony, a wysiada brudny i oczadziały u jej drugiego końca, niczego po drodze nie widząc.

Samochody jednakże – trzeba tu dodać – mają znowu tę wadę, że izolują ludzi od siebie, będąc przedłużeniem ich własnych zamkniętych w czterech ścianach domów. I w ten sposób podróż, której istotnym motorem jest kontakt z innymi ludźmi, poznanie nieznanego, podróż, która również i dziś ma w sobie nadal coś z posmaku przygody – nie spełnia swego zadania.

Pociąg – przy wszystkich niedogodnościach – łączy ludzi różnych środowisk i różnych zawodów. Daje okazję do zbliżeń psychicznych, skłania do zwierzeń nieznanym, bo będąc nie zidentyfikowani i wyrwani ze swych ról i statusów społecznych, wyzbyci pośpiechu i osadzeni w wolno płynącym czasie podróży koleją, zaczynamy zastanawiać się nad sobą.

Zdajemy sobie sprawę, że często jesteśmy nie słyszani w środowiskach, w których trwamy na co dzień; nie słyszani, choć mówimy o sobie do innych. A każdy poszukuje aprobaty i zrozumienia. Uwaga, jaką obdarza

nas nieznamy w pociągu, w hotelu czy w kawiarni, ma wartość istotną, choć takie spotkanie zdarza się przypadkowo. A przy tym sprawia ono, że istniejemy jeszcze dla kogoś, że w jeszcze innym człowieku dostrzegliśmy przełamanie siebie i będziemy w nim trwać, póki on żyje. Pamiętam ludzi spotkanych w pociągach.

Oczywiście, jednym z powodów częstego przemieszczania się z miejsca na miejsca jest moda, której wpływu nie można przecenić; skoro moi koledzy podróżują, więc i ja powinienem pochwalić się daleką wycieczką, inaczej będę się czuł gorszy czy lękam się, że za takiego zostanę uznany – tak nieraz przebiegają nasze nie zawsze nawet w pełni uświadomione motywacje. I jedziemy w odległe strony w tłoku, i stoimy w kolejkach przed zatłoczonymi jadłodajniami, ale potem możemy powiedzieć, że też odbywaliśmy podróż.

Właściwie trudno pojąć czasem, po co podróżujemy, gdy się zważy, że często widzimy to, co już obejrzelśmy w kinie czy w telewizji? Ten, kto przejechał tysiąc kilometrów, by samemu obejrzeć katedrę Notre Dame, zna zazwyczaj tę budowlę widzianą na krajoznawczych filmach i kolorowych przeźroczach, robionych przez specjalistów z uwzględnieniem najlepszego oświetlenia i perspektywy, z wydobyciem wszystkich szczegółów. A jednak jedziemy. Poświęcamy czas, pieniądze, a znalazłszy się na miejscu doznajemy nawet zawodu, więc tylko tyle? Znamy już to skądś, widzieliśmy przecież – dzięki technice. Paradoks: stając przed oryginałem, patrzymy z odczuciem, że to reprodukcja.

Więc może w naszych dalekich podróżach chodzi nie tylko o kamienie, zabytki, o inne krajobrazy i inną roślinność, lecz zwłaszcza o poznawanie ludzi? Ale niewiele okazji ku temu daje pudło autokaru, które więzi nas równie skutecznie przed ludźmi innych narodów, jak mury oglądanych zabytków.

Istotą podróży, jak się wydaje, jest poznawanie innych ludzi i siebie

wobec nowych sytuacji, lecz programy biur turystycznych nie przewidują tego celu i, poza tym, nie każdy z podróżujących uświadamia sobie dostatecznie ten właśnie podświadomy cel własnego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Pomijam tu jako nieciekawy motyw – snobizm.

Maksym Gorki, gdy zrozumiał, że po to, by stać się pisarzem z prawdziwego zdarzenia, trzeba poznać ludzi, „popatrzeć, jak żyje lud”, rozpoczął swoje wędrówki po Rosji, przemierzając jej olbrzymie przestrzenie i czerpiąc z bezpośrednich kontaktów ze spotkanymi ludźmi natchnienie dla swojej twórczości.

Oczywiście, bezpośrednie motywy owych poszukiwań za horyzontem – których świadomy i podświadomy sens starałam się nakreślić – bywają nie tylko tak wzniosłe. Poza względami twórczości czy motywami interesu i dobrze płatnej pracy, jak w wypadku *Gastarbeiterów*, bywa, że podróżuje się z konieczności, na przykład, do pracy, czy odbywa się stałe podróże na weekend.

Takie powtarzające się wahadłowe podróżowanie ma niewątpliwie inny charakter, jak wszystko, co wiąże się z przymusem, z presją. Zresztą i presja może mieć co najmniej dwa znaczenia: materialne, gdy robotnik mieszkający na wsi i nie chcący rozstawać się ze swym gospodarstwem, podejmuje pracę w fabryce oddalonej o kilka godzin podróży koleją i codziennie znosi ten trud dojazdu. Takie podróżowanie niewiele ma wspólnego z przygodą i rozwojem wewnętrznym, więcej z silnym stanem zmęczenia.

Presja może też popychać – a zachodzi to zjawisko powszechnie, na przykład w wielu krajach Europy Zachodniej – do cotygodniowych męczących podróży w każdy piątek wieczorem. Zmęczeni pracą wsiadają Europejczycy do swoich samochodów i zgodnie z panującym zwyczajem, powodowani lękiem, by nie wyłączyć się z tego, co powszechne i niejako obowiązujące, jadą samochodami, więzieni często na jezdni, do swych

domów za miastem. Taka podróż, czyniąca zadość obyczajom, sprawia, że rodzina pozostaje nadal w izolacji od innych, tkwiąc w samochodzie czy potem w swym drugim domu. Wracają w niedzielę wieczorem, zmęczeni i jakby oszukani, bo niczego nowego nie przeżyli, bo nie było tam miejsca na spotkanie człowieka – spotkanie życiodajne.

Potocznie mówi się o tym, że podróże kształcą. Rzeczywiście, ci, których życie upływa w podróży, mają w sobie, w oczach często przestrzeń, coś z dali, zwłaszcza ludzie morza. Są bardziej otwarci, bardziej spontaniczni, bardziej obcy przy niewysokim, na przykład, wykształceniu i bardziej promienni wewnątrznie, bo nie zmęczeni znużeniem powtarzającego się codziennie, jednakowego rytmu zdarzeń. Oczywiście, wszelkie uogólnienia bywają zawodne.

Stykanie się w podróżach z różnymi ludźmi uczy, że nic nie jest oczywiste, że obyczaje własnego kraju czy regionu nie są kanonem niepodważalnym. Podróże i zetknięcia z innymi prowadzą do wewnętrznego wyzwolenia spod siły przyjętych konwencji myślowych. Uczą szybciej i ciekawiej niż podręczniki akademickie.

I nie pozwalają zasklepić się wewnątrznie we własnej prawdzie, we własnym już ukształtowanym zespole poglądów – a ukształtowanie znaczy czasem tyle, co skamieniałość. Podróże dają okazję do ciągłej rewizji tego, co już uznało się za słuszne. A przy tym spotykani ludzie wyzwalały pewne płaszczyzny naszej indywidualności, które zapewne pozostałyby uspięne, gdyby nie nasze wyrwanie się, poprzez podróże, z kręgu rodzinnego, towarzyskiego i zawodowego.

XX. WAKACJE CZYLI INNA

RZECZYWISTOŚĆ

Coraz bardziej zaprzęta uwagę psychologów, psychohigienistów i socjologów kwestia wolnego czasu, którego sens i sposób wykorzystania staje się problemem. Przybiera to na sile w związku ze skracaniem czasu pracy. Powstaje pytanie o sensowne wypełnianie wolnych sobót. Jednakże inaczej przełamują się w nas krótkie okresy wolnego czasu, niż okres urlopowo-wakacyjny. Czas wolny po pracy ma znaczenie odmienne, niż dłuższy przedział czasu, który daje nam możliwość całkowitego oderwania się od zwykłego sposobu życia. Daje też możliwość pełniejszego zastanowienia się – po uzyskaniu perspektywy – nad sobą.

Uczeni nie są zgodni w swych poglądach na rolę wolnego czasu w naszym życiu. W literaturze naukowej można znaleźć wiele prób klasyfikacji. Przykładowo, przypisuje się czasowi wolnemu funkcje takie, jak edukacyjna, wychowawcza, ekspresyjna, kompensacyjna etc. Być może, powstanie niebawem nowa interdyscyplinarna nauka, która ujmie to zagadnienie w kategoriach antropologii kulturowej. Ale czy będzie można z niej wyciągnąć praktyczne wnioski? Znaczący tego zagadnienia, Andrzej Roykiewicz, ocenia w następujący sposób dotychczasowe osiągnięcia uczonych i formułuje pewne postulaty: „Z jednej strony czyni się próby stworzenia bardzo ogólnej koncepcji aktywności w czasie wolnym i jej egzystencjalnego znaczenia dla grup i jednostek – zmierzając do ujęcia tego problemu w kategoriach antropologii kulturowej, w małym jednak stopniu korzystając z dokumentacji empirycznej. Z drugiej strony prowadzi się wąskospecjalistyczne badania atomizujące funkcje czasu wolnego i dość sztucznie dzielące aktywność człowieka w głównych dziedzinach życia, np. według instytucjonalnych struktur lub wyizolowanych założeń teleologicznych. Wyjścia z takiej sytuacji można upatrywać np. w próbie

powołania nowej, interdyscyplinarnej nauki o czasie wolnym, wzorowanej metodologicznie na bardziej zaawansowanej syntezie – nauce o pracy ludzkiej”. (*Psychohigieniczne funkcje czasu wolnego w pracy zbiorowej: Zdrowie psychiczne*, Warszawa 1981). Czytając te wywody dochodzi się do wniosku, że refleksja filozoficzna również i tu jest niezbędna.

W każdym razie, wakacje mają głęboki sens psychoterapeutyczny. Wydobywają nas z kłębowiska rozlicznych obowiązków i powinności zarówno rzeczywistych, jak i tych, które nakładamy sobie nieraz nieco masochistycznie, uzyskując dzięki temu poczucie własnej niezbędności w czymś czy dla kogoś.

Wakacje bywają oddalaniem się od domu i mogą nasuwać okazję spojrzenia na własne życie z dystansu. Człowiek oddala się od domu, a przybliża do siebie. Ta zmiana perspektywy sprawia, że często zaczyna się na nowo cenić codzienność i tych, którzy są w naszym pobliżu, lecz przez uzwyczajoną już bliskość przestają być przez nas na co dzień zauważalni. Właściwa jest nam bowiem podwójna optyka: ostre i trójwymiarowe widzenie spraw i ludzi jednych, i słabe spraw innych, tych przez przyzwyczajenie oczywistych.

Wakacje przynoszą odprężenie, a nawet potrafią zmienić nasze życie. Uczą zatrzymywać się w terażniejszości, zmniejszać pośpiech, w którym wciąż żyjemy nie umiejąc regulować tempa życia. Wakacje, bywa, wiodą nas za horyzont, lecz jednocześnie stają się podróżą w siebie przez zetknięcie z innym światem. Wypoczywając odnajdujemy niejednokrotnie w sobie uniesienia, do których, wydawałoby się, nie byliśmy już zdolni. Uczymy się rozmawiać z ludźmi na inne tematy, niż sprawy zawodowe czy kłopoty i zmartwienia. Odnawiamy kontakt z przyrodą. Poszerzamy krąg osób, zawężony zwykle do rodziny i znajomych z pracy.

Bywa, że ktoś woli szybkie przeniesienia z domu na wakacje, bo owa nagłość zmiany otoczenia skutecznie odrywa od absorbujących stale

spraw. Bywa, że woli się wyjazdy, na przykład, statkiem czy promem, które są powolnym odczuciem narastania przestrzeni dzielącej początek od celu wędrówki. Zwłaszcza, że wtedy znikają zewnętrzne konieczności i pozostaje się sam na sam ze sobą z pełnym zdziwienia stwierdzeniem: ja nic nie muszę czynić poza podróżowaniem na wakacje.

W czasie urlopu łatwiej o uładzenie rozproszonych stanów uczuciowych i rozterek, o ich zawieszenie na okres wypoczynku. Zyskuje się też uwolnienie od codziennych drobnych kłopotów. Szczególnie interesująca jest możliwość zbliżenia się do ludzi odmiennych zawodów, pochodzących z rozmaitych grup społecznych, do ludzi w różnym wieku. To również zmienia perspektywę w widzeniu własnych spraw.

Wiele krzywdy czyni ludziom przeświadczenie, że przyjaźnie zawiązują się właściwie tylko we wczesnej młodości. Ta, przenoszona z pokolenia w pokolenie, „prawda” już z góry izoluje od ludzi w przekonaniu, że wakacyjne znajomości powinny się urwać u progu domu. Ale może to przeświadczenie, paradoksalnie, skłania do większej otwartości?

W miejscowościach wypoczynkowych, uzdrowiskowych, szerzej w warunkach wakacyjnych, ludzie wydają się łatwiejsi w kontaktach, szukają często kogoś, komu w nieobowiązujący sposób mogliby opowiedzieć dzieje swego życia. Kawiarnie przestają być miejscem iluzorycznych związków ich stałych bywalców. Nieznajomi nawiązują chętnie kontakty, a zwierzeniom nie stają tak ostro na przeszkodzie konwenanse. Któregoś dnia znana z widzenia pani dosiadła się do mego stolika w kawiarni uzdrowiska i z budzikiem w ręce, wyjętym z torebki, ograniczona godziną zabiegu, opowiedziała mi historie swych nieudanych miłości. Budzik zadzwonił, wstała i poszła. Nie widziałam jej więcej. Wiele można dowiedzieć się o człowieku w ogóle w czasie takich kontaktów i można przeżyć niespodziewanie głębokie wrażenie właśnie wtedy, gdy jest się wyrwanym ze zwykłego sobie otoczenia. Trwają we mnie od lat obrazy

takich spotkań i ich sens niebanalny.

Wzbogaca wewnętrznie spędzanie wakacji nie tylko wtedy, gdy co roku jeździ się do miejsc nowych, wchłaniając w siebie nieznaną dotąd obszar. Bywa, że czeka się na wakacje właśnie po to, ażeby wrócić do osób i okolic znanych od lat, czasem od dzieciństwa, po to, by znów pobyc w miejscu, które uwięziło nas niegdyś „bez odwołania”. Dlaczego ciągną nas takie powroty do miejsc i osób? Każdemu potrzebny jest trwały punkt odniesienia dla konfrontacji siebie dzisiejszego z sobą dawniejszym.

Może szczególne znaczenie mają właśnie te miejsca, które obraliśmy sobie sami, nieprzypadkowo, jako punkt odniesienia; gdy wraca się nie tyle do tych znanych z dzieciństwa czy wczesnej młodości, ile do miejsca, w którym niegdyś, w jakimś momencie, lepiej pojęło się siebie czy wyzwoliło wewnętrznie.

W czasie tegorocznych wakacji odkryłam nowy architektoniczny element Nałęczowa: dom zaprojektowany i zbudowany nie tak dawno przez plastyka o dużej wyobraźni, wkomponowany znakomicie we wzgórze, dom, który ma „swoją duszę”. Dom, we wnętrzu którego znajduje się drzewo, wyrastające przez wycięty specjalnie otwór w dachu. Właśnie ten dom pozostał dla mnie symbolem wewnętrznego ciepła, jakie przynosi spotkanie w niebanalnym wnętrzu kilku podobnie czujących i myślących osób.

Anais Nin powiada w swym dzienniku: „Codzienność życia nie interesuje mnie. Szukam tylko momentów niezwykłych”. I właśnie wakacje zawierają w sobie potencjalnie ową niezwykłość, bowiem wyrwani z mechanizmu codzienności zaczynamy wyraźniej dostrzegać innych ludzi, a momenty niezwykle wymagają udziału innych. Ale trzeba umieć nie tylko rozmawiać; uczenia się wymaga również bycie z innymi ludźmi. Wakacje mogą stać się taką dobrowolną szkołą.

Wyświetlano swego czasu komedię filmową pt. *Jeśli dziś wtorek*,

to jesteśmy w Belgii. Tytuł charakteryzuje zarazem tempo wędrówek wakacyjnych. Nie można zaprzeczyć, spoglądając na tysiące turystów wożonych autokarami z miasta do miasta, z kraju do kraju, że mają natłok wrażeń, że dużo oglądają. Tyle tylko, iż podobnie jak widz kinowy czy telewizyjny szukają pożywki dla jednego zmysłu. Mianowicie, bogactwo świata zawężają do wrażeń głównie bądź niemal wzrokowych. Dlatego właśnie poznawanie świata jest przez nich, mimo tych wędrówek wakacyjnych, w jakiej mierze nieureczywistnione. Zostają bowiem nie zaspokojone, pozbawione właściwej dla siebie pożywki, inne zmysły. Przykładowo, węch, smak i dotyk powinny na równi ze wzrokiem odkrywać świat. Inaczej za mało czujemy, za mało pogrążamy się w nieznanym, za mało przeżywamy. Niedostępny pozostanie nastrój uliczek Neapolu czy całkiem odmienny nastrój dzielnicy Hamburga, San Paulo, czy swoistość ciepła kamieni parku Milesa w Sztokholmie.

Jak, nie odwołując się do innych niż wzrok zmysłów, przeżyć więź z przeszłością wśród ruin pałaców na wzgórzu pałatyńskim w Rzymie? A odmienność smaku potraw, podawanych w różnych krajach? Smak też jest źródłem radosnych podniet i znajomość kuchni poszczególnych krajów pogłębia spostrzeżenia na temat kultury narodów, bowiem ma związek z tzw. kulturą duchową. Wakacje w innych krajach wymagają zwiedzania nie tylko muzeów, ale również kafejek, nawet knajp – tych nie dla turystów, oraz przedmieść, bo tam poznać można zwyczaje, bo tam zetknąć się można ze zwykłymi mieszkańcami kraju. I wtedy jest okazja, by czegoś się dowiedzieć, a nie tylko coś zobaczyć.

Wydaje mi się, że wakacje pozwalają nam poznać pełniej siebie, nie sprowadzonego – jak to bywa często na co dzień – do kilku funkcji, a więc zarabiania, utrzymywania rodziny, pełnienia w niej rozlicznych obowiązków etc. Wakacje dostarczają „luster”. Czasem – krzywych zwierciadeł.

Szarzyzna życia przygniata nieraz swoją beznadziejną siłą bezwładu. I, właśnie, urlop pomaga się z tego otrząsnąć, służyć tym samym naszemu rozwojowi wewnętrznemu w jego różnych płaszczyznach. O tym, że wakacje odpowiadają psychofizjologicznym koniecznościom, nie trzeba dodawać ani się nad tym zatrzymywać.

XXI. TANIEC

Obserwacja wypoczywających prowadzi do smutnego wniosku, że niewiele z nas potrafi się bawić, choć zabawa jest przecież jedną z najbardziej pożądanых form spędzania czasu wolnego od obowiązków. Pozwala integrować wewnętrznie, osadzać w terażniejszości i stawać się wyrazem radości, cieszenia się tym, że istniejemy. Jest nawrotem do dzieciństwa, którego nie powinniśmy wykorzeniać z siebie.

Wiele jest różnych zabaw, a wśród nich tańczeniu przypisałabym rolę szczególną. Znam osoby, które zostały wyciągnięte z depresji i stanów niewiary w siebie właśnie dzięki sztuce tanecznej. Dla jednych, pomijając zawodowych tancerzy, jest ona zabawą, radością wyzwalającą z refleksji, a dla innych – rozwiązywaniem pewnych problemów własnego „ja” oraz swego losu, którego uosobieniem staje się partnerka.

Bywają tańce nastawiające introspektywnie. Właśnie wbrew powszechnie ustalonym poglądom nie *Krzyk Muncha*, lecz jego *Taniec życia* wydaje mi się dziełem o najmocniejszej wymowie tragizmu. Uderza w tym obrazie obcość znieruchomiałych par tanecznych. Taniec więc nie zawsze wyraża radość.

W filmie Kawalerowicza, *Austeria*, roztańczeni uczniowie cadyka, chasydzi, chcą w śpiewie i w tańcu rozwikłać dramat niebezpieczeństwa, jak również zbliżyć się w ten sposób do Boga. Podobnie derwisze nadają

tańcu wymiar transcendentalny. Z kolei, jak tego zaznałam, kurdyjskie tańce wprowadzają swym miarowym, niemal sennym rytmem w rodzaj transu. On również przenosi w inny wymiar codzienności.

Taniec odwołuje się do czucia, do rytmu, który jest przymusem – jak pisał Nietzsche w *Wiedzy radosnej*. „Wytwarza niepokonaną chęć ulegania, zgadzania się; nie tylko nogi lecz i sama dusza idzie za taktem”. Taniec wyzwala tych, którzy – o ile zdarza się im tańczyć – są przeintelektualizowani, pozwalając niejako zawiesić myślenie. I jest pożądanym dla kobiet, zwłaszcza wyemancypowanych, bowiem przywraca kobiecość, uczy – mówiąc w przenośni – radości „niewolnictwa”, będąc jego spełnieniem; uczy podporządkowywania się woli i decyzji partnera.

Rytm dźwięków pobudza do tego, by towarzyszyć im równoległymi ruchami, w których wypowiada się przeżycie nastroju. Taniec łączy w sobie elementy plastyki, muzyki i poezji, a poza tym jest sztuką wciągającą do udziału całą zbiorowość. Przełamuje więc bariery między jednostkami. Wartość erotyczna tańca, w tym zwłaszcza tańca towarzyskiego, jest sprawą, którą również się przemilcza.

Stopniowo zanikają tańce ludowe, ustępując międzynarodowemu folklorowi. I międzynarodowe są też dyskoteki, w których jednakże unosi się często nastrój samotności. Te w Europie Zachodniej daleko odeszły w swym wykwinciu i ściszonej muzyce od naszych rodzimych. Ale w dyskotecę, niezależnie od rodzaju wnętrza, tańczy się w grupie i zarazem samotnie. Obcość płynie z czysto powierzchownego, zewnętrznego kontaktu, bowiem każdy tańczy obok i dla siebie, jak chce. Nawiązywane tu kontakty są czysto zewnętrzne, nie poruszają głębszej sfery. Niektórzy, zaglądając do dyskoteki, odnoszą wrażenie smutku.

W dawnej kulturze polskiej dużą rolę odgrywało życie towarzyskie. Jego odrodzenie, mimo niesprzyjających warunków materialnych, stwarzałyby podstawę dla powstania więzi autentycznych, nie

ograniczanych do kręgu przypadkowego, zawodowego czy kierującego się motywami interesowności. Wyrwałyby ono jednostki z bezsensownej gonitwy, mającej na celu zdobycie rzeczy, wprawiającej niemal w stan narkotyczny: więcej mieć! Ta pogoń nie ma kresu i ci, którzy zdobyli upragnione dobra materialne, nie mają czasu cieszyć się nimi, bo już dążą do następnych. W rezultacie, pewne oczekiwania Polaka, który po dwudziestu latach nieobecności w kraju przyjechał tu z Argentyny do swego brata zupełnie się nie ziściły. Przywykł już do tego, że po ciężkiej pracy fizycznej, przynajmniej raz na tydzień, odpoczywa tańcząc. Pragnął więc tego jeszcze mocniej w czasie urlopu w kraju. Ale gdzie szukać takich radosnych miejsc u nas, które nie przypominałyby handlu żywym towarem, a pozwalałyby się cieszyć tańcem dla tańca?

Radość i odpoczynek, jakie niesie zabawa, płynie w dużym stopniu stąd, że jest to czynność, w której nie jesteśmy nastawieni na urzeczywistnianie jakiegoś – i zewnętrznego w stosunku do nas – celu. Jest to czynność, która staje się celem samym w sobie. Jednostki łaknące zabaw, bawiące się, lepiej i łatwiej wypełniają ciężące na nich obowiązki oraz lepiej znoszą niepowodzenia. Może mają w sobie „zapas” radości. W zabawie można dać upust dążeniom nieziszczalnym w innym wymiarze niż fantazja i wyobraźnia. Znakomitą ilustracją tej tezy – łączenie z wykazaniem, że zabawa może zaspokajać szereg niewyraźnych oczekiwań – jest *Kraks* Dürenmatta.

Do niedawna żyło się w przekonaniu, że wyzwolenie ludzi od konieczności pracy zarobkowej przyniesie szczęście. Jednakże okazuje się, że brak ciężkiej, bezdusznej i wyczerpującej pracy nie popycha ku temu, co się powinno wydawać najcenniejszym i najlepszym. Wyhodowuje się na ogół wąskich specjalistów o nierozbudowanej ciekawości poznawczej. Toteż gdy tracą czy przerywają zajęcia zarobkowe, nie wiedzą jak zużytkować wolny czas. Żadna z dziedzin kultury nie pociąga. Obserwacje

prowadzą do wniosku, że chęć posiadania pieniędzy oraz dominowanie są aspiracjami tej większości, która nie ceni możliwości wolnego czasu, która stroni od zabawy i od wnikania w siebie.

Jowialni, beztroscy mają siłę przyciągającą. Przynoszą poczucie bezpieczeństwa, bowiem są obecni w czasie, który się staje. Nie podporządkowują przemijającego czasu temu, co kiedyś ma nastąpić. Colas Breugnon wydaje się symbolem umiejętności czerpania radości z życia.

W zabawach dorosłych odzywają się ślady dziecięcej naiwności i spontanicznej radości. Trzeba umieć znajdować jej elementy nawet w tym, co zdawałoby się zwyczajne. Rozmowa z barmanem, spotkanie listonosza, zwierzenia u fryzjera – przy odpowiednim nastawieniu – mogą zarówno podtrzymywać na duchu, pełnić rolę psychoterapeutyczną, jak i przekształcać się w chwilę wytchnienia. Ale trzeba lubić innych, a nie tylko samego siebie, i być wobec nich otwartym.

Oczywiście, zanurzenie się w rozrywkach, życie z dnia na dzień przypomina ucieczkę od rzeczywistości i rozprasza wewnątrz, stanowi zaprzeczenie własnych możliwości rozwojowych. Alkoholizm i narkomania to jednoznacznie negatywne formy, które jednostka współcześnie najchętniej wybiera zamiast prawdziwej zabawy. Wybór innych form zabaw, uprawianie tańca, muzyki czy sztuki, organizowanie spotkań towarzyskich wymaga przełamania bierności, odwołania się do wyobraźni i fantazji. Zaratustra w tańcu wypowiada sprawy najważniejsze, ucieleśnia to, co doniosłe. Nietzsche domagał się właśnie, ażeby tam, gdzie praca zniewala ludzi, umożliwić muzykę i taniec w czasie dni świątecznych. Tańcząc można, nareszcie, poczuć się wolnym, upojonym, można się czuć jak „dzieło sztuki”, stworzone przez rytm. Zaratustra wyznaje – w jednym z dzieł Nietzschego – że wierzyłyby w Boga, o ile ten potrafiłby tańczyć.

Taniec, często wyszukany, towarzyszy treściom życia ptaków, ryb i owadów. Elementem tańca, właściwym całej przyrodzie, jest rytm. W czasach pradawnych z każdym wydarzeniem, jak narodzenie, małżeństwo, choroba etc., wiązał się obrzęd, którego część istotną stanowił taniec. Wszyscy brali w nim udział i w ten sposób następowało cementowanie zbiorowości. Religijna funkcja tańca ujawnia się w kulturze Wschodu i Zachodu. Rozdzielenie tańca od religii nastąpiło w Europie pod wpływem chrześcijaństwa, bowiem Kościół uznał – po swym umocnieniu się w średniowieczu – że jest to przejaw pogaństwa. Pozostał jednakże nadal przejawem chęci, aby ważne dla jednostki wydarzenie świętować wspólnie i w ten sposób wzmagać poczucie wspólnoty.

Taniec nie został zarezerwowany wyłącznie dla zawodowców, bowiem jest źródłem zbyt dużej radości, do czego ludzie starsi przyznają się z oporami ze względu na presję obyczajowe, zastrzegające – z niezrozumiałych powodów – cały szereg radości jedynie dla młodych ludzi.

Zagadnienie śmiechu, radości, zabawy stanowi problem w krajach tzw. cywilizowanych, lecz nie dla pierwotnych ludów, spontanicznie oddających się tańcu. Jego wszechobecność jest może nie zawsze w pełni uświadomiona. Wyraził ją znakomicie Władysław Witwicki w jednej ze swych rozpraw. Wskazuje w niej na wiele przejawów tańca w zabawach małych dzieci, w wędrownce pijaka po chodniku torem prawidłowego meandru, w gimnastyce, w ustalonych układach „... ruchów, postaw ciała i zwrotów, jakie duchowieństwo zbiorowo wykonywa przy uroczystych nabożeństwach i obrzędach”. Witwicki podkreśla, że „taniec to również zbiorowe popisy wojska na placach publicznych podczas uroczystości. Nie mówi się o tym, bo ulegamy złudzeniu, że to są przeglądy sił zbrojnych, celowe i potrzebne ze względów czysto wojskowych. One niewątpliwie mają swój cel i są potrzebne rządowi, które się na armiach opierają; rewie

służą jako środki sugestywne, działające na tłumy” (*O sztuce tańca*).

Właściwie, skoro wszyscy jesteśmy tancerzami w tym sensie, że gestami wyrażamy ból, zdenerwowanie, gniew, radość, niepokój i inne stany – wcześniej niż opisujemy je w słowach – to dlaczego świadomie tak rzadko to czynimy? Dlaczego mało tańczymy?

XXII. W OBRONIE DZIWAKÓW

Do podjęcia tego tematu skłoniła mnie rozmowa przy stole. Towarzystwo można było określić jako nobliwe, zaliczyć do tzw. starej inteligencji. Odpoczywający w uzdrowisku adwokat stwierdził całkiem poważnie, że Grotowski jest człowiekiem niepoważnym, chwalonym przez snobów, którzy boją się przyznać, iż nie lubią jego twórczości, iż jest, w ogóle, dziwakiem.

Te słowa mnie zastanowiły, bo nie były powiedziane przez człowieka tuzinkowego. I zadałam sobie pytanie: dlaczego żywimy tak mało tolerancyjności dla odmiennego modelu życia? Skąd taka łatwość deprecjonowania nowych twórczych poszukiwań artystycznych oraz modelu życia innego niż własny? I pozazdrościłam memu współtowarzyszowi przy stole pewności, z jaką swój styl życia i swoje upodobanie kulturowe podnosi do rangi jedynie właściwych.

Ostatnio wytworzył się w naszym społeczeństwie przyjazny klimat dla hobbystów i nie są ośmieszani poza plecami, nawet gdy zbierają różne naczynia kuchenne. Pomogła w tym telewizja, przeprowadzając z niejednym wywiad. Uznanie czyjejs odmienności i jej aprobatą wymaga mądrości i tolerancji. A tolerancji jest w nas wciąż zbyt mało, choć wywodzimy się z narodu indywidualistów.

Uznanie czyjejs odmienności – choćby znacznie odbiegała od

przeciętności – nie zaś kwalifikowanie jej jako dziwactwa, jest wyrazem wysokiej kultury wewnętrznej. Wyraża się w takiej postawie szacunek dla indywidualności innego oraz skromność. Wyśmiewając bowiem innych, wyrażamy zadufanie, niedobrą wiarę w swoją nieomyślność i przekonanie o jedynej słuszności naszej racji.

Widocznie jednak instynkty stadne, wciąż w nas silne, sprawiają, że chcemy widzieć innych na wzór i podobieństwo nasze, a nas samych staramy się zazwyczaj dostosowywać do tego, co ogólnie przyjęte. Lękamy się własnej odmienności i nie lubimy jej u bliźnich.

Presja obyczajów bywa nieznosna. Doprowadziła niedawno – sięgając do obserwowanego przeze mnie przykładu – do poważnej choroby sześćdziesięciosześcioletnią wdowę. Próbowала ona pod wpływem nacisku otoczenia stłumić w sobie miłość do poznanego człowieka. Zarówno bowiem dorosła córka, jak i mieszkająca z nią wspólnie siostra uczyniły z niej przedmiot kpin. Chciały przywrócić ją „do porządku”, choć jej uczucia nie pociągały za sobą niczyjej krzywdy. Chodziło o „niestosowność”. Intensywność uczuć niemłodej kobiety wydaje się najczęściej niedorzecznością. Zdaniem otoczenia wspomniana wdowa powinna się dostojnie starzeć, nie zaś „dziwaczyć”. Nie chcąc być traktowana jako „starsza pani bez godności”, poddała się presji otoczenia, płacąc za to wysoką cenę, zamiast – na wzór bohaterki znanego francuskiego filmu pod tym właśnie tytułem – mieć odwagę żyć zgodnie ze swoją wewnętrzną prawdą.

Właśnie, szczególnie w sprawach uczuć opinia jest nieubłagana i gotowa okrzyknąć dziwakiem każdego, kto odważa się kierować nimi i w sposób odmienny od przeciętnie przyjętego. Niedawno w środowisku nauczycielskim została „potępiona” pani, która wyszła za mąż za swojego ucznia. Postąpiła inaczej niż czyni to u nas ogół; jednakże w Szwecji, dla przykładu, takie zdarzenie nie bulwersuje nikogo. Wydaje się, że

wciąż na nowo trzeba przypominać, iż obyczaje są czymś umownym i że nie powinno się nigdy kogoś, kto żyje w sposób odmienny od ogólnie przyjętego, ośmieszać i uznawać dziwacznym.

Im silniejszy nacisk obowiązujących wzorów życia w wielu dziedzinach, tym większa, naturalnie, liczba tzw. dziwaków i tym większa liczba osób cierpiących na psychonerwice i nerwice, wyrosłe z tłamszenia własnej natury. Dążenie przystosowawcze do wzorów utartych powszechnie dotyczy często istotnych sfer życia i może stać się źródłem tragedii, gdy jednostka ma za mało odwagi, by żyć na swój sposób i na swoją własną odpowiedzialność.

Zbliżony do tego jest problem dyskryminowania osób, które leczą się w szpitalach psychiatrycznych. To, niestety, zjawisko często u nas spotykane. W miejscu pracy i w otoczeniu bliskich pojawia się niedobra rezerwa wobec nich. Stają się niemal napiętnowani. Dobrze, że w wielu krajach kartoteka chorych umysłowo należy do bezpowrotnej przeszłości. Przewyciężanie jeszcze występujących w społeczeństwie uprzedzeń i form dyskryminacji powinno obchodzić każdego.

Domaganie się szacunku dla tych, którzy są inni, jest jednocześnie domaganiem się szacunku dla cudzej autonomii. Dlaczego mielibyśmy cenić najwyżej, a raczej, jedynie to, co statystycznie najczęstsze? Szacunek dla „dziwaków” nie ma w sobie nic z chęci lekceważenia tradycji i obyczajów. Jest raczej propozycją, by mieć otwarte oczy i widząc czyjeś życie odmierne od powielanych wzorców, uczyć się tego, co jest w nim wartościowe.

Kim właściwie jest „dziwak”? Człowiekiem odbiegającym od szablonu, urzeczywistniającym inny od powszechnie panującego, własny system wartości. Dla wielu odmienicy, a więc ci, którzy chcą być sobą, są śmieszni i naiwni. Ten, kto potrafi zrozumieć potrzeby innego człowieka, ten kto uznaje w rzeczywistości, a nie tylko w teorii prawo każdego do

rozwoju własnej niepowtarzalności, a więc i zarazem do jej ekspresji – nigdy nie określi drugiego człowieka mianem „dziwak”.

Błędem, niestety, często spotykanym, jest uznawanie własnego sposobu życia za normę i według niej ocenianie innych. Czy to nie zbyt duże zaufanie w siebie? Skąd takie uprawnienie? Lękać się trzeba ludzi odznaczających się taką niezachwianą pewnością siebie. „Dziwacy” nie domagają się przecież, by inni szli ich śladem.

Określenie „dziwak” bywa, że przylgnie do kogoś na całe życie, wywołując w otoczeniu dobrotliwą pobłażliwość. Skoro taka etykieta funkcjonuje społecznie, otoczenie go izoluje. Jest gotowe zaakceptować dziwaka tylko pod warunkiem, że otrzyma on spoza tego otoczenia inną etykieta. Że zostanie, na przykład, oficjalnie uznanym poetą czy artystą etc. I wtedy do tego dawniej ośmieszanego podchodzi się z szacunkiem i na palcach. Niestety, takie uznania bywają zbyt spóźnione, by mogły zniwelować ciężar tego, co występowało przedtem.

Znam weterynarza, który zarzucił swój fach, bo silny w nim atawizm kazał mu w końcu osiąść na roli i żyć jak przodkowie, tyle że sam jest swoim parobkiem i do tej funkcji sprowadził też rodzinę. Żyje jak chłop, hoduje krowy, zbiera siano i jest szczęśliwy. Znam filozofa mieszkającego w małym miasteczku. Jego rozprawy są drukowane w pismach zagranicznych, a on sam był przyjacielem i modelem jednego z wybitniejszych polskich malarzy. Dzieci rzucają w miasteczku za nim kamieniami, a sąsiedzi, gdy go widzą, robią nieznaczny ruch ręką na czole. Jest inny. W opinii otoczenia „nic nie robi”, bo całe dnie przesiaduje w domu, czytając i pisząc. Jest wykształcony, ale – gorszy, jest, zdaniem miasteczka, „dziwakiem”, bo niczego się nie dorobił i żyje w nędznej izbie niejednokrotnie głodując. Co to za radość dla tych, którzy mogą go ośmieszać, bo czyniąc to, zajmują pozycję lepszego. A prawdopodobnie wywyższanie się ponad kogoś, z braku innych danych, potrzebne jest

niejednemu.

Nawiązywanie przyjaźni z ludźmi prostymi, niewykształconymi – choćby mieli dobre serce, prawe charaktery i wrażliwą duszę – dla wielu również jest niezrozumiałe i tchnie dziwactwem. Nie zdają sobie sprawy z odstręczającego często snobizmu, braku wrażliwości, z niskiego stopnia spontaniczności i serdeczności wśród warstw uznających się za wykształcone. Ale po co zdobywać się na wysiłek rozumienia innego człowieka, skoro łatwiej ochrzcić go dziwakiem? Nie trzeba – tak postępując – konfrontować swojej prawdy. Chroni to przed analizą własnego działania i potęguje samozadowolenie.

Wewnętrzne wygodnictwo i bierność, którą każdy powinien zwalczać w sobie, są, być może, nieświadomym podłożem pochopnego nazywania dziwakami tych, którzy odchylają się od średniej statystycznej. Dajmy im prawo obywatelstwa i odnośmy się do nich zwyczajnie. A wnikięcie w ich życie z pewnością będzie pouczające dla każdego i przyczyni się do poszerzenia własnych horyzontów, nie mówiąc o tym, że powstrzyma przed czynieniem krzywdy.

Poza tym, jesteśmy nieświadomi własnych możliwości. W każdym z nas drzemie coś nieujawnionego i nie można przewidzieć, czy sami – pod wpływem nowych okoliczności – nie zachowamy się kiedyś, jak ten, kogo dziś określamy dziwakiem.

XXIII. O PRYMAT CZŁOWIEKA SĘDZIWEGO

Bliskość i dalekość pokoleń to zagadnienie, które każda generacja podejmuje na nowo. Nikłość rezultatów płynie z niedostatku wyobraźni;

pokoleniu wchodzącemu w życie wydaje się zazwyczaj, że zawsze pozostanie młode. Świadczyłyby o takim nastawieniu obserwowane okrucieństwa, w najlepszym razie częste przejawy bezduszości wobec ludzi starych, a więc bezradnych. Trwa ono na wsi od wieków. Konflikt między koniecznością wywiązywania się z obowiązku pracy na ziemi a obowiązkiem opieki nad zniedołężniałymi członkami rodziny przeniósł się wraz z rozwojem uprzemysłowienia ze wsi do miast. Opisy chłopskich dzieci, wykształconych i wzbogaconych dzięki rodzicom, a następnie okrutnych wobec nich i wstydliwie ukrywających ich w swoich domach, są częstym i trwałym tematem naszej powojennej publicystyki.

Tadeusz Baird słusznie pisze, że dopóki żyją nasi rodzice, wydaje się, że między nami a śmiercią jest „mur, oni są naszą tarczą, za którą czujemy się, choć to tylko złudzenie, dalecy i bezpieczni. Gdy ich zabraknie, stajemy przed nią, jak u Bergmana, twarzą w twarz, nikt i nic już nas od niej nie dzieli, musimy nauczyć się żyć od nowa w jej niedostrzegalnej obecności”.

Przeciętna długość życia człowieka do niedawna wynosiła mniej niż siedemdziesiąt lat. W końcu XVII wieku, na przykład, w zachodniej Europie wiek powyżej pięćdziesięciu lat nie często był osiąganym. Obecnie średnia wieku znacznie się przedłużyła i rodziny czteropokoleniowe, dziś już spotykane, nie będą należeć do rzadkości.

Paradoks naszej kultury polega wszak na tym, że równoległe do przedłużania życia ludzkiego zaznacza się deprecjacja wieku, doświadczenia i mądrości. Nośnikiem ciągłości kulturowych w dawnych epokach były zwyczaje, legendy, epepeje, tańce i pieśni ludowe. Przekazywał tę tradycję c z ł o w i e k, a nie środki techniczne. Współcześnie człowiek stary stracił autorytet jako przekaźnik wartości kulturowych. Dawniej był on reprezentantem tradycji i wiedzy; dziś, niestety, zdobywa prestiż przystosowując się do młodej generacji. A właściwa

współczesnemu człowiekowi ruchliwość sprawia, że deprecjonuje on też wartość wrastania w krąg bliskich, w terytorium geograficzne, w świat określonych wartości kulturowych.

St. R. Dobrowolski, w udzielonym dla „Kobiety i Życia” wywiadzie podnosi smutną i bezsensowną sprawę niecenienia u nas żywych źródeł historii kultury. „Z «Kwadrygi», z dziewięciu osób, które były u jej narodzin, żyje nas już tylko dwóch: Włodzimierz Słobodnik i ja. Z zapowiedzi księgarskich dowiedziałem się ostatnio, iż Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydaje obszerną książkę, zapewne rozprawę doktorską pod tytułem «Kwadryga». Ale także sporządzoną tylko na podstawie źródeł pisanych”.

Odseparowanie w czasach nam współczesnych od świata przyrody, a w tym od naturalnego cyklu narodzin i przemijania sprawia, że tym trudniej godzimy się ze śmiercią. Uciekamy od myśli o niej i żyjemy w przeświadczeniu, że nas ominie. Nieuchronnie zjawiska biologiczne traktujemy jako nieludzkie, zwłaszcza że umiemy przewycięzać, a nawet pokonywać cykle rozwoju biologicznego własnego organizmu. Być może, lęk przed zjawiskiem śmierci, niechęć zetknięcia się z nią po to, by nie runął mit własnej nieśmiertelności, powoduje oddalenie pokoleń? A przecież pokolenia są sobie wzajemnie potrzebne.

W dążeniu do spojenia pokoleń Krystyna Kistowska sformułowała pomysł łączenia starców i dzieci w domach opieki. Jak wszystkie cenne ale nowatorskie idee, napotykała ona, niestety, na wiele przeszkód, zwłaszcza biurokratycznych.

Nie potrafimy korzystać z żywej tradycji. Jesteśmy barbarzyńcami. A przecież tradycja – ucieleśniona w ludziach sędziwych – jest zarazem spoiwem pokoleń. Jest sprawą niesłychanej wagi, ażeby kolejne pokolenia miały przekazywane jakieś minimum analogicznych informacji, a w tym, by zarówno wnukom, jak i pradziadkom znane były te same podstawowe

pozycje literackie. Stwarza to klimat porozumienia, wytwarza wspólny sposób pojmowania, a co ważniejsze, takie same wzory do naśladowania dla różnych pokoleń.

Starość wywołuje u niektórych chęć ucieczki, odwrócenia się od jej nosiciela. Jest to egoistyczna postawa, która chce umocnić się w swoich pozorach.

Z zagadnieniem relacji pokoleń wiąże się troska o prawidłowe wychowanie dzieci, o ich stosunek do starych rodziców w przyszłości. Wstrząsający jest obraz ludzi, którzy odnajdują swoje miejsce i wybawienie w domach starców.

W oczach Persów i innych przybyszów ze Wschodu kultura europejska jest zatrwająco niska. Pogardę ich budzi zwłaszcza stosunek do ludzi starych: oddawanie w Europie rodziców do przytułku i brak uwagi i pokory w obcowaniu ze starszymi. I mają rację. Odrzucając bowiem na moment inne względy, trzeba zdawać sobie sprawę, że stosunek do ludzi sędziwych, to zarazem stosunek do tradycji, której są oni nosicielami oraz do siebie samego w przyszłości.

Nawet w środowiskach inteligenckich po wojnie z dziecka uczyniono punkt zainteresowania całej rodziny. To zainteresowanie, a tym samym, zamiast wychowywania – rozpieszczanie, wywołuje postawy żądania, co prowadzi za sobą brak szacunku najpierw dla rodziców, przy których nie czuje się żadnego respektu, a później przenosi się na resztę społeczeństwa. Młody człowiek w rezultacie tylko wymaga, nie zamierzając nic dawać w zamian. Nie wie, że tak być nie powinno. Od najmłodszych czasów, od uzyskania świadomości i szczątkowych choćby jeszcze zdolności obserwacyjnych, małe dziecko widzi, na przykład, że w rodzinie babcia pełni rolę – nie zawsze mamy, częściej służącej – kobiety do wszystkiego i zamiast kształtować w sobie od początku szacunek dla ludzi starszych, dziecko traktuje ich jako środek do ułatwienia życia. Wnuczek na

początku wykorzystuje instrumentalnie babcię, potem kolegów, później całe otoczenie, ba, społeczeństwo.

Jesteśmy świadomi wielu niepokojących zjawisk, które, zdawałoby się – skoro niemal wszyscy są im przeciwni – można by z naszej planety usunąć. A jednak zjawiska te uparcie towarzyszą ludzkości. Podobnie z obojętnością i okrucieństwem wobec ludzi starych. Może nadszedł czas, by wprowadzić zmiany radykalne w ich położeniu. Zagadnienie to dotyczy wszak zarazem każdego z nas. Clifford W. Beeres, publikując w 1908 roku książkę *Umysł który sam siebie odnalazł*, zapoczątkował dopiero w naszym stuleciu ruch higieny psychicznej, który spowodował radykalne zmiany w podejściu do chorych psychicznie, jak również do zdrowych, lecz cierpiących na nerwice i psychonerwice. Wykazał, że te kategorie osób są szczególnie wartościowe i twórcze. Może więc pora nadeszła, ażeby teraz, z kolei, przewartościować nasz stosunek do ludzi sędziwych i dać temu wyraz?

Dlaczego pokoleniu, które wschodzi, wydaje się, że nie przyniesie mu korzyści czerpanie z wiedzy starszego pokolenia? Wprawdzie własnymi doświadczeniami nie można nikogo ochronić przed dokonaniem analogicznych błędów, ale wiele można się nauczyć, słuchając doświadczeń czyjśgo życia. Znałam dziecko dziewięcioletnie, które począwszy od czasów przedszkolnych unikało kontaktu z dziećmi, wybierając niezmiennie towarzystwo dorosłych. Słuchało. Niezwykłe koleje losu owego dziecka i przyspieszone dojrzewanie talentu ma swoje źródło w tej tak rzadko spotykanej postawie.

W naszej kulturze europejskiej dziecko wysuwa się na plan pierwszy w życiu rodzinnym i społecznym, ugruntowując w ten sposób egoizm i obojętność wobec starszych. Nawet taki tylko objaw, jak siedzące w tramwaju dzieci i stojące obok matka czy babcia, wytwarza postawy i przyzwyczajenia o znaczeniu ogólnym, wypaczając od zarania hierarchie

dzieci i dorosłych. Nasza epoka koncentruje ze znaczną siłą uwagę na dziecku, stawiając je w centrum wysiłków dorosłych. Jeśli już więc musimy stawiać kogoś na pierwszym planie, to proponuję, ażeby byli to ludzie sędziwi. Im – po przebytych trudach życia – więcej się należy niż tym, którzy dopiero w nie wchodzą z nie uszczuploną energią.

Ludzie starsi są przywiązani do życia, ponieważ potrafią docenić sam fakt istnienia. Dziecko nie wie jeszcze, jak bezgraniczną radością jest życie. Zastanawiam się nieraz, słuchając rozlicznych głosów w obronie dzieci nie narodzonych, czy ta wielka akcja i energia, tak ukierunkowana, nie powinna by co najmniej zrównoważona inną – równie intensywną – na rzecz stworzenia ludzkich warunków i właściwej atmosfery dla jeszcze żywych, ale – we wszystkich znaczeniach tego słowa – opuszczonych ludzi sędziwych? A można być opuszczonym nawet na łonie najbliższej rodziny.

Jakże nieskończenie bardziej humanitarny wydaje się, na przykład, wiek XIV ze szpitalami, w których każdy chory miał separatkę. Widziałam taki szpital w Lubece. Teraz nawet, by nie przeszkadzać dzieciom, umierać trzeba publicznie, w ogólnych salach szpitalnych, w obecności obcych, obojętnych ludzi. – Co się stało z majestatem śmierci? Dlaczego bliskich kresu życia pospiesznie oddaje się do szpitala, by tylko nie zakłócili spokoju rodzinie, umierając na swoim. A wymówek, pozornych usprawiedliwień, jest wiele – łącznie z błędami rozwiązań architektonicznych, pomijających rozmiary trumien.

Przeszłość, czyli czas teraźniejszy minionych pokoleń, żyje w nas dwójako. Czasami wprost, w formie, na przykład, wiersza – jak Bułgarki Dory Gabe, opublikowanego przed dwoma, bodajże, laty w „Literaturze”. O mężu jej pisała wiele i szczerze w *Dzienniku* Maria Kasprowiczowa. Wzrusza, gdy przeszłość powraca teraźniejszością.

Tkwią w nas pewne obyczaje prapraojców, jakkolwiek w

uszlachetnionej postaci. Rozważmy to na przykładzie uznanym za drażliwy. W 1972 roku samolot lecący nad Andami uległ katastrofie. Kilkunastu pasażerów ocalało. Utrzymali się przy życiu tylko dzięki temu, że żywili się ciałami zabitych towarzyszy podróży. Otóż żyją oni obecnie pod brzemieniem tego zdarzenia. Sprawa jest głośna. Nakręcony został film fabularny o tamtych dniach w Andach. Opinia publiczna wywiera ciśnienie, które nie najlepiej odbija się na ich psychice i kolejach życia. Tymczasem historie religii, to zarazem historie składania ofiar z ludzi. W niektórych z nich spożywa się ciało – naturalnie, w symbolicznej formie. A więc pewne tradycje są przekazywane z pokolenia na pokolenie, i nic w tej roli ciągłości nie wyręczy człowieka. Nawet najbardziej rozwinięte środki techniczne.

Potrzebne są wspólne ideały, łączące ze sobą pokolenia w obrębie narodu. Taką rolę pełni niewątpliwie patriotyzm, zwłaszcza w chwilach zagrożenia niepodległości. Właśnie sytuacje krańcowe, w które popadamy jako naród, pozwalają się na tyle mocno scementować pokoleniom, że ich konflikty stają się kategorią nieprzystającą do rzeczywistości. Ale na jak długo?

Pokolenia, wzajemnie odchodząc daleko od siebie, wytwarzają w społeczeństwie podziały. W rezultacie okazuje się, że silniejsze więzy mogą wytwarzać się między przedstawicielami różnych narodów, reprezentujących to samo pokolenie. Różnice narodowościowe i rasowe nie stanowią przeszkody w porozumieniu, i ma rację amerykański socjolog, Mills, pisząc o międzynarodowej elicie intelektualnej jako silnej wspólnotcie. Tyle, że pewne nasze polskie sprawy są nieprzekazywalne, a m. in. wciąż świeża obecność wydarzeń ostatniej wojny w naszej teraźniejszości.

Człowiek nie jest funkcją wieku biologicznego i nie jest też zdeterminowany przez wykonywaną pracę. Natomiast czyta się

nieustannie o wieku przed-, poi produkcyjnym, i stosownie do tego wartościuje jednostki. Takie podejście staje się jednym ze źródeł konfliktu pokoleń. To można wyeliminować. Ale są konflikty nie do uniknięcia. Wywołuje je nie różnica wieku, lecz różnica poziomów i płaszczyzn rozwoju jednostek i grup społecznych.

XXIV. O EMANCYPACJĘ MĘŻCZYZN

Każdy z nas w szkole uczył się literatury polskiej epoki pozytywizmu i w wielu utworach musiał odczytywać idee emancypacji. Choćby w *Marcie Orzeszkowej* – powieści szeroko wyrażającej tendencje kobiet tamtej epoki. Kiedy idee równouprawnienia zaczęły stawać się rzeczywistością, w niektórych krajach zwlekano z przyznaniem praw politycznych kobiecie. Ale w końcu i ta bariera została w XX wieku przełamana.

W naszych czasach, przyzwyczajeni już do obecności kobiet we wszystkich dziedzinach, z polityczną włącznie, nie zdajmy sobie w pełni sprawy, że jest to rezultat gwałtownych przemian. Partnerski udział w życiu publicznym, zawodowym, szkolnym, towarzyskim, rodzinnym pozostawał dla kobiet w Europie jeszcze przed I wojną światową w sferze fantazji i ewentualnych marzeń. Nie tylko kobieta-traktorzysta czy kobieta-kosmonauta jest pojęciem rewolucyjnym, ale również kobieta jako współpartner w rodzinie, decydujący o wszystkim, a więc nieraz faktycznie głowa domu.

Mężczyzna stracił obszary, które niegdyś były w jego wyłącznym władaniu. Jego wyłączność utrzymała się jedynie w kościele. Od powstania chrześcijaństwa funkcje kapłańskie są zastrzeżone wyłącznie dla jednej płci. Kobiety mogą pomagać, ale nie wolno im przejmować funkcji w zastępstwie i w imieniu Chrystusa. Pewne wyłomy przyniósł

ruch mariawitów oraz sakralny ruch emancypacyjny w kościele protestanckim. Wyświęcenie w latach sześćdziesiątych kilku kobiet na pastorów w Szwecji wzbudziło jednakże wiele protestów.

Kobiety nie są dopuszczane do najwyższych funkcji liturgicznych, w związku z czym w środowisku duchownych przeważającej ilości wyznań nadal do mężczyzn należy rola kierownicza. Stanowią więc swoisty krąg ludzi o tyle, że są pozbawieni lęku przed zachwianiem swojej wyjątkowej pozycji. Do dziś wśród księży dominuje przekonanie o tym, że idee twórcze oraz twórcze inicjatywy są domeną mężczyzn, zaś dzieci i sprawy zaspokajania drobnych potrzeb dnia codziennego – domeną kobiet.

Wzmocnione poczucie wyższego miejsca w hierarchii społecznej przynosi zadowolenie i poczucie pewnej wyjątkowości. Każdy czyni to, co do niego należy, zgodnie z tak odczytanym przeznaczeniem. Spełnione podniesienie roli kobiety do znaczenia, które pełni mężczyzna, odbiera mu pozycję wyjątkową.

W życiu rodzinnym, zawodowym, towarzyskim mężczyzna spotyka partnerki współzawodniczące z nim i konkurujące z nie mniejszą niż mężczyźni zaciekłością. Coraz trudniej mężczyznom o aprobatę, którą nasi dziadkowie i pradiadkowie z łatwością odnajdywali w swych rodzinnych domach. Tymczasem obecnie zamiast oczekiwanej atmosfery aprobaty, posłuszeństwa, szacunku i podziwu oraz zainteresowania – atmosfery niezbędnie potrzebnej każdemu dla harmonijnego rozwoju – mężczyzna odnajduje w swym domu żonę-rywalkę. Nie ma mowy o aprobacie, szacunku czy zdjęciu uciążliwych banalnych ciężarów powszednich z mężczyzny. Żona obecnie to konkurent często w dziedzinie zawodowej; współzawodniczy w poziomie wykształcenia i znaczenia poza domem i jest zajęta na tyle sprawami swego fachu oraz rozwiązywaniem kłopotliwych spraw gospodarczo-domowych, że nie można oczekiwać od niej ani empatii, ani chęci zrozumienia dla problemów ogólniejszych,

którymi żyje mężczyzna. Żona ocenia najczęściej tego, kto był w dawnych wiekach głową rodziny w kategoriach źle obranych jarzyn bądź niechęci do wystawiania w kolejkach.

Twierdzi się nieraz, że rozwiązaniem złego samopoczucia psychicznego mężczyzn – strąconych z piedestału przez procesy emancypacyjne kobiet – byłoby inne niż dotąd wychowanie chłopców i dziewcząt. Wątpię jednakże, by najbardziej światłe metody wychowawcze mogły wyrugować potrzebę pewnej dominacji męskiej. Przecenia się znaczenie pedagogizacji, zapominając o właściwościach płci tkwiących w naszej naturze. To różnica płci, uwarunkowania organiczno-fizjologiczne – a co za tym idzie również psychiczne – sprawiają, że kobieta jest spragniona choćby iluzorycznej opieki, zaś mężczyzna – dominacji. Tymczasem brak zarówno opieki, jak i dominacji.

Czyż nie pora więc rozpocząć starania o emancypację mężczyzn, o uznanie ich odrębności psychicznych nie tylko w sposób werbalny? Skoro nie jest przypadkiem, że na przykład, *gros* pielęgniarek jest płci żeńskiej, to dlaczego nie miałyby kobiety w domach rodzinnych wrócić, w nowoczesnej formie, do patriarchalnego typu rodziny?

Biologiczne różnice nawet przy tożsamości wzorów i metod wychowawczych determinują odmienną kobiecego i męskiego przeżywania rzeczywistości. Wszelkie przełamywania dawnych norm obyczajowych – paradoksalnie – odmienną tę jeszcze mocniej ujawnia. I ostrze uderza przede wszystkim w kobietę, bowiem cała jej struktura psychiczna otwarta jest na sprawę miłości. Zaznacza się to nawet i wówczas, gdy kobieta pełni funkcje tradycyjnie uznawane za męskie.

Właśnie, błąd i nieporozumienie polega na utożsamianiu człowieka z wykonywaną przez niego funkcją. Widząc więc kobiety działające na równi z mężczyznami popełnia się uproszczenia, sądząc, że „sprawa kobieca” znalazła wreszcie rozwiązanie.

Kobieta stała się w XX wieku konkurentem, nie zaś partnerem mężczyzny. Kobiety przyjmują na ogół z pokorą to, że nie mogą służyć do mszy. Ale w życiu codziennym, współzawodnicząc z mężczyznami, buntują się, gdy są traktowane jako „płeć słabsza”. Organiczno-fizjologiczne różnice wytwarzają odmienne zainteresowania i powołania życiowe. Te zagadnienia w imię dobra obu płci powinien podjąć ruch emancypacji mężczyzn. Ruch, który by domagał się partnerstwa, nie zaś konkurencji kobiet. Ruch, który by gasił narosłe antagonizmy, wyrażające się w życiu codziennym w postaci wzajemnych utyskiwań.

Walka o emancypację mężczyzn powinna objąć również sferę erotyzmu, w której kobiety wyzwolone z przesądów postępują niejednokrotnie w sposób zbyt męski. Warto przemyśleć powiedziane przed kilkudziesięciu laty słowa Konińskiego: „... tam, gdzie kobieta jest rozwydrzona, tam mężczyzna nie jest w stanie wydać ze siebie swego *optimum* energii twórczej. Gnicie społeczne zaczyna się lub się objawia przede wszystkim w buncie kobiet – przeciwko wstydlivości narzuconej im przez twarde sugestie świata męskiego, pracującego, walczącego, myślącego, pragnącego mocnymi bulwarami obyczaju *seksus* zdyscyplinować, po to, aby nie być przez kobietę zawsze i na każdym kroku niepokojonym i prowokowanym, by móc dla swoich męskich celów energię i czas zaszanować” (*Ex labyrintho*).

Kobiety stają się męskie, mężczyźni niewieściami i wzajemnie nie znajdują w sobie poszukiwanych wartości. Trzeba więc wiązać nadzieję z proponowaną tu emancypacją.

J. Jacobi w książce *Zamaskowanie* kreśli potworny obraz „kobietona”, kobiety odgrywającej męską rolę w polityce, przemyśle czy nauce, a zarazem pełniącej wielorakie obowiązki w domu i do tego wiedzącej wszystko lepiej. Jest to istota, która „... wszystko umie, może i potrafi, która przejmuje rolę ojca i matki naraz; miejsce męża jest już tylko

w pracy lub u innej zwyczajnej kobiety, u której może odpocząć i nie być w nieustannym napięciu, by przystosować się do wyśrubowanych możliwości i takich samych oczekiwań”, (tłum. Cz. Tarnogórski).

Ruch emancypacyjny mężczyzn powinien domagać się zrozumienia ze strony kobiet. Mężczyzna nie poszukuje kobiety-dyrektora czy profesora, lecz serdecznego przyjaciela, umiejącego milczeć, słuchać i przyznawać się do swojej niewiedzy. Kobieta – trzeba przyznawać rację Jacobi – jest „...wprawdzie równa mężczyźnie i ma do spełnienia równorzędne zadania, ale wszystko to powinna starannie ukrywać, a może nawet grać rolę bardziej kobiecą”. Po to, by to uświadomić, niezbędny wydaje się ruch emancypacji mężczyzn, wrywający się spod władzy „kobietonów”.

XXV. ZDZIWIENIE

Zdziwienie światem stało się zarzewiem powstania filozofii. Pytanie „dlaczego?” powołało do życia wiedzę naukową, ponieważ drążyło rzeczywistość, domagając się jej wyjaśnienia. Zdziwienie – a więc świeże, pozbawione rutyny spojrzenie na to, co nas otacza.

Przyjmowanie świata i ludzi w nim w sposób, jakby widziało się po raz pierwszy, powoduje wzmoczenie naszych doznań. Dostrzegamy wówczas nowe właściwości. Nauczyć się przyjmować to, co znane, tak, jakbyśmy mieli dopiero rozszyfrować tajemnicę nieznanego – oto nasz cel. Cel prowadzący do pogłębionego poznania. Nie przyzwyczajając się, lecz w tym, co znane, odnajdywać nowe – oto droga wzbogacająca codzienność.

Trudno się samemu uczyć tej sztuki. Pomocą dla tych zwłaszcza, którzy nie mają rozbudowanej wyobraźni, mogą być niektóre prądy artystyczne. Zresztą, rozpatrywane z tego punktu widzenia, nie straciły nic na znaczeniu. W malarstwie surrealistycznym odnajdujemy sakralizację

przedmiotów codziennego użytku. Marcel Duchamp, Salvador Dali, Max Ernst nadali im nowe znaczenie. Zmuszają do tego, by nauczyć się na nowo patrzeć, bowiem wyrrywają przedmioty z kontekstu ustalonych znaczeń. Tę samą rolę pełnią, na przykład, filmy Bunuela, a zwłaszcza wyświetlane u nas *Widmo wolności*, w którym jako sprawa wstydliva zostało przedstawione zaspokajanie głodu, a pornografią okazują się fotografie dzieł architektonicznych.

Również, na przykład, dadaizm walczył o dziecięcy stosunek do świata, pełen ciekawości dla tego, co zastane.

Dorośli powinni brać wzór z dzieci, które się wszystkim dziwią. Artyści są też do tego zdolni i zdziwienie odgrywa rolę inspiracji w twórczości. Przytoczę tu wiersz Jana Stępnia, w całości związany z omawianym problemem:

*Gdy dziecko się dziwi
słońcem lub lalką
przechodzimy obojętni
Gdy starzec się dziwi
deszczem lub kwiatem
przystajemy zaskoczeni
A przecież dotąd żyjemy
dopóty się dziwimy.*

Bywają też niedobre zdziwienia, to znaczy przynoszące rozczarowania. Zdziwienie, do czego są zdolni ci, którym ufamy. Zdziwienie, że wciąż jeszcze nazywa się ludźmi tych, którzy w braku lojalności i uczciwości pozostają niżej od świata zwierzęcego, gdzie głód jedynie każe się wzajemnie pożerać.

Zdziwienie sobą, tkwiącymi w nas możliwościami może wzniecać

wiarę w siebie. Natomiast trzeba się starać pozbyć świadomości własnej dziwności, która zresztą często polega na pozytywnej nietypowości, na oryginalności spojrzenia i reakcji. Pielęgnowanie poczucia swej nietypowości może doprowadzić do postaw narcystycznych.

Nowe, nieznanne dawniej talenty odkrywa się w różnym czasie. Jednym z wyzwających bodźców mogą być przeżycia opuszczenia i osamotnienia. Również zagrożenie życia wyzwala z nas siły, których byśmy nawet w sobie nie podejrzewali. Wtedy pozostaje już na całe życie to dawne zdziwienie swoimi możliwościami wytrwania i przetrwania. Staje się ono tak dalece szkołą charakteru, że śmieszne wydają się orzeczenia innych, iż nie są w stanie czemuś podołać.

Przyzwyczajeni do tego, co typowe, często i łatwo wpadamy w stan zdziwienia z innego powodu. Mianowicie, gdy ktoś odstępuje od powszechnie utartych reguł i wartości. Na przykład, rezygnuje przedwcześnie z kariery sportowej czy artystycznej, jak Greta Garbo, lub odrzuca dobrze płatną pracę na rzecz innej, która ledwo pozwala się utrzymać, lecz przynosi satysfakcję. Ale nauki wymaga zdolność zdziwienia zarówno codziennymi sprzętami, jak i ludźmi, z którymi od wielu lat dzielimy wspólne życie.

Niepokojącym objawem jest niezdolność do zdziwienia. Znamionuje to brak wrażliwości i ciekawości, postawę wyrażaną nieraz słowami: „wszystko wiem”. To jest znamię starości, i to niezależnie od ilości lat. Wszystko wprawdzie powtarza się, powraca, przemija; to, co przedwczorajsze, staje się kanwą dnia dzisiejszego. Ale trzeba umieć korzystać z tego, co minęło. Zapominać wiele z przeszłości po to, by odsuwać doznane urazy i na nowo, bez uprzedzeń, przeżywać stany doznań, uczuć, jakby zdarzały się po raz pierwszy.

Należy pożądać tego, co przeszkadzają nam dojrzeć nawyki i osady doświadczeń. Spod tej narosłej warstwy trzeba się wydobyć. Malarstwo

i poezja pomagają w tym, ażeby wyjść poza sens nadawany rzeczom i ludziom przez nasze doświadczenia życiowe. Stąd poezja budzi nieraz uczucie zdziwienia i w następstwie zdziwienia – uczy. Nasz codzienny sposób życia i tzw. zdrowy rozsądek zniewalają nas, skierowując w koleiny użyteczności. I dobrze, gdy sztuka wprawia w zakłopotanie i budzi nieufność do tego, co zwykliśmy uważać za naturalne, powszechnie obowiązujące i oczywiste.

Poezja czy sztuka – weźmy twórczość Magritte’a – podważa przyzwyczajenia i ustalone stosunki między rzeczami a słowami. Wspomniany tu malarz stosował antynomie semantyczne między tym, co namalował a podpisem obrazu. W *Kluczu do snów* z 1930 roku przedmioty namalowane, z którymi mamy do czynienia na co dzień, określa nazwami innych rzeczy. Na przykład, pod pantoflem widnieje napis: księżyc. Ujawnia w ten sposób umowność, na której opiera się nasza znajomość świata i zaskakuje tym, co już wydaje się poznane.

Zaskoczenie, niespodzianka odgrywają szczególną rolę w umiejętności zdziwienia. Zresztą można przyjąć, że śmiech, w ogóle, komizm, powstaje właśnie wtedy, gdy się dziwimy, gdy zawodzi oczekiwanie pewnej doniosłości; gdy powstaje nagle zdziwienie wobec niewspółmierności oczekiwań i faktów. A więc, jak zauważył Kant w *Krytyce władzy sądenia*, gdy napięte oczekiwanie przemienia się nagle w niwecz. „Humor w dobrym tego słowa znaczeniu – pisał – oznacza mianowicie talent, dający możliwość umyślnego wprawiania się w pewną dyspozycję umysłu, w której o wszystkich rzeczach wydaje się sąd zupełnie inny (a nawet przeciwny) niż zwykle, a przecież zgodnie z pewnymi obowiązującymi w takim nastroju umysłu zasadami rozumowymi”.

Zdziwienie nie jest właściwością przedmiotu. Nie ma też charakteru subiektywnego, to znaczy nie jest wytworem właściwości podmiotowych. Należałoby uznać zdziwienie jako relację zachodzącą między doznającym

i przeżywającym podmiotem a poznawanym przedmiotem, jako swoistą reakcją jednostki na to, z czym styka się w świecie.

XXVI. KSZTAŁTOWANIE INTELEKTU

Rozważając dwie sfery twórczości człowieka – artystyczną i naukową – należy stwierdzić, że artystyczna w większym stopniu spełnia u nas obecnie postulat pluralizmu niż naukowa. W dziedzinie sztuki zaznaczają się różne kierunki, podobnie jak i, na przykład, w teatrze, by wymienić nazwiska twórców miary Grotowskiego, Kantora czy Szajny. Przy czym te wyraziste indywidualności twórców grupują wokół siebie adeptów, tworząc własne szkoły artystyczne. Znajdują również oddźwięk w świecie. Przejawianie się rozmaitych szkół jest również wyraźne w literaturze. Pisarz o wybitnej indywidualności wywołuje w innych chęć naśladowstwa. Mamy – by wymienić tytułem przykładu – wielu poetów Wojczaków, czy prozaików upodobniających się do Hłaski.

Indywidualności są niezbędne, jeżeli ma następować rozwój kultury. Niewystarczająco zaznaczają one dziś swoją obecność w dziedzinie twórczości naukowej. Pociąga to za sobą zmierzch szkół. Czy jest tak dlatego, że wiele dziedzin twórczości artystycznej, jak poezja czy literatura, nie wymaga specjalistycznej edukacji przynajmniej w zakresie swego rodzaju tworzenia? Zaś twórczość naukowa czy to w dziedzinie nauk przyrodniczych, czy humanistycznych wymaga przejścia przez odpowiednio kształcące studia i one, być może, nienależycie pielęgnują zaznaczające się indywidualności? Lub nawet utrudniają ich rozkwit?

Niski stopień przygotowania nauczycieli (w tym akademickich), do zawodu, przypadkowy dobór osób wykonujących go, traktowanie tej pracy w sposób pozbawiony poczucia pełnionej misji, jaką jest

wychowywanie i nauczanie – oto niektóre przyczyny błędów edukacji. Błędów dających w wyniku indywidualności niewykrystalizowane. Nie sprawdza się uzdolnień, lecz wiadomości. Nauczającym brakuje często wiedzy oraz intuicji psychologicznej.

Wybitny uczony reprezentuje nie tylko talent, ale również i wyraziście ukształtowaną osobowość. Tymczasem system nauczania jest zbiurokratyzowany i nastawiony na kształtowanie umysłu; rozwój wewnętrzny jest pozostawiony dobrej woli jednostek. Nie rozbudza się należycie potrzeby dążenia do wartości wyższych. Idea wartości materialnych, jako cel dążeń, zatacza coraz szersze kręgi. Wszechstronny rozwój człowieka, jego podstawowych indywidualnych właściwości, odsuwa się na plan dalszy, na rzecz osiągnięcia standardu życiowego.

Błąd w edukacji polega też na tym, że ceni się to, co jest ujęte w ramy pewnych formuł naukowych. Szerzone są hasła, skłaniające do kształtowania intelektu. Służą temu szkoły, kursy doskonalące, wyższe studia, które są dla wielu rodzajem nobilitacji. Ten kult wiedzy naukowej, nieraz wykrzywiony, bo często jedynie o zdobyciu dyplomu tu chodzi, prowadzi do zapomnienia o potrzebie kształtowania charakteru, a w tym o potrzebie kształtowania emocjonalnych reakcji na świat i ciągłego uszlachetniania naszej uczuciowości. Tak więc mamy do czynienia z narastającą ilością niepełnych osobowości i niedoszłych talentów.

Presja układów niszczy niejednokrotnie mniej odporne psychicznie jednostki. Znane są przykłady twórców różnych dziedzin: technicznej, artystycznej, naukowej, którzy dopiero poza granicami kraju znaleźli możliwości dla swego talentu, z dala od zazdrosnych, dobrze powiązanych, z dala od recenzujących tak, aby zniszczyć. Z filozofów wystarczy wymienić tu Jerzego Brauna. Współtworzone i reprezentowane przez niego środowisko polskich mesjanistów po 1945 roku prowadzi w znacznym stopniu utajone życie naukowe, nie mogąc zainteresować

wydawców w Polsce. I w ten sposób jedna ze znaczących dla narodowej kultury szkół naukowych w filozofii pozostaje zauważalna dla znikomego grona wtajemniczonych i zubożona staje się mapa polskiego pluralizmu.

Jakie są jeszcze przyczyny obserwowanego kryzysu szkół naukowych? Sama struktura szkolnictwa wyższego, likwidacja katedr doprowadziły do stanu, w którym zanikło poczucie odpowiedzialności profesorów za kształcenie swoich następców. Związki między asystentami czy adiunktami z jednej strony a profesorami rozluźniły się. Odpowiedzialność staje się anonimowa. Młodszy pracownicy naukowcy, pozbawieni rozmaitych form opieki, sami zabiegają o swoje sprawy. Studia doktoranckie przekształciły okres samodzielnego dojrzewania naukowego w ciąg dalszy biernego statusu ucznia. A doświadczenie wskazuje, że zbyt długie „prowadzenie za rękę” szkodzi.

Ktoś dziś odważy się publicznie mówić o tym, że poszukuje prawdy? Kryzys wiary w wartości wyższe, kryzys wzorów osobowościowych sprawiają, że powszechne staje się dążenie do kariery pojmowanej różnie, choćby w formie dobrej posady. A z tym trudno jest pogodzić indywidualizm na jakimś polu badań. Dążenie do kariery podszeptuje raczej ostrożność. Stąd w tak wielu pracach humanistów po wojnie brak wyrażenia własnego stanowiska. Są one często kompilacją obcych poglądów, są „pisane nożyczkami”, to znaczy złożone z cytatów pism wielu innych autorów. Ma się tak rzekomo wyrażać troska o obiektywizm naukowy, a w rzeczywistości jest to trwożliwe utajanie własnych poglądów lub braku tych poglądów.

W okresie między dwiema wojnami, jeżeli powołać jako przykład filozofię, ścierały się m. in. szkoły: Lutosławskiego, Twardowskiego, Wrońskistów, szkoła intuicjonizmu spirytualistycznego, neotomizmu, neokantyzmu, psychologizmu, teozoficzna. Porównując życie filozoficzne w Polsce przed- powojennej, Tadeusz Czeżowski w jednej z rozmów ze

mną stwierdził: „Zanikają niestety dyskusje filozoficzne, które nazwałbym kameralnymi, na zebraniach towarzystwa filozoficznego, w kołach koleżeńskich, jakie były żywe za czasów mojej młodości: nie wymagały one przygotowania organizacyjnego, lecz rodziły się same z przeżywania problemów, którymi się zajmowano: dziś niestety nie ma na to czasu, pośpiech panuje powszechnie. Dyskusji organizowanych chyba nie brak, toczą się na konferencjach i zjazdach oraz w czasopismach: nieraz mają charakter pokazowy, należy sobie życzyć, aby zawsze były rzeczowe i pozytywne poznawczo. Dyskusje między przedstawicielami różnych stanowisk filozoficznych, pozytywne dla wyjaśnienia sobie wzajemnych różnic i możliwości zbliżenia, są trudne i często mało owocne, zwłaszcza jeżeli przeradzają się w spory. Uważam za bardziej cenne poznawczo dyskusje, które nazwałem kameralnymi i które toczą się nie między stanowiskami, lecz dotyczą szczegółowych problemów zmierzając do ich rozwiązywania” („Życie i myśl” nr 11/12).

Niepodległość w 1918 roku dała możliwości rozwoju filozofii polskiej i swobodnego zaznaczenia się w niej szkół dzięki wcześniejszym przygotowaniom przez działalność ośrodków filozoficznych w czasach niewoli.

W pierwszych latach po II wojnie światowej mocno zaznaczały się ślady dawnych szkół i ich mistrzów. Indywidualności, ukształtowane wcześniej, trwały nadal w niesprzyjających warunkach czasów powojennych. Wielu wybitnych twórców – jak na przykład Lutosławski – po drugiej wojnie nie publikowało swoich dzieł. Ich szkoły po wojnie nie przyciągały adeptów – choć było ich wielu przed wojną – bowiem uczeń szuka zazwyczaj takiego mistrza, który nie tylko przyczyni się do jego rozwoju, ale i przyniesie realną pomoc w życiu i w karierze uniwersyteckiej.

Zdaję sobie sprawę z tego, że zagadnienie przyczyn kryzysu szkół

naukowych u nas po ostatniej wojnie może być wyjaśnione w jeszcze inny sposób, niż tu zarysowany. Moje ukazanie powodów owego zmierzchu czy kryzysu nie jest wyczerpujące chociażby dlatego, że jest spojrzeniem subiektywnym. Mimo tendencji do obiektywizmu w naukach, niepodobna uchronić się od widzenia problemów przez pryzmat własnej osobowości. Albowiem tylko twórczość koniunkturalna, pisana na zamówienie, wyzbywa się elementów podmiotowych.

W procesie dydaktycznym występuje psychiczne zetknięcie wykładowcy z grupą i zazwyczaj – gdy mowa o dydaktyce – ta właśnie relacja staje się przedmiotem dociekań. Jednak przy rozpatrywaniu określonego problemu nie można pominąć indywidualnego oddziaływania wykładowcy na konkretne jednostki wchodzące w skład grupy. Relacja ta jest zawsze zwrotna.

Powyższe stwierdzenie jest konkretyzacją reguły, że każdy z nas oddziałuje na innego człowieka i także oddziaływanie odbiera. Każdy z nas w stosunku do innego człowieka pełni rolę katalizatora; wzmagając pewne odczucia, inny człowiek ujawnia w nas samych pokłady psychiczne, z których nie zdawaliśmy sobie – dostatecznie jasno bądź w ogóle – sprawy.

Relacja wykładowca-student należy do szczególnych rodzajów stosunków międzyludzkich. Truizmem jest przypomnienie, że celem tych kontaktów jest rozwijanie sfery intelektualnej, poznawczej (wyłączam tu swoistość nauczania w szkołach artystycznych). Ale w tym procesie kształtowania intelektu istotną rolę odgrywa kontakt pozasłowny, również o znaczeniu dwustronnym. Ten kontakt nauczającego z nauczonym zawierać powinien coś z artyzmu, ze sztuki, o ile oddziaływanie nauczającego ma być skuteczne. Sala słuchaczy to w pewnym sensie widownia teatralna, wobec której za każdym razem – chociaż co roku powtarza się, formalnie rzecz biorąc, to samo – trzeba w nowy sposób, z

nieodmienną dozą entuzjazmu objaśniać takie same problemy. Nauczyciel bywa zapewne w trudniejszej sytuacji niż aktor, który na ogół wypowiada treści elektryzujące słuchaczy. Jak z ogniem przekazać dziesiąty czy dwudziesty raz wiedzę o prawie ciężenia? Fałsz wewnętrzny słuchaczy wyłapują bezbłędnie. Trzeba więc samemu umieć czuć się zaskoczonym tymi z pozoru dobrze już znanymi treściami. Jestem przekonana, że dydaktyce – uprawiający ją – zawdzięcza coraz głębsze rozumienie treści pozornie już dobrze poznanych. Analogicznie twierdził Antoni Kępiński, pisząc, że w gruncie rzeczy nie wiadomo, kto większe wnioski z korzyści ze wzajemnej relacji: psychiatra czy jego pacjent.

Władysław Witwicki w opublikowanym w 1915 roku artykule *Artyzm a nauczanie* pisze: „Zdawać by się mogło na pierwszy rzut oka, że to dwa światy różne. Cóż ma bowiem wspólnego siewca prawd wiecznych, prostujący ścieżki umysłu i serca, z tym, który bawi zmysły i gra na wyobraźni ludzkiej, stwarzając kłamstwem pięknym sny na jawie? Artysta to dla przeciętnego człowieka typ na nie widziane już ciekawy: profesor to figura już z góry, już na nie widziane raczej szanowana niżli zajmująca. A jednak czynność nauczania i twórczość artystyczna mają tak wiele cech wspólnych, że kto nie ma szczypty artyzmu w sobie, ten nigdy nauczycielem być nie potrafi”.

W procesie dydaktycznym zachodzi nie tylko wzmożone uświadamianie sobie tej wiedzy, którą zamierza się przekazać słuchaczom, ale szerzej – wzmagają się wiedza każdego z wykładowców o sobie samym. Nic to, zresztą, dziwnego, bowiem nie przez kontemplowanie własnych stanów psychicznych, lecz przez czynne działanie, przekształcanie świata i siebie w tym świecie prowadzi droga do odpowiedzi na pytanie, jacy właściwie jesteśmy.

Nikt z nas nie jest zdolny do poznawania „czysto” racjonalnego, bez ustosunkowania się emocjonalnego, choćby najgłębiej skrywanego „ku”

lub „od”; ani też rzeczywistości nie da się ująć bez reszty w racjonalne formuły. Jeśli chodzi o zespolony z dydaktyką problem poznawania człowieka, to trzeba wziąć pod uwagę trafną myśl W. Gombrowicza, że jedynie to, co w nas dojrzałe i uładzone, nadaje się w ogóle do wypowiedzi, a cała reszta, czyli „najprawdziwsza niedojrzałość nasza”, jest milczeniem. Toteż sądy o innym człowieku są tak niezwykle trudne, trzeba bowiem uwzględniać milczenie towarzyszące zarówno słowom, jak i działaniom. A bez takich sądów nie można obejść się ani po stronie nauczającej, ani nauczanej. Nie tylko literatura, poezja, sztuka, ale też dydaktyka – chociaż w inny sposób – służy namysłowi nad własnym istnieniem.

Uczucia są czynnikami, do których należy się odwoływać, jeżeli chce się nawiązać kontakt i w oparciu o ten kontakt przekazywać wiedzę. Wiedza trafia do ogółu nie tylko dzięki racjom logicznym, przytaczanym na jej poparcie, ale również – i to w większej mierze – dzięki mocy pobudzania wyobraźni, wytwarzania pragnień realizowania słusznych idei, i dzięki sympatii, którą budzi wykładowca. Nie apelacja do rozumu, nie argumenty logiczne są najskuteczniejszym sposobem oddziaływania na człowieka.

Właśnie, na umiejętnym oddziaływaniu na sferę emocjonalną winny się opierać metody dydaktyczne. Skutecznie wychowywać to znaczy łączyć wyobrażenia i sądy z uczuciami określonej jakości, przy jednoczesnym podsycaniu jednych uczuć, a tłumieniu innych. Wprawdzie, psychoanalicy twierdzą, że zostaną one jedynie wyparte w sferę nieświadomego, Kerschensteiner wskazuje zaś na niemożliwość potęgowania zdolności do głębokiego przeżywania, która, jego zdaniem, ma być cechą pierwotną; bezdyskusyjna jest jednak możliwość rozszerzania zasięgu uczuć przez ich irradiację.

Nie ma powodu, aby żywić podziw i szacunek dla człowieka

odznaczającego się wysokim stopniem rozwoju intelektualnego, nieprzeciętnego nawet pod tym względem, póki nie pozna się jego strony emocjonalno-wolitywnej i nie Wykryje współmiernego rozwoju obu sfer. Tę podstawową prawdę instynktownie urzeczywistniają studenci, którzy szukają u wykładowcy nie tylko wiedzy, lecz także wzorca osobowościowego. I dlatego nie ci trafiają do młodzieży, którzy jej schlebiają, pozornie się z nią bratając, nie ci, którzy szukają poklasku i popularności, lecz jednostki wykrystalizowane, o nastawieniu konsekwentnie i sprawiedliwie wymagającym, a równocześnie życzliwym i pełnym entuzjazmu dla świata w tym, czego uczą.

Zachodzi społeczna potrzeba kształtowania osobowości nauczycieli akademickich po to, by mogli coś więcej przekazać słuchaczom oprócz wiedzy ściśle fachowej, aby przekraczali swój, często hermetyczny język, dostępny jedynie wąskiemu gronu fachowców, aby nie zasklepiali się w wybranym wycinku rzeczywistości. Możliwe to jest tylko przez pracę nad sobą i pogłębianie procesów wewnętrznego wszechstronnego rozwoju na własną, indywidualną miarę. I nie można zapominać, że w kierowanym do siebie przekazie słuchacze cenią nade wszystko wewnętrzną prawdę i wysoki stopień zaangażowania wykładowcy w treści, które podaje.

XXVII. KSZTAŁTOWANIE WRAŻLIWOŚCI I UCZUCIOWOŚCI

Synonimem nowoczesności stała się dla wielu racjonalność, mimo że i w świecie, i w człowieku nie może być wszystko zgłębione przez rozum. Obszar dociekliwości intelektu jest poszerzany przez stany odczuć, emocji, intuicji.

Bliska mi jest nadzieja Tadeusza Bairda, który przyznawał się – zdając sobie sprawę z tego, że może być pomówiony o zacofanie – do wiary, że zawsze pozostanie w człowieku coś irracjonalnego.

Nie można świata odczuć i wrażeń traktować drugoplanowo w zestawieniu ze światem przemysłów intelektualnych. Światy te powinny dochodzić w nas rozgłosu przynajmniej z jednakową mocą, mimo że rozum ma dyktować pewne wytyczne postępowania.

Wrażliwość rozwija obcowanie ze sztuką i z poezją. Ucząc patrzeć na rzeczy najzwyklejsze w sposób odkrywający w nich piękno. Bliska mi staje się prośba wy rażona w wierszu Czesława Tarnogórskiego:

*Panie, zachowaj we mnie prowincjusza,
I niechaj umiem czytać Twoje chmury,
jak ten co pierwej, choć w zgiełk pędzi głusza
i mniej żywiczne lasy i mrą góry.*

*I ginie droga w drózkach przemysłności.
Panie, zachowaj we mnie prowincjusza,
pień, i gałęzie, abym czuł najprościej,
a huczny pozór niech mnie nie porusza (...)*

Czuć najprościej, żywo reagować, wzbogacać to, co codzienne, mocą wyobraźni – to znaczy zarazem umieć cieszyć się własnym istnieniem. Jest to przeżycie zależne od nas samych, którego nikt i nic nie może nam odebrać.

Powinniśmy rozwijać w sobie zdolność odczuwania i przeżywania. Pozaintelektualne pokłady struktury psychicznej człowieka kierują w daleko większej mierze naszymi poczynaniami i twórczością, niż racje „czysto” rozumowe. Właśnie w sztuce, w literaturze i w innych

dziedzinach twórczości artystycznej znajduje wyraz to, co dla człowieka ma decydujące znaczenie. A więc liczą się nie tylko przemyślenia, ale również i namiętności, bunt, pragnienia, lęki, nadzieje, oczekiwania, tęsknoty.

Pomagają one w refleksji nad własnym życiem i nad stosunkiem do innego człowieka. Nauka z filozofią włącznie są niewystarczające z tego punktu widzenia.

Twórczość pomaga rozwiązywać problem: ja wobec siebie, a więc pełni rolę autopsychoterapeutyczną; pomaga w tym, by nie przenosić naszych wewnętrznych konfliktów czy urazów na innych ludzi. Właśnie pisanie dziennika – co czynić może każdy jako formę rozrachunku z sobą samym – pełni, przykładowo tę rolę.

Wyobraźnia, zespolona z wrażliwością i uczuciowością, jest potrzebna po to, aby umieć odczytać drobne nieraz sygnały, znaki drugiego człowieka, którymi mówi o sobie, o swoich odczuciach, stanach psychicznych. Ci, którzy krzyczą głośno, nie zawsze czują najgłębiej. Wyobraźnia jako narzędzie wczuwania się pozwala nam dotrzeć do znaczeń sygnałów przyciszonych, nieśmiałych, i to jest warunek nawiązania prawdziwego kontaktu.

Często przechodzimy koło ludzi, którym możemy pomóc i byłoby to w granicach naszych możliwości. Przechodzimy i mijamy, bo brak nam wyobraźni, by odczytać dawane nam znaki. Sami też nieraz tłumimy sygnały drugich naszym zachowaniem, które nie pozwala dojść do głosu temu, co w innych istotne. Nie każdy potrafi przetwarzać swoją wyobraźnią własne życie ani sterować niecierpliwością, a korzystne dla wzbogacenia istnienia każdego z nas jest spojrzenie – mocą wyobraźni – na siebie jakby z drugiego brzegu. Uświadomienie szybkości płynącego nieodwracalnie czasu może pobudzić nas do czynu, intensyfikować niecierpliwość i sprawiać, by w tych samych odcinkach czasu zawierać

więcej treści.

Młodzieńcze przewartościowywanie wartości, przesycone uczuciowością, skrajnością i niezdolnością do kompromisu, ma doniosłe znaczenie dla kształtowania siebie. Pożądane jest, ażeby stan emocjonalnego zaangażowania, świeżości odczuć i ciekawości świata wraz ze zdolnością do wewnętrznych przekształceń i wrażliwością na sprawy ogółu, utrzymał się przez całe życie człowieka.

Jerzy Kalina zorganizował kiedyś w Warszawie akcję artystyczną pod nazwą „Przejdźcie”. Na chodniku przy skrzyżowaniu ulic Świętokrzyskiej i Mazowieckiej ustawił rzeźby mało odróżniające się od przechodniów. Naturalnej wielkości ludzkie postacie trzymały w rękach siatki z zakupami i teczki. Niektóre z nich zagłębiały się w chodniku, by pojawić się po drugiej stronie ulicy. Znamienne, że to niemal lustrzane odbicie nas samych dawało wiele do myślenia. Ten codzienny widok sprawił, że niejeden przechodzień zatrzymywał się i popadał w zadumę. Zwykła codzienność dzięki sztuce żywiła wrażliwość. Potęgowanie wrażliwości i intensywności przeżywania świata prowadzi do wrywania się ze schematów, ze stereotypowości. Nie byłby wzorem do naśladowania jeden z carów rosyjskich, który wydał zarządzenie, określające dozwoloną wysokość kapeluszy noszonych przez poddanych.

Operując środkami bogatymi, bo odwołującymi się do malarstwa, rzeźby, architektury, muzyki, baletu, poezji i do słowa oraz gestu, teatr – być może – jest zdolny przemawiać silniej do wrażliwości i uczuciowości widza i bardziej je potęgować, niż każda z tych wymienionych dziedzin sztuki osobno. Zaznacza się na tym tle niedoskonałość języka pojęciowego, niewystarczalność tego, co można w nim wyrazić w porównaniu z bogactwem, wielorakością i wielopłaszczyznowym charakterem rzeczywistości, z psychiczną włącznie. To, co niewypowiedzalne bez reszty w języku pojęć, może się stać przekazywalne za sprawą intuicji. Odnosi

się czasem, dzięki niej, wrażenie pełnego porozumienia, rentgenowskiego prześwietlenia.

Wrażliwość i uczuciowość, ukształtowane na wyższym poziomie, stają się bezinteresownymi wzruszeniami. Sprzyja ich ukształtowaniu umiejętność wyrażania przeżyć. W tej dziedzinie wielu z nas jest kalek. Często nie tylko nieumiejętność, ale również wstyd, niedowierzanie czy nasze uczucia mają wartość dla tego, kogo nimi darzymy – powoduje, że ich nie ujawniamy. Łatwiej pieścić psa czy kota niż odważyć się okazać komuś czułość. A gdzie mamy się tego uczyć? Czasem trzeba niewiele. Kto przestrzega w naszych czasach sprawy, wydawałoby się, błahej: wspólnego codziennego zasiadania do stołu? Prowadzi ono do zbliżenia, do więzi uczuciowych.

Wrażliwość i uczuciowość ma znaczenie nie tylko dla terażniejszości. Dzięki nim przeszłość nie ginie; pozostaje ukryta w postaci doznań, zdawałoby się, umarłych, które jednak w każdej chwili są gotowe odżyć na nowo. Nowe doznania powołują do życia tamte, zepchnięte do naszej podświadomości. W powieści Prousta, *W poszukiwaniu straconego czasu*, dotknięcie ustami nakrochmalonej serwetki przypomina jednemu z bohaterów identyczne wrażenie, które przeżył niegdyś i te przywołane wzruszenia dawnych lat wyrwą go z niewoli czasu.

XXVIII. KONSEKWENCJA W DZIAŁANIU

Można by zaryzykować twierdzenie, że przeszłość nie istnieje. My dzisiaj jesteśmy jej wytworem i w ten sposób – rzeźbiąc nas – przeszłość determinuje terażniejszość. Ilustracją tej tezy są książki Faulknera, *Światłość w sierpniu*, czy Rzezacza – znakomitego czeskiego pisarza – *Czarne światło*. Powszechnie jest, zresztą, wiadome uwarunkowanie

osobowości człowieka najdawniejszymi przeżyciami dzieciństwa. A przyszłość? Ta tworzona jest w teraźniejszości i zawsze jesteśmy za nią odpowiedzialni. Stąd doniosłe znaczenie czynów, bo w nich ostatecznie ujawnia się prawda o nas.

Istnieć to znaczy dokonywać wciąż nowych wyborów i – jak słusznie pisał Kant – o wartości dokonań decyduje przede wszystkim motyw podejmowanych działań. Brand, bohater dramatu Ibsena pod tym tytułem, wznieca szacunek potęgą woli.

*Lecz na nic pomoc, zacny kumie,
Temu, co nawet chcieć nie umie...*

Sensowność życia, jeśli nie jest ono zacieśnione do ram własnego egoizmu, wymaga podejmowania działań.

Wzmógłony motyw wysiłku czerpie się z wiary w wartości, które pragnie się urzeczywistnić. Również zestawienie wyidealizowanego obrazu siebie z sobą faktycznym bywa silnym motywem działań. Brak spełnienia tego, na co czekamy, czego pragniemy, nie zawsze uruchamia czyny. Stan niedosytu może prowadzić do rezygnacji, a nawet depresji czy apatii. W każdym razie, zagraża inercja, z której trzeba się wyrwać, aby nie stało się jak w wierszu Jana Stępnia *Podróż do nikąd*:

*... jak starcy niecierpliwie
czekamy na pociąg, co
nigdy nie odjedzie –
O świecie kupimy gazetę i w nekrologach
będziemy szukać swoich nazwisk*

Zbigniew Thille, zmarły niedawno wybitny psychiatra, przyjmował w swej praktyce, że człowiek we wszystkich przejawach aktywności

wewnętrznej i zewnętrznej doświadcza samego siebie. I że ma to miejsce zarówno wtedy, gdy realizuje swoje najwznioślejsze imperatywy uczuciowe, jak i wówczas, gdy ulega animalnym instynktom.

Czyny łączą się z nadzieją i zespalają z równymi w wierze. Odwaga spełniona w czynach stanowi postawę przeciwstawną do tej, która daje się powodować nawykami. Zmierzenie ku czemuś wykraczającemu poza wymiar aktualnego doświadczenia, wymaga nieraz heroizmu, bezgranicznego poświęcenia i przystosowania do tego, co być powinno, a nie do tego, co spełnione.

Zagadnienie roli ideałów w życiu człowieka dotyczy każdego niezależnie od wieku. Zobojętnienie dla problemów ogólnoludzkich, bierne przystosowanie się do warunków zewnętrznych, powtarzanie wyuczonych formułek i ocen zamiast myślenia na swoją odpowiedzialność i dalsze kształtowanie charakteru – oto faktycznie realizowana zasada życia znacznej większości dojrzałych (w sensie wieku) ludzi. Trwa ten stan, niestety, często aż do starości, kiedy to znów zagadnienie sensu życia natarczywie powraca.

Przykładem drzemących w nas sił, potężniejszych niż zwykliśmy mniemać nim dosięgnie nas ciężka próba, mogą być aktorzy. Podczas wakacji, jak stwierdzono, częściej zapadają na zdrowiu niż w sezonie teatralnym, kiedy zmuszałoby to ich do rezygnacji z niepowtarzalnej atmosfery teatru i odstępowania swej roli komu innemu.

Obawiamy się osób zniechęconych do życia, bo odbierają nam radość istnienia. Oczekujemy zachęty spotęgowania naszej prężności, utwierdzenia w tym, co zamierzamy czynić, ze strony innego człowieka. Mówiąc słowami Tadeusza Dzieduszyckiego, „w biernym żelazie wszystkie elementy siły charakteryzującej magnes istnieją – ale sparaliżowane są stanem bezwładu. Ich uporządkowanie (polaryzacja) natychmiast bierność przeobraża w aktywność. Analogicznie w sferze sił

duchowych” (*PAX Plenitudinis*, Londyn 1956).

Bywa sytuacja niepokojąca, gdy bezskutecznie szuka się czyichś słów w działaniach. Znaczna odległość działań od deklaracji kojarzy się w skrajnych przypadkach z pejzażami bajorowatych grzędzawisk, w przeciwieństwie do krystalicznej wyrazistości górskich potoków. Moja ciotka, aktorka, sprawdzony przyjaciel, wspomina nieraz takie rozdwojone struktury. Ma o kim opowiadać, bowiem życie jej upłynęło wśród tych, którym wystarczać nie mogła codzienna troska o chleb i rodzinę. Wśród tych, którzy w swym nienasyconiu i ciągłym zdążaniu gdzieś tam gubili nieraz po drodze ludzkie odruchy i reakcje.

Potrzebne byłyby pozytywne wzorce przemawiające do mentalności dzisiejszego człowieka. Przy tym nie chodzi o wzory czerpane z życia wielkich, bowiem życie niejednego geniusza nie nadaje się do naśladowania. Wzorce te spełniałyby doniosłą rolę nawet i wówczas, gdy sposób istnienia niewielu z nas w pełni im odpowiadał. Na przykład, „... na skutek hamowania w sobie szczerych odruchów antyspołecznych oraz zmuszania się do okazywania bliźnim nieodczuwanych naprawdę afektów – pisze H. Piętka w *Teorii prawa* – człowiek stopniowo rozwija w sobie usposobienie względem innych ludzi”. Ale trzeba umieć natchnąć tą myślą.

Nadmierne poczucie winy, drobiazgowe rozważanie wszelkich za i przeciw, rozpamiętywanie minionego, przewidywanie niepowodzeń – oto macki przytwierdzające nas do tego, co jest. To pozorne zarazem uzasadnienie własnej stagnacji.

Nieznane wznieca ciekawość i pobudza do czynu. Zdarza się nie mniej często, że napawa niepokojem. Trudna do zniesienia codzienność jest przynajmniej poznana, nastąpiło oswojenie z nią. Po co i dokąd zmierzać? – pytają ci, którzy nie wierzą, że można czynnie kształtować życie.

Trzeba się uczyć bezinteresowności. A to trudne, bo nie ma właściwie

mechanizmów, które by egzekwowały postępowanie honorowe od jednostek. Spotkać się można obecnie z takimi wymaganiami – paradoksalnie, jedynie w sporcie. Dawniej jednostki były bardziej zamknięte w mniejszych grupach społecznych i grupy te wywierały silną presję w kierunku postępowania zgodnego z przyjętymi wartościami.

Zestrojenie się z ogółem na drodze dokonywania czynów zawsze, mimo niepowodzeń, uwalnia od niepokojącego pytania: czy życie nasze ma sens?

XXIX. POSZUKIWANIE WŁASNEGO ŚWIATOPOGŁĄDU

Każdy wyznaje jakiś światopogląd, choćby nie rozbudowany i nie wyrażony w refleksji. Współczesna psychologia wskazuje, że nie ma „czystego” myślenia. Pozostaje ono pod wpływem sfery emocjonalno-wolitywnej człowieka. Uczucia stanowią nie zawsze uświadomioną podstawę procesów intelektualnych, W światopoglądzie zawarte są przemyślenia, przeżycia i dążenia człowieka.

Światopogląd należy określić jako zbiór sądów wypowiadających coś o świecie i norm regulujących postępowanie. Jest to pogląd na świat i życie oparty wprawdzie na przesłankach naukowych, ale we wnioskach wychodzący dalej. O przyjętym światopoglądzie decydują względy nie tylko racjonalne, ale też emocjonalne, kulturowe, wychowawcze, społeczny narodowe i środowiskowe.

Od zarania dziejów filozofii zaznaczały się dwa podstawowe nurty: czciciele rozumu – traktujących człowieka jako funkcję intelektu – i tych, którzy wskazują na uczucie i wolę jako znamię człowieka. Wystarczy

przytoczyć, dla przykładu, nazwiska Hegla i Platona z jednej strony oraz Schopenhauera, który przyznaje pierwszeństwo woli, czy Protagorasa, czyniącego człowieka – a nie tylko jego rozum – miarą rzeczywistości.

Obcowanie z obrazem świata nakreślonym przez nauki – nie wystarczy (por. G. Funke, E. Scheibe, *Wissenschaft und Wissenschaftsbegriff*, Mainz 1983). W światopoglądzie wyraża się strona emocjonalno-wolitywna człowieka, staranie skrywana w naukach. Wyznawanie światopoglądu ma zasięg powszechny. Nie wymaga wykształcenia.

Światopogląd czyjs może być ubogi. Ale każdy go ma. Zresztą, głoszenie braku jakiegokolwiek światopoglądu ocenia się ujemnie jako wyraz utylitarnej postawy danej jednostki, i też jest światopoglądem.

Światopogląd nie powinien być biernie przejmowany od otoczenia. Ma kształtować się jako wynik osobistych przeżyć i zarazem osobistych przemyśleń. Najbardziej pobożny wyznawca jakiejś religii może, przykładowo, stać się, po przewrocie wewnętrznym, ateistą, natomiast człowiek niewierzący – gorliwym wyznawcą Boga.

Wybór pomiędzy poszczególnymi światopoglądami odbywa się przez odwołanie do strony intelektualnej oraz emocjonalno-wolitywnej człowieka, jeśli odrzucić z rozważań możliwą rolę motywacji oportunistycznej.

Światopogląd wiąże się najściślej ze światem kultury. Mianowicie, determinuje rodzaj i sens podjętych przez jednostkę działań, tworzących w następstwie ten świat. Owo tworzenie jest widowym i wymiernym skutkiem procesów zachodzących w człowieku. Światopogląd pełni w stosunku do kultury nie tylko tę, wskazaną wyżej, czynną rolę. Jego bierna funkcja ma nie mniejsze znaczenie w relacji do kultury. Staje się on sposobem scalania kultury w pryzmacie konkretnej jednostki.

Światopogląd danego człowieka zawiera zawsze zawężone widzenie kultury w porównaniu z całym jej bogactwem. Ograniczenie pola

widzenia kultury w światopoglądzie danego człowieka jest równoważone możliwością ujmowania przez niego elementów kultury w sposób wycinkowy i zhierarchizowany. Wewnętrzna struktura kultury nie jest obiektywnie raz na zawsze ustalona, lecz tworzona na nowo w światopoglądzie każdego.

W ludziach jak w krzywych zwierciadłach rysuje się indywidualny obraz kultury. Byłaby to jednak półprawda, gdyby nie dodać, że z kolei światopogląd – chociaż ukierunkowuje widzenie zastanej kultury oraz tworzenie takiej, która być powinna – sam jest produktem kultury, jej częścią.

Każdy z nas bowiem nie tylko pojmuje, ale i przeżywa świat, i te wielorakie sposoby kontaktu z nim znajdują wyraz właśnie w formułowanym światopoglądzie. Światopogląd byłby więc subiektywnym wyróżnikiem człowieczeństwa, kultura zaś – wyróżnikiem obiektywnym, jako wymierny przez innych i odznaczający się intersubiektywną komunikatywnością rezultat wyłącznie ludzkiej działalności.

Światopogląd każdego ma indywidualne, niepowtarzalne cechy, o ile stanowi rezultat własnych poszukiwań. Z tym jednostkowym zróżnicowaniem światopoglądów nie popadają w sprzeczność próby grupowania ich w duże całości. I tak, na przykład, Gustaw Radbruch wymienia światopoglądy indywidualistyczne, supraindywidualistyczne i transpersonalne; polski myśliciel, Władysław Leopold Jaworski, dzieli światopoglądy na absolutne i relatywistyczne; Wincenty Lutosławski, jak wynika z jego dzieł, wyodrębnia światopoglądy materialistyczne, idealistyczne i spirytualistyczne; Tadeusz Jaroszewski wyróżnia światopoglądy materialistyczne, religijne, egzystencjalistyczne oraz liberalno-indywidualistyczne; Tadeusz Czeżowski pisał o dwóch postawach światopoglądowych: metafizycznej oraz przyrodniczej, natomiast (ostatni przykład) Tadeusz Kotarbiński wymienia w naszym

społeczeństwie dwa masowe światopoglądy, tj. katolicki i marksistowski oraz światopoglądy akademickie. Wśród tych ostatnich uznaje jako najważniejsze: szkołę lwowską Twardowskiego, neopozytywizm, freudyzm, bergsonizm, fenomenologizm; dodałabym także kantyzm jako jeden z rodzajów światopoglądu akademickiego, który odgrywa wciąż tak dużą rolę w myśleniu zachodnioeuropejskim, amerykańskim, sądzę, że także i w polskim.

Różnica między tymi trzema światopoglądami polega na tym, że akademickie nie mają żadnego oparcia instytucjonalnego w przeciwieństwie do masowych (Kościół, państwo), a także nie posiadają właściwie dostatecznego oddźwięku społecznego, bo wymagają już pewnego przygotowania. Wolny dialog między ludźmi o różnych światopoglądach jest, może, jedyną drogą, która pozwoliłaby doprowadzić do wzmożenia samoświadomości, a więc i budowy autentycznych światopoglądów.[3]

XXX. TWÓRCZOŚĆ

Twórczość przejawia się w dziedzinach od siebie odległych. Wyodrębnia się artystyczną, naukową, techniczno-gospodarczą, społeczno-polityczną i religijną. Kogo można określić mianem twórcy? Pragnę tu od razu zaznaczyć, że nie ograniczam grona twórców do tych, których dzieła cyrkulują w społeczeństwie; nie ograniczam do tych, którzy, przykładowo, drukują prace, wystawiają sztuki czy występują na scenach. Twórcy znanych nam dzieł, zaaprobowanych przez znawców,

[3] W okresie 1918-1939 mało miejsca w filozofii uniwersyteckiej — porównawczo z czasami dzisiejszymi — zajmowało zagadnienie światopoglądu. Dominującym wówczas prądem był pozytywizm.

ekspertów, krytyków, stanowią jedynie wąską grupę w zestawieniu z tymi, którzy odznaczają się usposobieniem twórczym, głębią widzenia i przemyślen, dużą wrażliwością, wyobraźnią. Tyle, że nie każdy ma odwagę wyjść na światło dzienne ze swą twórczością, i nie mam tu na myśli przypadków, kiedy, odwrotnie, brak krytycyzmu, sprzyja odwadze owego wyjścia. Przerost krytycyzmu może sprawiać, że osiągnięcia swe twórca niszczy bądź przechowuje w szufladzie, czując rozpiętość między tym, co ma do wyrażenia a wyrażonym i wyrażalnym. Przy czym czas życia nie każdego przypada na korespondujące z jego dziełem prądy estetyczne. Znam wybitnych ludzi tworzących od kilkudziesięciu lat bez możliwości opublikowania czy wystawienia rezultatów swoich procesów twórczych.

Poza tym, bywają ludzie o usposobieniu twórczym, odznaczający się wewnętrzną wrażliwością czy głębią widzenia i przemyślen, tyle że nie umiejący swego bogactwa wewnętrznego wyrazić w żadnym języku: ani literatury, ani sztuki, ani nauki czy publicystyki. Nikt pełniej niż Mickiewicz w *Wielkiej Improwizacji* nie wyraził męki szukania środków dla objawienia wewnętrznych treści.

Orzec, czy dana jednostka jest twórcą, czy też nie trudno również i z tego względu, że nie jest odosobniony przypadek malarki francuskiej, w której moc twórcza ujawniła się po siedemdziesiątym roku życia. Bywają twórcy, którzy słowem mówionym zaszczepiają otoczeniu nowe wartości.

Do twórców należałoby zaliczyć też tych, którzy umieją pisać listy, prowadzą dziennik, rozmawiają z przyrodą czy urządzają wnętrza mieszkań kierując się wyobraźnią – słowem odznaczają się twórczym stosunkiem do codzienności. Wreszcie, jeśli byśmy uznali, że dany człowiek nie jest twórczy, to i tak częstokroć staje się współtwórcą: odbierając dzieło sztuki, pojmując i przeżywając je. Bez współtwórcy, którym jest odbiorca, dzieło zostaje martwe. Odbiorca sprawia, że dzieło

jednostkowe nabiera znaczenia ogólnego.

Zewnętrzne sprawdziany nie są wystarczające dla rozstrzygnięcia, kto jest twórcą. W każdym człowieku są zawiązki twórcze. One, zresztą, dochodzą do głosu zawsze wtedy, gdy obcujemy z dziełem kultury. Bowiern oglądając dzieło sztuki, czytając je czy słuchając, nie jesteśmy pasywni. Współuczestniczymy w tym procesie czynnie, zdobywając się nie tylko na wysiłek pojmowania dzieł, ale i emocjonalnego, uczuciowego przeżywania ich na własny, indywidualny sposób.

Bez udziału odbiorcy niekiedy nawet zdolność wyrażania twórcy nie byłaby w pełni urzeczywistniana.

Mam na myśli przykład Rubinsteina, który w swoim dzienniku notuje: „Kiedy światła przygasły, a na sali zapanowała absolutna cisza, wyczułem ten szczególny nieuchwytny kontakt łączący mnie z publicznością, kontakt, który jest dla mnie natchnieniem w czasie gry”. Podobne odczucia są właściwie wielu artystom, a szczególnie ciekawie mówili mi o tym: śpiewaczka Annemarie Hertel i oboista Alfred Hertel, kierujący znaną austriacką orkiestrą kameralną *Niedersterreichisches Bldserquintett*.

Wpływ tzw. odbiorcy dzieł kultury i jego nieodzowność w zaistnieniu tego, co twórca stworzył, wyraziście można zilustrować przykładami zaczerpniętymi ze sztuki, zwłaszcza tej, która stanowi zaprzeczenie malarstwa odtwarzającego. W muzeum sztuki nowoczesnej w Amsterdamie wiszą obrazy Manzonięgo, wielkie białe płaszczyzny, które widz zabudowuje swoją wyobraźnią bądź przeżywa wytwarzane przez daną wielką płaszczyznę zimno i pustkę. Obraz, którego twórcą jest Antonio Tapies, czarna płaszczyzna z dwoma czarnymi workami wypełnionymi słomą, też angażuje widza do aktu kreacyjnego.

Mglistość wypowiedzi twórcy oraz intelektualizacja postaw artystycznych stwarzają trudności w odbiorze, ale jednocześnie pobudzają do konstruktywnego wysiłku. Zachodzi – przynajmniej przez moment –

splecenie się odbiorcy z dziełem i ten styk, owa jedność zaspokaja nie dość jasno przez wszystkich uświadomioną potrzebę wewnętrznej integracji. Integracji wyrażającej się nie tylko w intelektualnym, ale i emocjonalnym oraz wrażliwym kontakcie ze światem.

Czy twórczość sprowadza się do poszukiwania w sobie i w otoczeniu czegoś nowego, oryginalnego? To „nowe” powstaje niewątpliwie, gdy doznajemy dodatnich bądź ujemnych poruszeń psychicznych. Pogłębia się wtedy nasze widzenie i odczuwanie wielu zjawisk. Sprawia to poszerzona perspektywa – rezultat owych doznań. Rozwój naszego „ja” pod wpływem rozmaitych okoliczności może też prowadzić do tego, że wyodrębniamy pewne zjawiska bądź dostrzegamy ich powiązania wzajemne, wcześniej nie dostrzeżone.

Twórczość wiąże się ściśle z buntem wobec tego, co zastane i jest próbą szukania nowych dróg. Nie chodzi o burzenie wszystkiego, o nowatorstwo za wszelką cenę, lecz o przeobrażanie codzienności zgodnie z własnym sposobem jej przeżywania. Niektóre ruchy artystyczne odrzucają dotychczasowe wartości, zrywają z dziedzictwem poprzednich pokoleń. A przecież to, co nowe – formy poetyckie, zestawy barw czy dźwięków – pozostaje w jakimś związku ze starymi wartościami i tendencje niszczycielskie – choć twórcze – są często mało komunikatywne dla współczesnych. Niektóre z nich zapadają w nicość.

Utarło się mniemanie, że twórczość ma sens psychoterapeutyczny. [4] Można by w takim razie zapytać, skąd tylu psychonerwicowców i osób wręcz chorych psychicznie wśród twórców, skoro twórczość ma sens leczniczy? Problem ten komplikuje wyznaczenie Scotta Fitzgeralda: będąc już „pisarzem zawodowym”, kiedy siadał z zamiarem pisania, ogarniał go uczucie „absolutnej bezradności”. Nie jest to przykład odosobniony.

[4] Por. rozmowę Adama Zycha ze mną, *Twórczość a zdrowie psychiczne*, „Przemiany” 1980 nr 3.

Można by cytować wiele analogicznych wypowiedzi. Tworzenie, które jest wewnętrznym nakazem, imperatywem – jakby ten stan określił Kant stanowi mękę, i radość. Dąży się ku temu i stosuje uniki.

Człowiek jest istotą poszukującą i w sferze możliwości jednostek, niezależnie od warunków ich życia, leży nadawanie własnemu życiu głębszego znaczenia. Sprzyja temu twórczy stosunek do świata, zwłaszcza że prowadzi do wiązania ze sobą czasu przeszłego – którego jesteśmy śladem – z przyszłością, i to już w dniu dzisiejszym, w teraźniejszości. Twórczość tu i teraz wykonywana zawiera w sobie zawsze załękę przyszłości; jest procesem urzeczywistniającym to, czego nie ma.

XXXI. PRYWATNY SENS TWÓRCZOŚCI

Czy twórca ma obowiązek wyręczać polityków, wychowawców, moralizatorów? Rzadko wszak tworzy się w stanie, który można określić jako wyrównany.

Gustaw Radbruch ubolewa nad brakiem zorganizowanych bodźców wzmagających twórczość jednostek. Ujawnił paradoks, że pokolenia przeszłe ocenia się stosownie do dzieł, które pozostawiły po sobie, zaś od pokolenia istniejącego nie oczekuje się w dziedzinie kultury szczególnych wysiłków; w każdym razie nie mobilizuje się ku temu.

Zagadnienie prywatnego sensu twórczości odnieść można jedynie do twórczości autentycznej. Charakteryzuje się ona tym, że jest wyznaczana wartościami wyższymi i stanowi zaprzeczenie tworzenia ze względu na korzyści osobiste. Twórczość autentyczna sprzyja wewnętrznemu rozwojowi i ściśle z nim się splata. Rezultatem tego procesu staje się wzmożona samoświadomość, a wraz z nią umiejętność znajdowania oparcia w sobie.

Artysta tworzy to, co chce – a raczej to, co musi, ulegając wewnętrznemu imperatywowi. Czyni tak na własne ryzyko i chociaż, przynajmniej podświadomie, oczekuje odbioru, to jednak proces tworzenia jest sprawą całkowicie indywidualną oraz intymną (jakkolwiek przez akt twórczy artysta szuka kontaktu z innymi osobami). Jego samotność i osamotnienie w pracy nad obrazem czy dramatem jest chwilowe.

Wyłączam z tych rozważań artystów, którzy zaznaczają swoją obecność w twórczości, kierując się celami utylitarnymi, piszących na zadany temat i rozwiązujących go w sposób narzucony. Wyłączam artystów i uczonych wyczuwających, co może zyskać aplauz i preparujących odpowiednio do tego swe utwory. Obdarzonych sprytem profesjonalistów nie brakuje. Oportunizm (również) w twórczości czyni istotne szkody z powodu deprawacji charakteru twórców. A więc narusza też zdrowie psychiczne, jeśli pojmować je jako rozwój wewnętrzny, kierowany wartościami wyższymi.

Tworzenie dzieł jest sprawą prywatną niezależnie od ich społecznego oddziaływania. (Jest tak również wtedy, gdy artyści grupują się na zasadzie wspólnoty programu o jednoczącej sile). Podkreśla tę prawdę dobitnie Tuwim w jednym ze swoich listów „Człowiek (pisarz), przebywając w stanie, który laicy nazywają natchnieniem, zyskuje doprawdy jakieś cechy nadprzyrodzone. Owszem, jest szczęście bezpośredniego działania dla dobra ludzi. Ale najwyższe jest w tworzeniu. Niech Pani nie sądzi, że się wtedy myśli o skutkach tego tworzenia (że to wzbogaca skarbiec literatury ojczystej, że będzie uszlachetniać, że zbłądzi pod strzechy); nic podobnego”.

Właśnie prywatny sens twórczości prowadzi do tego, że dzieła literatury i sztuki – a więc te, w których twórca nie musi się starać o obiektywizm, jak w nauce – są w pełni czytelne jedynie dla twórcy. Należy je bowiem traktować jako autobiografię wyrażoną w jakimś języku, choćby nawet

nie było to ani zamierzone, ani w pełni uświadomione. Scott Fitzgerald ożenił się, jak mówił, z bohaterką swoich opowiadań.

Wielka sztuka bywa zazwyczaj zabarwiona tętnem życia jego twórcy. Stefan Żeromski w *Snobizmie i postępie* wyraźnie stwierdzał: „Nie chciałbym... popaść w podejrzenie, iż popycham dzieła sztuki w jakąkolwiek choćby najwznieślijszą służbę, iż narzucam im cele narodowe, lub społeczne. Sztuka pisarska, podobnie jak wszystkie jej siostrzyce – a muzyka najwyraźniej i najbezwzględniej – nie ma, nie może i nie powinna służyć jako środek do jakiegokolwiek celu, okrom swego własnego”.

Również w wyznaniach pisarki niezmiernie poczytnej, której twórczość jest również przeniknięta ideą służby społecznej i narodowej, Marii Rodziewiczówny, dochodzi do głosu ten pierwiastek, który określiłam mianem sensu prywatnego. W roku 1941 powiedziała: „Tworzyłam szybko i byłam bardzo płodna, zwłaszcza do wybuchu pierwszej wojny światowej. Tworzyłam zawsze pod wpływem afektu, aby wyrzucić z siebie to, co w danej chwili mnie nurtowało”.

Tadeusz Baird czy Tadeusz Kantor – by sięgnąć do nowszych przykładów w odmiennych dziedzinach – również nie ukrywają autobiograficznego, a więc prywatnego, charakteru twórczości. Dzieła, nawet abstrakcyjne – jak wyznawał w wywiadach Kantor po spektaklu *Wielopole – Wielopole* – można uzyskać tylko odwołując się do siebie i własnej przeszłości. Dlatego w spektaklu pod tym właśnie tytułem zostało odtworzone to, co zapisało się w pamięci z typowych historii rodzinnych.

Twórczość prowadzi do wzrostu samoświadomości, do bardziej wyrazistego zdawania sobie sprawy ze swoich autentycznych dążeń i wartości uznawanych autentycznie, a nie przez naśladownictwo. Dodaje przy tym odwagi, będąc wyrazistym sprawdzianem siebie, ażeby nie naginać się do powszechnie – w danym środowisku – wyznawanych

ocen i dążeń. Pozwala umacniać się w swojej własnej wierze dzięki temu, że przynosi wymierne rezultaty. A jeżeli nie potęguje wrażliwości, to przynajmniej nie pozwala na jej osłabienie.

O korzyściach społecznych nie myślał ani zdobywca Mount Everestu, ani odkrywca bieguna, ani też Lindberg, przelatując nad Atlantykiem. Wyjaśnianie motywów ludzkich czynów pobudkami ekonomicznymi, społecznymi czy seksualnymi zawęża spojrzenie na człowieka. O tych wszystkich twórczych wysiłkach, w tym o pisaniu, komponowaniu, projektowaniu, decydują głównie porywy, namiętności, ciekawość, poszukiwanie i oczekiwanie czegoś więcej niż niesie codzienność – lecz niemal każdy stara się dokonać racjonalizacji tych dążeń. Przypisuje się motywy o charakterze dydaktycznym, które nie wpływały na postępowanie.

Siła pchająca ku temu, co wykracza poza nasze możliwości, ku temu, co nieosiągalne, ucłowiecza nas. Twórczość autentyczna w przeciwieństwie do tej, którą można ogólnie określić mianem koniunkturalnej, odznacza się bezinteresownością, traktowaniem twórczości jako celu, a nigdy tylko jako środka.

W odbiorze twórczości pozostaje zakryty, nie ujawniony sam moment tworzenia: czynność komponowania, malowania czy rzeźbienia. A w nim właśnie zawiera się tajemnica intymności tworzenia, prywatności, niezależnie od wszelkich pragnień oddźwięku dla tego, co się stworzyło. Jedynie ślad tej czynności, odcisnięty w materiale dźwięków, słowa czy farb, jest dopuszczany do ogólnego odbioru. Wyjątkiem jest happening, w którym – inaczej niż w wypadku malarstwa tematycznego czy rzeźby figuratywnej – publicznie zostaje ujawniony proces tworzenia i on koncentruje uwagę.

Twórczości nie kierowanej względami korzyści czy rozgłosu (często zresztą za cenę odejścia od własnych przekonań) trzeba wyraźnie

przeciwstawić tę właściwą, która powstaje z nadmiaru psychicznego twórcy, zniewalającego go do wyrzucenia z siebie intensywności przemyśleń i przeżyć. Aktor jest w trudniejszym położeniu niż inni twórcy ze względu na to, że sam musi kierować swoim natchnieniem, wywoływać je, gdy zbliża się wyznaczone przedstawienie. Wyimaginowanej prawdzie aktor – zgodnie z teorią Stanisławskiego – ma wierzyć równie szczerze, jak prawdzie autentycznej. Do tego niezbędna jest wyobraźnia, ufność, wrażliwość, fantazja, umiejętność koncentrowania się.

Twórczość autentyczna, wyrastająca z głębi osobowości, bywa okupiona dotkliwymi trudnościami. Historia kultury uczy, że wielu spośród wybitnych dotkliwie przeżywało ostracyzm społeczny, ale wybrali, mimo nieraz chwilowych zahamowań, tę wyboistą drogę.

Prywatny charakter twórczości ujawnia się, gdy analizujemy genezę stwarzanych dzieł. Na przykład, Przybyszewski nie tworzył ze względu na cele zewnętrzne, ale mimo sformułowanego przez siebie programu sztuki dla sztuki nie pozostawał wobec rzeczywistości zewnętrznej obojętny. Z pasją publikował artykuły o treści społecznej i politycznej w „Gazecie Robotniczej”, żądając zasadniczych przemian. Ta prywatność jest więc wyraźna i wtedy, gdy twórca przeżywa konieczność ustosunkowania się do zjawisk, które go otaczają.

Naturalnie, każdy z nas jest uwikłany w problemy zbiorowości; nikt z nas nie jest wyizolowany. Każdego środowisko stara się określić w sposób sobie podobny. Biorąc pod uwagę ten wpływ społeczności, jej wzorców i zastanej kultury, można by – przerysowując – mówić o li tylko społecznym charakterze twórczości, skoro stanowimy konglomerat wpływów innych, działających na nas bądź to bezpośrednio, bądź przez swoją twórczość. Jednakże, podobnie jak kształtowanie własnej indywidualności wymaga psychicznego buntu wobec gotowych wzorów i nie pozwala na bierne przejmowanie modelu życia, tak i twórczość autentyczna jest przejawem

wzrastającej samowiedzy i wyłaniania się spod skrzyżowanych wpływów własnego oblicza, świadomego coraz bardziej tego, kim się jest i ku czemu chce się zmierzać. Nie jesteśmy anachoretami i nie taki sens należy nadawać prywatnemu charakterowi twórczości. Prywatny charakter twórczości nie przeczy społecznemu znaczeniu dzieł, które zostały stworzone. I kłamałaby ten, kto by twierdził, że nie interesuje go ich oddźwięk w innych.

XXXII. ZASTĘPCZY SENS TWÓRCZOŚCI

Zdecydowana większość ludzi szuka głębokiego, otwartego, szczerego kontaktu z innymi, a przynajmniej z jednym człowiekiem. Nie każdy jednak potrafi otworzyć się wobec kogoś. Nie każdy potrafi zasygnalizować swoje oczekiwanie przyjaźni i zdobyć się na dostateczną wiarę, ażeby ją odnaleźć. Wymaga to poszukiwań, w tym wyjścia poza krąg rodzinny i zawodowy.

Cóż więc czynić? Twórczość staje się wartością rozwiązującą ten problem, i to zarówno twórczość własna, jak i obcowanie z dziełami kultury powołanymi do życia przez innych.

Zacznijmy od twórczości własnej, która pozwala dawać upust dla nagromadzonych napięć psychicznych, by wymienić tu, przykładowo, agresję, zawiść czy lęk. Ale jeszcze ważniejsze jest przewyciężanie poczucia osamotnienia. Brak przyjaźni, zrozumienia, ciepła i życzliwości można wynagrodzić sobie przez wyrażenie w tym, co się tworzy, owego dotkliwego braku. Przy czym niedosyt aprobaty zewnętrznej, odpowiednio i świadomie przekształcony, staje się potężną siłą napędową w życiu jednostki.

Ludzie mówią do siebie, lecz rzadko się słyszą i tę potrzebę w

formie zastępczej również zaspokajają zwrócenie się ku twórczości, w której wprost bądź pośrednio – zależnie od jej rodzaju – można wyrazić swój stan. Strindberg, na przykład, zamiennie sięgał do literatury i do malarstwa, zaś Dunikowski, jak pisze Jerzy Bandura („Życie Literackie” 1976 nr 1247), „nie umiał ładnie mówić ani pisać i wyrażenie najprostszej rzeczy lub myśli za pomocą słów było dla niego trudne. Gdyby mógł opanować jakikolwiek instrument muzyczny, jak nie mógł, swój świat wyraziłby muzyką, ale miał absolutny brak słuchu i nie umiał posługiwać się żadnym instrumentem, nawet własnymi wargami”. Rzeźba była dla niego nie tylko racją istnienia, ale i „tarczą i mieczem przed ludźmi za jego mały wzrost, za tę osobliwą inność, za ironiczne uśmiešky z góry, których nie mógł znieść przez całe życie”.

Nuda, *spleen*, płynące z niedosytu bodźców, mogą się zmniejszyć, jeśli zostaniemy uwięzieni przez czyjąś twórczość, zdolną na tyle zaciekawić, wzruszyć, pobudzić, że przynosi nam zapomnienie o tym, co dolegliwe. Dostarcza nam nowych podniet.

Możność wyrażenia siebie – oto sens zasadniczy twórczości. Nie mogąc uczynić tego wprost, dajemy temu wyraz zastępczo, w tym, co tworzymy. Stąd, zresztą, znaczenie wysiłku innych twórców dla każdego z nas. Pozwala to nam obcować z kimś i przezwyciężać poczucie izolacji.

Jeśli natrafiamy, na przykład, w prozie czy w poezji na rodzaj wrażliwości zbliżony do naszego, to czujemy się umocnieni w swojej własnej prawdzie. Z kolei odnalezienie w utworach innej wrażliwości niż nasza i odległego nam punktu widzenia, poszerza horyzonty myśli i zwiększa próg dotychczasowej wrażliwości.

Twórczość zmniejsza lęk przed śmiercią, którego doznaje każdy, tyle że w różnym stopniu nasilenia. Wzmaga się on czasem tak dalece, że staje się destruktywny. Tworzenie zmniejsza lęk, bowiem przynosi przeświadczenie o pewnym rodzaju nieśmiertelności. W każdym razie

działa są trwalsze od tych, którzy powołali je do istnienia. Nie tylko, zresztą, dzieła, nawet drobne przedmioty, którymi ktoś posługiwał się za życia. Miałam dziwne uczucie, jakby świętokradztwa, gdy po odejściu ciotki, z którą łączyło mnie wewnętrzne porozumienie, niszczyłam jej uwagi do ról, które przygotowywała i zapiski o datach spotkań z panią Larysą – jedyną wierną jej do końca osobą, jak okrutnie sprawdziła to starość.

Zadaniem literatury i sztuki nie jest ani odtwarzanie rzeczywistości, ani uciekanie od niej. Ma ona pokazać sens człowieczego losu, przyczynić się do pogłębienia wiedzy o sobie i o innych. W nich, jak i w różnych wytworach kulturowych, wyraża się człowiek i powołując je do istnienia, znajduje przeciwwagę dla swoich trudnych stanów wewnętrznych, a nawet ich kompensację. Znajduje także możliwość wyrażania siebie, bowiem niełatwo jest znaleźć kogoś, kto chciałby uważnie współodczuwać i współpójmować nasze stany ducha.

W dziełach kultury odnajdujemy podporę, stały punkt odniesienia dla naszych zmiennych stanów uczuciowych i nastrojów, a poznając je natrafiamy na tęsknoty i nadzieje pozornie zniszczone; stapiamy się nieraz z bohaterami powieści, zyskując przez to utożsamienie zaspokojenie istotnych potrzeb. Film odgrywa w tej dziedzinie decydującą rolę, bowiem wytwarza ułudę niezwykle sugestywną. Znam kogoś, komu przeglądanie albumów z dawnymi fotografiami przynosi radość i pociechę z braku innych dodatknych przeżyć.

Dla każdego z nas – choćby z punktu widzenia zdrowia psychicznego czy więcej: szczęścia – niezbędną jest swoboda w Wyrażaniu uczuć. Tę szczerość uzyskać można najprawdziej w twórczości. Zapewne w najdogodniejszej sytuacji znajduje się aktor, tancerz czy mim, ponieważ może bezpośrednio dać upust tym stanom psychicznym, które, jak nauczo nas, są niewłaściwe, wstydlive, a nawet złe. Może na scenie,

uwolniony od presji rodzinnych, zawodowych i społecznych, dać upust gorszej stronie naszego „ja”; grać, na przykład, kogoś, kto postępuje wbrew ustalonym normom.

Zaspokajanie potrzeb w twórczości bywa niebezpieczne, jeśli wytworzy się w kimś stan zadowolenia się tym iluzorycznym spełnieniem. Ważne, by twórczość – obojętne, własna czy obca – nie prowadziła do bierności wobec życia, by nie stawała się samym życiem. Niespełnione potrzeby bywają potężnym motorem uruchamiającym naszą energię, Ale zaspokojone w zastępczy sposób, na przykład, w poemacie, który staje się ucieleśnieniem tęsknot – dzielą od życia.

Jest wiele przykładów, wskazujących na to, że chęć tworzenia wzmaga się w trudnych chwilach życia. Istnieją przykłady czasowo nam bliższe, niż epoka romantyzmu z nieszczęśliwą miłością Kraszińskiego bądź epoka Kasprowicza.

W świecie twórczości możemy urzeczywistniać pełnię naszych sił kreacyjnych w sposób wolny. Ważne, że nie uwarunkowany inną konkretną osobą. Dzięki temu jest to dziedzina, w której znajduje się szczęście bardziej trwałe, niż w relacjach z kimś innym, gdzie nie od nas zależy siła i wzajemność.

Oczywiście, wiele materiału w twórczości literackiej nie ma charakteru bezpośredniej projekcji osobowości, ale pochodzi z naśladowania pewnych wzorów kulturowych, jak również jest wynikiem ulegania pewnym modom. Ale trzeba zwrócić uwagę, że twórca akceptuje to w kulturze, co odpowiada jego indywidualności i co angażuje jego uczucia i umysł.

Brak miłości, aprobaty, wewnętrznego porozumienia, nie wymagającego wielu słów, tkliwości, współodczuwania naszego wewnętrznego świata przez innego człowieka, doskwiera na tyle, że skłania niejednokrotnie do choćby pozornego zaspokojenia w twórczości.

Oczywiście, tworzy się nie tylko w następstwie braku. Również pełnia i nadmiar domagają się wyrazu. Podobnie z udziałem w odbiorze kultury. Powieściowych romansów, na przykład, nie pochłania ten, kto ma dostatek uczuć w życiu.

Tworząc czy uczestnicząc w świecie kultury w sposób inny – nigdy całkiem bierny – możemy znajdować pewne iluzoryczne namiastki spełnienia oczekiwań. Kultura masowa jest, zresztą, nastawiona na to, by doprowadzać tę iluzoryczność do perfekcji.

W obozach głód prowokował nieraz do opowieści o jedzeniu, o sposobie przyrządzania potraw, o wyszukanych zestawach dań. Było łatwiej. Ale trudno byłoby polecać powszechną zastępczość. Obrazów flamandzkich mistrzów, pełnych bekasów, przepiórek, polci mięsa, nikt sensowny nie poleci jako środka zaspokajającego inne potrzeby niż czysto estetyczne. Munch – odwołując się do kolejnego przykładu – wolałby mieć przy sobie Dagny niż malować obrazy wyrażające ogrom tęsknoty, zazdrości i samotności. Pigmalionowi – ale tylko przecież w mitologii – zdarzyło się, że ożyła Galatea.

Kiedy samemu się nie tworzy zastępczo, wtedy szuka się przynajmniej, też zastępczo, kontaktu z innym przez to, co stworzył. Słuchając dzieł muzycznych stykamy się, być może, w najpełniejszy sposób z twórcą, bo bezpośrednio, nie przez słowa ze wszystkimi możliwościami zniekształceń, jakie one zawierają.

Dziełem naszym jest wszystko, co robimy, łącznie z nami samymi, stwarzanymi przez nasze działania. Jest w tym to, konieczne, bezwzględne i to również, co zastępcze, powstające z braku oczekiwanego odzewu na nas i na to, co czynimy.

XXXIII. WSPÓLNOTOWY SENS

TWÓRCZOŚCI

Rola odbiorcy w doprowadzaniu dzieła do ostatecznego kształtu nie przekreśla prywatnego sensu twórczości. Niejednokrotnie wytwarza się silna więź między odbiorcą a twórcami, więź dla ich większości nieznaną. Wytwarzają się też więzi z twórcami anonimowymi. Ale nie powinno się tworzyć z myślą o zdobyciu odbiorców, bo wtedy ta staranność o wszelkiego odbiorcę prowadzi najczęściej do kiczu.

Twórczość pojęta jako potwierdzenie własnego istnienia – teza głoszona m. in. przez Witkacego, Isadorę Duncan – zawiera w sobie odniesienie do wspólnoty. Sens twórczości psychoterapeutyczny, umacniający, a nawet przywracający zdrowie twórcy, również ujawnia jej sens społeczny. Bowiem zagadnienie zdrowia jednostek nie może być dla społeczeństwa obojętne. Samookreślenie siebie w tym, co się tworzy – poprzez swój szeroki zasięg – staje się zjawiskiem zbiorowym. Poszukiwanie własnego echa w twórczości innych tworzy też więzi międzyludzkie.

Przedmioty artystyczne mają podwójną właściwość. Z punktu widzenia genetycznego są one niepowtarzalne, indywidualne, a zarazem – wobec możliwości różnorodnej aktualizacji w odbiorze – stają się własnością wspólną. Niektóre nurty dzisiejszej sztuki zmierzają do zniesienia tradycyjnego pojęcia dzieła, a to z kolei wzmaga niezbędność czynnego udziału odbiorcy. Może najdobitniej wyraziło się to w happeningu i w konceptualizmie: zakomunikowanie pewnych treści przez twórcę wymaga wspólnoty przeżyć jego i odbiorcy. Nie ma tu miejsca dla reprodukcji czy kopii. Nurty, o których tu mowa, reżyserują pewne zdarzenia, nie wytwarzając przedmiotów artystycznych; korzystają z gotowych przedmiotów. Przykładem naszych dokonań nowatorskich w dziedzinie sztuki jest twórczość Jerzego Beresia, by wymienić tylko

jego *Dzieło życia*, czy antyksiążki Cezarego Staniszewskiego. Właśnie happening i konceptualizm rysują wyraźnie wspólnotowy charakter twórczości.

Poeci, jak Rimbaud, oraz malarze (Breton, Duchamp), rzeźbiarze (na przykład Max Ernst), osadzili twórczość w codziennej rzeczywistości, w tej, do której odwołuje się kultura masowa. Mechanizm *collage'u* – powołanej przez twórców nowej metody wiążącej sztukę z codziennością – znakomicie wyjaśniają następujące słowa Maxa Ernsta: „Realność w stanie gotowym, która na skutek swego naiwnego przeznaczenia sprawia wrażenie czegoś utrwalonego raz na zawsze (parasol), uniknie swego naiwnego losu i oderwie się od swej identyczności, znajdując się nagle w obecności innej realności, bardzo odległej i równie absurdalnej (maszyna do szycia) w miejscu, w którym obie powinny mieć poczucie obcości (na stole operacyjnym): z fałszywego absolutu przejdzie drogę względności do nowego absolutu, prawdziwego i poetyckiego: parasol i maszyna do szycia połączą się w akcie miłosnym”. I dalej: „będzie to skojarzenie dwu realności, pozornie niemożliwych do skojarzenia, na płaszczyźnie pozornie nie sprzyjającej ich porozumieniu” (*Artyści o sztuce*, Warszawa 1969).

Od czasu, kiedy każdy przedmiot może oznaczać dzieło sztuki, odkąd sztuka jest narzędziem, działaniem, a nie celem samym w sobie, kultura elitarna w dziedzinie sztuki zrobiła wielki krok w kierunku kultury masowej. Staje się to jeszcze bardziej wyraziste w sztuce kontekstualnej, która włącza sztukę w rzeczywistość; nie powołuje do życia nowych przedmiotów. Teoretyk tej sztuki u nas, Jan Świdziński, podkreślał, że każdy przedmiot może oznaczać sztukę, gdy, na przykład, zostanie umieszczony na wystawie, gdy zostanie opisany jako dzieło sztuki. Sztuka kontekstualna włącza sztukę w rzeczywistość – inaczej niż z happeningiem, który rzeczywistość włącza w sztukę.

Być może, nasza epoka nie domaga się jednoznacznych kryteriów estetycznych o walorze absolutnym. W każdym razie piękno samo w sobie przestało stanowić orientację twórczości artystycznej, a więc oczekiwaniu piękna powinna sprostać nasza codzienność. Czym więc różnią się twórcy w wąskim, dawnym rozumieniu tego słowa od rzeszy tych, którzy mają się stać artystami zwykłego dnia?

„Pragnienie celne – pisze Kierkegaard – oto wielka sztuka, a raczej dar. Na tym polega właśnie niewytłumaczalność i tajemniczość geniuszu, że na podobieństwo różdżki odkrywającej źródła utajone, tylko tam «pragnie», gdzie obiekt «pragnienia» istnieje też rzeczywiście. Pragnienie ma więc o wiele głębszy sens niż ten, który mu się zwykle przypisuje: abstrakcyjnemu intelektowi wydaje się ono śmieszne, bo widzi w tym jedynie objaw zewnętrznego niedostatku, nie zaś wewnętrznego bogactwa”.

Jeśli poszukiwać uparcie kryterium oceny – stosowalnego do dzisiejszej różnorodnej twórczości artystycznej – to za sprawdzian jej wartości można by przyjąć bezinteresowną przyjemność, którą daje obcowanie z wynikami tej działalności. Przyjemność ta ma charakter relatywny, subiektywny oraz indywidualny. I w związku z tym lista arcydzieł – jeśli sporządzona została przez kogoś szczerze, jak choćby przez Tadeusza Bairda – z reguły różni się od oficjalnej, autorstwa krytyków i znawców profesjonalnych. Przy czym dotyczy to twórczości artystycznej w przeszłości i we współczesności.

Były ruchy, które swój wspólnotowy sens twórczości chciałyby zaczynać od zniszczenia dotychczasowych przyzwyczajęń, ocen i skali wartości, nieraz wraz z dziełami. Ruch dadaistyczny i wywodzący się z niego surrealizm były przejawami i takiego buntu jednostki wobec zastanej kultury społeczeństwa. Ich znaczenie wybiegło daleko poza literaturę i sztukę. Ruch ten pragnął wyzwolić jednostkę z wszelkich pęt,

łącznie z niewolą jej własnego umysłu i ciężarem tradycji kulturowej.

Całokształt twórczości jednostek jednej narodowości wykazuje cechy wspólnotowe. Jest to pewna całość, oparta o jednolite związki genetyczne. Wspólnota jako swoją uznaje nieraz twórczość powstałą w innej wspólnotcie, gdy jest odbierana i przeżywana przez ogół narodu. Można mówić o narodowym, w sensie odbioru, znamieniu twórczości; Don Kichot jest polski w sensie powszechnego oddźwięku u nas, mimo genetycznie hiszpańskich cech twórczości Cervantesa. I w ten sposób pewne wartości narodowe stają się uniwersalne. Poszerza się wspólnotowy sens kultury.

Współcześnie wspólnotowy charakter twórczości dochodzi wyraźnie do głosu też i w kulturze masowej. Poprzednim stuleciom nie była ona znana, bowiem zrodziła się wraz z powstaniem środków masowego przekazu. Była inna niż obecnie, gdy dysponowała tylko prasą i radiem. Kultura ta nie powstaje samorzutnie, lecz tworzą ją fachowcy i decyduje o niej przeciętny smak odbiorcy. Niektórzy proponują nazywać ją „kulturą popularną”, ale popularne mogą stawać się w społeczeństwie również elementy kultury wyższej. Kultura masowa może propagować wzorce moralne, może podnosić poziom wiedzy społeczeństwa, ale zawiera zarazem niebezpieczeństwo w sobie. Łatwość włączenia telewizora sprawia, że dzięki tej kulturze zaspokajają się w sposób iluzoryczny, na przykład, potrzebę bycia kimś innym niż się jest w istocie. Na przykład, potrzeba poczucia bezpieczeństwa, brak ojca w życiu własnym, prowadzą do powodzenia filmów z Jeanem Gabinem czy *Ojca chrzestnego*, jak wykazały to badania.

Trudno w naszych czasach znaleźć duże obszary odznaczające się monizmem kulturowym – i to mimo narastającego wpływu folkloru międzynarodowego, który narzuca wzorce powszechnego stosowania. Między niezgodnymi kulturami tworzonymi na określonym obszarze

ustalają się następujące możliwe stosunki: segregacja, praktyczne współdziałanie wraz z powstrzymaniem się od teoretycznych sporów, wzajemna absorbcja, dialog i wreszcie, bywa, że tworzy się podziemny nurt kultury – tej, źle oficjalnie widzianej.

Różnorodność wątków i tendencji kulturowych ułatwia proces odnajdywania siebie, trudniejszy w warunkach przymusowego ciśnienia jednej tendencji kulturowej. Dzięki temu nie stajemy się Craigowskimi marionetkami, kukłami zniewolonymi kulturą wspólnoty.

XXXIV. MIEJSCE ODNIESIENIA

Nawet postawa niezależności, buntu, świadomie wyznawany indywidualizm wraz z nieustannym przewartościowywaniem tego, co niesie ze sobą tradycja, nie mogą nikogo pozostawić poza oddziaływaniem środowiska. Na każdego z nas wpływa społeczność rodzinna, szkolna, zawodowa, studencka, towarzyska, regionalna, narodowa.

Region pojmowany w sensie nie tylko geograficznym, lecz również społeczno-zawodowo-kulturowym, narzuca nam pewne treści, wobec których dokonujemy samookreślenia. Na regionalizm jesteśmy skazani choćby w sensie tradycji, obyczajów, klimatu, krajobrazu. Występuje to nawet wtedy, gdy ogłaszamy innym, że czujemy się Europejczykami bądź też kosmopolitami i manifestujemy wolność od jakiegokolwiek zakorzenienia w określonym miejscu i tradycji. Twórczość Gombrowicza jest znakomitą świadectwem tego, że chęć wyjścia poza własny regionalizm musi się kończyć fiaskiem. Ale zniewolenie nim nie przesądza o niemożności nadania regionalizmowi wyrazu uniwersalnego. To również ilustruje pisarstwo Gombrowicza.

Regionalizmu nie należy pojmować jako siły fatalnej, ciężącej na

jednostce, bowiem możliwy jest regionalizm z wyboru – nie tylko z urodzenia. Nabokow stał się – mimo swej silnej, zdawałoby się, więzi z kulturą rodzimą, rosyjską – jednym z najbardziej amerykańskich pisarzy w sensie nowatorstwa. Przykłady potężnego wpływu regionalizmu z wyboru na twórczość to Tatry Karłowicza, czy Nałęczów Żeromskiego. Pozostaje się zawsze elementem jakiejś mikrospołeczności i od tak rozumianego regionalizmu nie ma ucieczki. Twórczość Tadeusza Kantora, poszukującego wartości absolutnych, jest przykładem tego, że wartości uniwersalne trzeba zawsze przełożyć na język konkretny, a najbliższy temu twórcy jest świat jego regionu z czasów dzieciństwa.

Region może istnieć bez twórcy, ale nigdy twórca bez regionu. Ta myśl o konieczności związania artysty z jakąś glebą przenika wiersz Jana Stępnia pt. *Bez korzeni*.

„bezdomny poeta jest jak wygłodniały ptak co nie zna smaku gniazda... „

Zdaniem K. L. Konińskiego, naród jest tym konkretnym obszarem, w którym urzeczywistnić można wartości ogólnoludzkie. Zaś wszelkie wartości, z narodem włącznie, mają tę właściwość, że trzeba je nieustannie tworzyć, dawać im wyraz we własnym życiu. Inaczej stają się pustym dźwiękiem.

Poczucie patriotyzmu przybiera zazwyczaj postać sentymentu o charakterze zlokalizowanym. Na marginesie pragnę dodać, że czas już, by prowincjonalizm przestał funkcjonować jako określenie ujemne. Jego pochwałę głosi pięknie Aleksander Zaczyński. Jeżeli warunki zmuszają do emigracji, to wraca się wspomnieniami do miejsc, w których się mieszkało, w których spędziło się dzieciństwo.

Lokalizm i regionalizm zastępują na co dzień poczucie łączności z

całym narodem. Jakże silne są jeszcze w Polsce pozostałości różnic dzielnicowych. Wstrząs spowodowany wojną czy okupacją kraju wyzwala i uświadamia uczucie szersze, narodowe, które w swej krańcowej postaci mogą przybrać postać nacjonalizmu.

Problem emigracji jest szczególnie trudny dla tych krajów, których losy dalekie są od spokojnego biegu dziejów. Czymś nieporównalnym jest bowiem emigracja zarobkowa, z której można powrócić, a czymś jakościowo odmiennym emigracja z przyczyn ideowych, wtedy gdy w grę wchodzi zasada ostateczna. Mickiewicz, Słowacki, Chopin to przykłady takich wyborów i zarazem najgłębszych rozterek. Przy czym niezmiennie żywotne pozostaje pytanie, czy wolno jednostce osłabiać naród trwający w niedogodnych i uciążliwych warunkach i podejmować działania poza granicami? Bo, może, właśnie ci, którzy widzą dalej i czują głębiej powinni zostać?

Polemika na ten temat była szczególnie ostra u nas przed I wojną światową. Prus i Orzeszkowa ostro potępiali osłabianie narodu w drodze emigrowania jednostek prężnych i wartościowych, natomiast odmienne stanowisko zajmował filozof, zmarły po ostatniej wojnie, Wincenty Lutosławski. Pisał on w 1911 roku: „Jeśli nasi najzdolniejsi ludzie odpłyną za morze, to wzmocnią oni tam narodowy byt rodaków, a my nic nie stracimy, bo u nas potrzebni nie najzdolniejsi, ale najcierpliwi, najwytrzymalsi”. I w innym miejscu: „Wstręt do emigracji jest pozostałością dawnych czasów, kiedy pojęcie narodowości bardzo ściśle wiązało się z pojęciem państwa, a każda narodowość tylko w jednym państwie istniała” (*Iskierki warszawskie*).

Tadeusz Dzieduszycki, współczesny myśliciel, zwraca natomiast uwagę na to, że emigracje dziś, podobnie jak dawniej, są kolebką potężnych prądów idei i czynu. „Tylko pięćdziesiąt głów otaczających Lenina wystarczyło, by na skali dynamiki historycznej uzyskać szczebel

najwyższy, stworzyć wulkan energii rozsadzający świat cały, wyrrywający go z łożysk odwiecznych. Grupka emigrantów najuboższa w siły ilościowe – zapoczątkowała nieodwracalny w skutkach prąd... „ (*PAX Plenitudinis*). I nie jest wykluczone – jak wynika z wywodów historiozoficznych T. Dzieduszyckiego – że znów kiedyś jakaś emigracja stanie się punktem wyjścia nowego prądu.

Trudno o jednoznaczne rozstrzygnięcie zagadnienia, czy należy przenosić się z regionu, w którym zapaściło się korzenie; regionu pojętego również jako ojczyzna. Zależy to od struktury psychicznej jednostki podejmującej decyzję. I nie od rzeczy będzie tu przypomnienie, że nieraz dopiero cierpienia nostalgii uruchamiają dodatkowe siły twórcze. Tadeusz Kantor, na przykład, w udzielanych wywiadach i pośrednio w swojej sztuce głosi „powrót do swego miejsca”. „Bo dla mnie dzieło sztuki to jest powrót. Nie mówię ojczyzna, tylko dzieciństwo. Każde dzieło sztuki jest powrotem. Powrotem do czasu dzieciństwa, czyli do swojego kraju, do swego miejsca. Dlatego nazwałem swoją sztukę *Wielopole*, mimo iż zdawałem sobie sprawę, że to nie będzie może popularne. I o dziwo, mała dziura gdzieś nad Wisłoką nagle stała się znana na całym świecie”. („Antena” 1982 nr 22).

Decyzja wyjazdu z ziemi rodzinnej – powracająca w literaturze, zwłaszcza poezji, w przeżyciach nostalgii – znamionuje zazwyczaj tych, którzy nie mogą pogodzić się z postawami kompromisu i pozostać w ojczyźnie. Kościuszko czy Pułaski, gdyby pozostali, skazaliby się na więzienie bądź śmierć. Ci, którzy muszą być tułaczami przechowują w sobie, mówiąc słowami, cytowanego już wyżej Lutosławskiego „... najczystszy ogień polskości – im przecie zawdzięczamy największe arcydzieła naszego ducha”. To, co nas łączy z narodem najlepiej poznaje się wśród obcych.

Być może, bardziej jesteśmy otwarci na problemy kultury

poszczególnych krajów, niż one wzajemnie na siebie i, być może dlatego sprzyjamy tendencjom krystalizowania się kultury uniwersalnej. Zastanawiając się nad tym, czy istnieją cechy typowe dla Polaków, jeden ze współczesnych publicystów, Wojciech Janicki, wskazał właśnie na szczególne zdolności asymilacyjne kultury polskiej.

„My Polacy – zwraca uwagę Przybyszewski w *Szlakach duszy polskiej* – mocą niesłychanej pojemności duszy naszej, jesteśmy w stanie objąć i zrozumieć i przeżyć nawet kultury całego świata – naszej odrębnej, narodowej kultury, mimo że stoi na takiej wyżynie jak żadna inna odrębna i specyficznie narodowa kultura, żaden inny naród nie zrozumie ani nie odczuje, prócz pobratymczych narodów słowiańskich”.

Jednostki wywodzące się z tego samego regionu – w węższym czy szerszym znaczeniu tego słowa – odczuwają więzi, które wytwarza nie tylko wspólne im poczucie kulturowe, ale i uwarunkowania geograficzne. Te ostatnie mają jednak wpływ na zachowanie człowieka, zwyczaje, a także sposób myślenia, chociaż nie zawsze uświadomiony. Bywały prowadzone badania na temat związku między charakterem człowieka a otoczeniem geograficznym, z klimatem łącznie. Ale chociaż wyrazista jest odmienność pod wieloma względami, na przykład, ludzi północy i ludzi południa, to raczej odwoływać się tu można do intuicyjnej wiedzy, niż do ustaleń naukowych.

I na zakończenie tych nie zamkniętych rozważań – pewne wspomnienie, które zilustruje patriotyzm jako przeżycie o charakterze regionalno-przestrzennym. Otóż przeżyłam głębokie wzruszenie, chodząc kiedyś między grobami na Monte Cassino. Rzeczywiście – musiałam to sprawdzić – rosną tam czerwone maki. W lipcu jest duszno, nie ma czym oddychać. Słyszałem tylko cykady. I oto wracając z tych przeżyć do świata współczesnego, spotykam po drodze wielu Niemców tu również zdążających. Zdumienie. Czyżby sprowadzało ich w tę okolicę poczucie

winy? Wydawało mi się, że ten teren jest na wskroś tylko z Polską sprzęgnięty. Dopiero potem objaśniono mi, że oni też mają tu swój cmentarz. Nie mniejszy od naszego. Ucieczka przed śmiercią w złudne przekonanie o wiecznotrwałości jest tym rodzajem fałszu, który – moim zdaniem – każdy powinien kultywować. To twierdzenie jest przeciwne słusznej zasadzie, głoszącej niezbędną prawdę dla życia choćby miała ona drogę wszystkich kosztować. Ibsen wyraził po mistrzowsku ten problem prawdy i zilustrował jego przełamania w rozmaitych typach ludzkich. Holderlin wprawdzie jest odmiennego zdania: „Śmierci mogą się lękać ubodzy duchem, ci którzy niczego nie znają prócz swej mizernej partaniny, co służą tylko zaspokajaniu swych potrzeb i gardzą Geniuszem, i nie szanują Ciebie, o proste życie Natury, oni mogą się obawiać śmierci. Ich jarzmo stało się ich światem, nie znają nic lepszego ponad swą wyrobniczą służbę, przeraża ich boska wolność, jaką nam niesie śmierć” (*Pod brzemieniem mego losu*).

Jednakże, wnosi spustoszenie do naszego istnienia myśl o śmierci, o tym, że nie pozostanie po nas ślad na ziemi. Zresztą, nawet tego, kto ma naturę twórcy, nie mogą ratować przed grozą własnego przemijania obrazy pozostawionych dzieł. Wnikanie w sens naszego życia i zmagania z punktu widzenia tej perspektywy działa zupełnie demobilizująco. Niewiadoma, która nas czeka, z której nikt nie powrócił, napawa przerażeniem. Radbruch w zwięzły sposób wyraża to przerażenie, bezsens naszych usiłowań (zob. rozdz. *Wiara*). Można odczytać intencje tych, co pragną mordów zbiorowych pozornie w imię wyższych wartości, jako ucieczki w umieranie pospołu. Śmierć przenika nas i stanowi nieustanną groźbę. Odczytuje się ją w samym upływie czasu.

Każdy spotyka się ze śmiercią samotnie, mimo że dotyczy ona każdego. „Moim największym pragnieniem – wyznaje w książce *W sile wieku* Simone de Beauvoir – było umrzeć razem z kimś kochanym; ale

choćbyśmy leżeli trup przy trupie, będzie to tylko iluzja: między niczym i niczym nie ma więzi”. Nieobecność jest przeciwieństwem poprzedniej obecności ludzi w świecie. A jednak świat się nie zmienia, gdy ktoś odchodzi; pozostaje nadal „pełny”. Czas naszego życia przedłuża się w formie istnienia w pamięci bliskich i tych, co nas tylko znali. Nawet można się utrwalić w pamięci nieznanego przechodnia.

Pozornie każdy z nas ma świadomość konieczności śmierci własnej i innych, a jednak postępujemy tak, jak gdyby nie chciało się tego wyraźnie wiedzieć. Tę niepokojącą myśl odsuwa się w zakamarki świadomości, udając przed sobą, że życie nie jest kruche. Dzieje się tak nawet wtedy, gdy od zarania życia komuś wykrusza się krąg bliskich i najbliższych stanowiący dla każdego coś w rodzaju oazy. Takiej perspektywy nie chce się do siebie dopuszczać i to może źle, bo ona dopiero potrafi wyrwać ze ślamazarności w naszym stosunku do bliskich.

Trudno pogodzić się, gdy ktoś odchodzi. Trudno również godzić się z tym, że świat po takim dramatycznym fakcie nie zmienia się, że zatarte zostaje szybko miejsce tego, który niedawno odszedł. Że ludzie dookoła, nieświadomi śmierci, zajmują się sprawami nieważnymi. I wywołuje wzburzenie fakt, że za życia szczędzi się słów i ocen, które by mogły rozświetlić istnienie. Są one wypowiedane najczęściej dopiero na pogrzebie. Ta prawidłowość, którą wszak można i należy przewyciężyć, wyraża się nie tylko w stosunku do twórców.

W życiu rodzinnym, pełnym zazwyczaj konfliktów, choćby drobnych, wypowiada się często słowa wzajemnie krytyczne oraz przesycone żalem i pretensjami. Dopiero po śmierci głosi się szacunek i akceptację, która za życia bywa niezbędna, ale rzadko spotykana. Po śmierci ci, którzy odeszli, jawią się kolejnemu pokoleniu jako wzory do naśladowania i trwożliwie zaciera się ślady, jakie mogłyby ich – w ocenie potomnych – odbrać z życia.

Zjawisko doceniania dopiero po śmierci w całej jaskrawości

manifestuje się w świecie twórców. Krytyka wobec żywych, oceny dokonywane przez artystów względem siebie, była i jest na ogół bardzo nietolerancyjna. Brzozowski nie uznawał pisarstwa Weysenhoffa, ten ostatni – Wyspiańskiego, Wyspiański – Sienkiewicza. Mickiewicz – Słowackiego, Salieri niszczył Mozarta, Jorge Luis Borges i Gombrowicz wzajemnie się nie tolerowali itp. Bywa, rzadziej, odwrotnie. Przybyszewski budował swymi publikacjami wielkość Kasprówicza, a wcześniej rozślawił malarstwo Muncha i rzeźby Vigelanda. Często u podłoża ostrej krytyki czai się zawiść. Ostry sąd o artyście może też stać się dla krytyków kompensatą świadomości braku talentu.

Odrzucenie przez współczesnych może być wywołane nie nazbyt małą wartością dzieła, lecz nadmierną oryginalnością. Ale dlaczego umiemy jednak podziwiać nowatorów po śmierci?

Dramat twórcy wyraża się zazwyczaj w rozdźwięku między jego poświęceniem i oddaniem się sprawie a brakiem należytego odzewu. Zazwyczaj ta sytuacja przełamuje się, gdy twórca odchodzi na zawsze. Pełne wydania dorobku najczęściej są wydaniem pośmiertnymi. Na przykład, utworów Edwarda Stachury.

Po śmierci Rafała Wojaczka pojawiły się nekrologi, w których była mowa o nim jako o jednym z najzdolniejszych poetów młodego pokolenia, a jego śmierć uznano za dużą stratę dla polskiej literatury. Znamienne, że te gazety nie opublikowały o nim za życia ani jednego słowa. Oto dzisiejszy przykład mogiłnictwa. Legenda rosła, ale żeby mogła się narodzić – poeta musiał popełnić samobójstwo.

Pirron, Grek, filozof z czasów starożytności, przejawiał nie mniejszą niż Sokrates konsekwencję, jeśli idzie o zgodność myśli, słów i czynów. Był też człowiekiem nie mniej szlachetnym. A jednak nie pobudził wyobraźni pisarzy i nie jego życie, lecz Sokratesa jest wciąż na nowo podejmowanym tematem literackim: Sokrates nie umarł śmiercią

naturalną.

I ci, których życie jest wyznaczone czasami wojen i okupacji, nie mogą przywyknąć do kruchości ludzkiego istnienia. Nawet wtedy, gdy umieranie bliskich i najbliższych tworzy koloryt dzieciństwa. Absurdalny z człowieczej perspektywy kres istnienia budzi bezsilny bunt. Śmierć rówieśników czy ludzi sądziwych jest wstrząsem. Świat każdego z nas tworzony jest przez krąg oddanych i bliskich osób; odejście kogoś z nich przynosi pustkę nie do zapełnienia.

Wielu z tych, których nazwiska dziś wypowiada się z szacunkiem, umierało w zapomnieniu i opuszczeniu. Lista byłaby zbyt długa, ażeby ją tutaj przywoływać. Niechęć tajona wobec jednostek wyróżniających się ponad przeciętność zapewne również (wśród innych przyczyn) decyduje o tej swoistej prawidłowości. Fakt odmienności, zamiast wzbudzać ciekawość i uznanie, rodzi agresję.

Dorobek wielu jednostek wykracza znacznie poza ich profesjonalny awans. O wielu dopiero po śmierci można usłyszeć słowa pochwały. Pośmiertne rehabilitacje i ordery nie są zdarzeniami rzadkimi. Czy rzeczywiście musimy pomniejszać wartość innych jednostek czy nawet narodów, aby czuć zadowolenie z siebie? Czy musimy deprecjonować wartość czegoś dlatego, że jeszcze nie zostało uznane powszechnie? Dlaczego brak samodzielności w osądzie? Czy wciąż mamy wyrzucać za drzwi Martina Edena? Czy musimy wciąż uprawiać mogilnictwo?

Bywa gorzej. Uznając często talent i wielkość dopiero wtedy, gdy ktoś odejdzie, uprawiając więc mogilnictwo, nawet i tego poskapiliśmy, na przykład, Przybyszewskiemu, którego znaczenie zostało już docenione w innych krajach. A więc nawet duma narodowa nie przewycięży niechęci narosłej wokół niepospolitego twórcy. Narosłym u nas i utrwalonym opiniom starają się przeciwstawić zaledwie jednostki. Zwykliśmy z opóźnieniem uznawać tych rodaków, których talent zyskał rozgłos

za granicą. W odniesieniu do Przybyszewskiego zawodzi jednak i to. Tymczasem jego nazwisko należy do znanych w świecie nie gorzej niż Sienkiewicza.

Mody literackie przemijają. Interesujące byłoby zbadanie procesów kreowania na wielkich pisarzy, jak również motywów skazywania dzieł i pisarzy na opinię o ich drugorzędności. Rozbieżne oceny twórczości Przybyszewskiego znalazłyby, może, interesujące uzasadnienie. Niepodobna bowiem niechęci narosłej wokół tego pisarza wyjaśniać jedynie nieznaną mu twórczością i tym, co pisał o nim Boy, którego ośmieszające opinie utrwaliły się, a u ich podłoża leżało wszak uczucie tego wybitnego tłumacza literatury francuskiej do żony Przybyszewskiego, Dagny. Przy czym nie wybaczone Przybyszewskiemu zdarzeń, które – analogicznie – nie stanęły na przeszkodzie temu, by Żeromskiego przedstawić w podręcznikach jako pisarza-Polaka godnego czci. Przybyszewski przynajmniej nie zmienił wiary z motywów osobistych.

Przy ujawniającej się nieraz naszej narodowej megalomanii mamy niezmiennie skłonności do niedoceniań, a czasem wręcz deprecjonowania tego, co stanowi wykwit polskiej myśli, zwłaszcza filozoficznej. Paradoxem jest fakt, że dla przeciętnego Polaka znaczą coś nazwiska Platona czy Kanta, natomiast na ogół nie kojarzą się z niczym nazwiska Cieszkowskiego, Lutosławskiego czy Hoene Wrońskiego.

O mogiłnictwie w Polsce, o tym, że umiemy cenić rodaków dopiero, gdy odejdą, pisano już u nas wiele, również i w okresie między dwiema wojnami światowymi. Ale wciąż nie wyjaśniony pozostaje fakt, dlaczego ta prawidłowość zawodzi w stosunku do polskich filozofów? W tym pytaniu wyraża się, zresztą, spora doza niepokoju, bo trudno nie zadać sobie pytania: dla kogo się pisze? W zamiarze – dla ogółu, a w istocie dla stu, dla trzystu? Jedno z najpoważniejszych naszych pism filozoficznych jest wydawane w nakładzie 500 egzemplarzy i nie jest to nakład zbyt

niski. Takie problemy, dotyczące odbioru rezultatów procesów twórczych, dręczą malarza, poetę czy filozofa, ale nie ma ich, na przykład, dzisiejszy piosenkarz, choćby tekst był banalny. A kto zna polską filozofię? Czy zarys jej historii jest podawany w klasach maturalnych?

W przeciwieństwie do większości utworów literackich dzieła sztuki nie tracą na aktualności. Z biegiem czasu nabierają wartości i widz może z nich wyczytać nawet więcej, niż współcześni twórcom. Także przedmioty codziennego użytku sprzed wieków, broń, stroje, zabytki architektury, nabierają z czasem wartości dzieł sztuki. Dzieje się to dopiero z bardziej odległej perspektywy, bo przecież, na przykład, w imię zasad klasycyzmu tępiło swego czasu zabytki średniowiecza, potem w imię kolejnych zasad – barokowe dzieła sztuki itd. Można zaryzykować twierdzenie, że niszczenie dzieł sztuki zachodzi zawsze w imię jakichś „wartości wyższych”.

Życie to znaczy być czynnym i mieć nadzieję, że prawidłowość postawy mogiłnictwa będzie nam przychylna.

Wyrażając sąd o czyjejś twórczości, kreując twórcę na wybitnego, zachowujemy się tak, i to nie od dziś, jakby obiektywnie w jego dziele tkwiło owo znamię wielkości – a my pozostawalibyśmy biernymi świadkami tego, wziętymi jakby przez tę twórczość w niewolę. Zapomina się często, że oceny mają charakter subiektywno-obiektywny i że w sferze wartości estetycznych godzimy się na to, by uznawać oceny grona znawców za powszechnie obowiązujące. Boimy się wyłamać z tej konwencji w lęku, że wydamy się otoczeniu nie dość „na poziomie”. Często za to po cichu pochłaniamy literaturę drugorzędną, publicznie przyznając wartość najwyższą tej uznanej za wielką, przy czym wcale nie musimy jej ani znać, ani cenić.

XXXVI. FILOZOFIA CODZIENNOŚCI

Przeglądając karty, które zapisałam, raz jeszcze zastanawiam się, czym powinna być w założeniach filozofia codzienności – określenie owo nasuwa się jako zbiorcza nazwa tego, co zawarte w tej książce. Nie może być filozofia codzienności zbiorem wskazań w konkretnych sytuacjach życiowych ani też kompendium wiedzy o niepokojach człowieka. I to nie tylko dlatego, że każda z sytuacji jest inna, o innym rozkładzie elementów i uwarunkowań, że inni są ludzie objęci tymi sytuacjami i inne w nich nawarstwienia. Filozofia – niezależnie od tego, czy jest to dział nazywany teorią poznania, filozofią przyrody, etyką czy metafizyką – z istoty swej ma charakter ogólny i powszechny. A rzeczą zainteresowanych, także w przypadku filozofii codzienności, jest przeniesienie i zastosowanie ogólnych stwierdzeń do tego, co zindywidualizowane i rozwijające się.

Filozofia codzienności, którą pragnęłabym powołać tą książką, musi zrezygnować z postawy wyższości wobec doświadczenia potocznego. Jeżeli w pierwszej chwili wydaje się, że filozofia oraz codzienność są pojęciami nieprzylegającymi, to dlatego, iż utarło się mylne rozumienie filozofii jako wiedzy odległej od rzeczywistości. Potrzeba praktycznego korzystania z filozofii wiąże się ściśle z niepokojami codzienności, wobec których jesteśmy często nieporadni. I dlatego wydaje się potrzebna filozofia codzienności. Naturalnie, niniejszą książkę należy traktować jako zarys tej dziedziny, a nie jako jej zamknięty wykład.

Wbrew pozorom, zakres oddziaływania filozofii poszerza się. Wciąż nowe obszary stają się przedmiotem jej dociekań. I w tym sensie filozofia się rozrasta, choć dociekania wszelkich jej działów dotyczą tego, co istnieje. Przykładem młodego działu filozofii może być filozofia uniwersytetu, ale ze swej natury nie odnosi się ona, przynajmniej wprost,

do wszystkich.

Filozofia codzienności, między innymi, pozwoli uwyraźnić, że cywilizacja dostatku dóbr materialnych błędnie jest kojarzona z czasem szczęśliwości. Żeby być szczęśliwym, poza innymi warunkami (subiektywnymi i zróżnicowanymi indywidualnie), niezbędny jest kontakt z drugim człowiekiem, a nie z rzeczami.

Filozofia codzienności powinna pomóc w wyzwaniu się z nieprawidłowych opinii funkcjonujących w społeczeństwie i z wadliwej hierarchii wartości; sam fakt naszego istnienia wskazuje ona jako dobro najwyższe. Uczy żyć zgodnie z powinnościami i przeżywać radość właśnie z tego powodu. Zwłaszcza spojrzenie przez pryzmat czekającego kiedyś kresu – wzmacnia to poczucie. Niestety, rzadko o tym myślimy, bowiem uwierzyć można w każdą śmierć z wyjątkiem własnej. Być szczęśliwym dlatego tylko, że się istnieje, to podpora w chwilach niepowodzeń, załamań. W istnieniu tkwi nadzieja.

Filozofia codzienności chce przywrócić na wyższym, świadomym poziomie radość, którą ma w sobie dziecko. Uczy ona cieszyć się własnym istnieniem w świecie. Przy tym nikogo nie pomija, bowiem każdy z nas jest podmiotem i przedmiotem codzienności. A ponadto, skoro pozwala lepiej uświadamiać sobie rozpiętość między „ja” urzeczywistnionym i „ja” pożądanym – mobilizuje tym samym do prowadzenia sensownego życia.

Filozofia codzienności przewycięża jednostronne naświetlenie problemu człowieka, leży bowiem na pograniczu filozofii kultury, psychologii człowieka, socjologii, filozofii prawa, filozofii człowieka. Pewne, niemal uniwersalne, prawdy o człowieku, trwalsze od zmieniających się epok, przekładane zostają przez filozofię codzienności na język bardziej konkretny. Wyciąga ona wnioski ze współczesnego obrazu człowieka.

Filozofia codzienności musi uwzględniać wiedzę o rzeczywistości. Człowiek jest elementem kosmosu, co się czasem pomija w rozważaniach teoretycznych i w praktycznych wskazaniach.

Charakterystyczna dla filozofii codzienności jest tendencja do wpływania na kształt rzeczywistości tworzonej przez człowieka. Ma na celu formowanie pewnych właściwości w jednostkach, które w istotny sposób ważą na stosunkach między ludźmi. Operując środkami wielorakimi, bo sięgającymi do sztuki, literatury, poezji, jest zdolna przemawiać nie tylko do umysłu, lecz również do wrażliwości, uczuć oraz intuicji i potęgować każdą z tych zdolności stykania się z codziennością.

Filozofia codzienności – tak jak widzę jej rozwój – powinna być także sumą szczerých refleksji i wyrażać to, co w nas umyka możliwości zracjonalizowania. Język filozoficzny powinien zostać dopełniony w niej przez język sztuki, poezji, literatury.

Filozofia codzienności ma możliwość docierania do tych pozaintelektualnych pokładów struktury psychicznej, które kierują w daleko większej mierze naszymi poczynaniami niż raczej „czysto” rozumowe.

Filozofia codzienności ma na celu ujawniać to, co zwykle się przemilczać; ma docierać w głąb struktury psychicznej człowieka, by wzmocnić samoświadomość. Nie tylko ma wzmacniać wiarę w możliwość stwarzania świata na miarę oczekiwań i wyobraźni człowieka, ale również koncentrować w sobie prawdy o człowieku w ogóle.

Filozofia codzienności – jak staram się tu przedstawić – powinna być uprawiana w sposób uwzględniający harmonijnie intelektualne oraz emocjonalne zetknięcie ze światem. Podstawowe problemy filozoficzne nie znajdują jednego, ostatecznego rozwiązania. Co więcej, poza kolejnymi próbami ich wyjaśniania w filozofii – są podejmowane próby rozstrzygnięć w formie religijnych symboli czy artystycznych

wypowiedzi.

Filozofia codzienności ma na celu ujawnienie wielowarstwowej relacji, która nas wiąże z tym wszystkim, co zewnętrzne. Można by określić tę relację mianem polifonicznej. Przybiera ona harmonijny wyraz zwłaszcza wtedy, gdy ktoś łączy w sobie naturę artysty z naturą intelektualisty. Nie zdarza się to często. Ze znanych postaci wymienię, przykładowo, Chwistka – malarza i filozofa, Brauna – filozofa i poetę, Wyspiańskiego – dramaturga i malarza, czy z dawnych epok – Leonarda da Vinci, zdumiewającego swoją wielostronnością.

Filozofia codzienności zawiera pewne uogólnienia osadzone w warstwie psychicznej człowieka, w tym, co względnie stałe, mimo wszelkich różnic rasowych, nanarodowych, kulturowych, jak również mimo pewnej zmienności w czasie. Zawiera też pewne uogólnienia, mówiące o stanach nieprzekazywalnych bez reszty w języku czysto pojęciowym. W znacznym stopniu, dzięki językowi literatury i sztuki, są wyrażalne następujące problemy: człowiek wobec własnego istnienia oraz człowiek wobec innego człowieka. Do takich dwóch podstawowych relacji dadzą się sprowadzić zagadnienia: człowiek a kultura, człowiek w rodzinie i w innych grupach społecznych, człowiek wobec ideału własnej osoby, człowiek – Absolut, człowiek a dobra materialne. Każda z relacji sprowadza się ostatecznie do oddziaływania człowiek – człowiek. Nawet wtedy, gdy obcujemy z dziełem sztuki czy literatury, spotykamy się z jego twórcą. Występuje w tym zarówno stymulacja biologiczna, jak i przede wszystkim psychiczna.

I tę relację należy rozważyć, biorąc pod uwagę, że każdy z nas jest istotą z pogranicza dwóch światów: świata przyrody i świata artefaktów, a więc przez nas stwarzanego.

Filozofia codzienności najściślej wiąże się z filozofią człowieka. Jej zadaniem jest wielostronne widzenie człowieka, bowiem ma uwzględnić

zarazem praktyczny oraz teoretyczny punkt widzenia. Stanowi łącznik między tym, co jest a zakresem spraw w sferze powinności.

Za najbardziej charakterystyczne znamię człowieka filozofia codzienności uznaje dążenie do odkrycia wewnętrznej prawdy i zarazem usiłowanie jej urealnienia. Do tego celu każdy z nas może jednakże przybliżyć się tylko asymptotycznie. A więc to, co ostatecznie w pełni nieosiągalne, to, co wyrasta poza naszą wymierną codzienność – aczkolwiek w niej osadzone – jest wyznacznikiem i celem.

Osiągalny stopień bliskości psychicznej dwóch osób – to milczące motto niniejszej książki. Rozdziały o szczerości, aprobacie, przyjaźni, miłości, stosunku do ludzi sędziwych, o twórczości – są uszczegółowieniem tego. Przeszkodą w wzajemnym zbliżaniu się jednostek jest wychowanie pomniejszające znaczenie przeżyć i wyolbrzymiające nauczanie nakierowane na kształtowanie umysłu, nie zaś charakteru.

Zarysowana tu filozofia codzienności – opierająca się na przemyśleniach oraz przeżyciach i wrażeniach własnych, jak również na obserwacji – przyjmuje jako punkt wyjścia zdolność człowieka do przekształceń wewnętrznych, aż do wykraczania poza siebie urzeczywistnionego „tu i teraz”.

XXXVII. POSŁOWIE

Konstrukcja tej książki wyodrębnia pewne problemy jako w miarę oddzielne całości, jakkolwiek łącznie mają obejmować też określony obszar: zarys filozofii codzienności. Zawarta jest w niej kolejna próba odpowiedzi na pytania o sens życia, o relacje łączące nas z innymi ludźmi, a w tym również z przeszłymi pokoleniami, i odwrotnie – czego spodziewamy się od najbliższego otoczenia, czy rozum, czy też

sfera uczuciowa oraz intuicyjna dominują w nas oraz jak wzbogacać codzienność. Oddzielnie zostały omówione pewne stany psychiki człowieka, mające znaczenie w życiu codziennym. W kilku rozdziałach sprawa zetknięcia człowieka z człowiekiem została przedstawiona jako kontakt za pośrednictwem tworców kultury. Całość przenika myśl przewodnia: poszukiwanie siebie prawdziwego, własnego oblicza, często ukrytego, a także odkształcanego przez to, co zewnętrzne.

Książka ta jest napisana w formie eseistycznej z myślą o szerszym kręgu czytelników i skierowana do tych wszystkich, którzy nie żyją dla wartości materialnych czy dla kariery; do tych, którzy przez pryzmat siebie potrafią dostrzec innego człowieka oraz uwierzyć w sens oddawania się wartościom przekraczającym wymiar zabiegów o utrzymanie się przy życiu. Uwaga koncentruje się w niej na stanach wewnętrznych człowieka wraz z przekonaniem przewijającym się we wszystkich rozdziałach, że właśnie one powinny warunkować poczynania i sens istnienia, niezależnie od warunków, w których przyszło nam żyć. Dlatego tak niewiele na temat okoliczności historycznych, gospodarczych, politycznych.

Może zastanawiać brak rozdziału o szczęściu w pracy poświęconej niepokojom codzienności. Ale jest tak nie tylko dlatego, że mój punkt widzenia przedstawiłam już wcześniej w książce *Zdrowie Psychiczne*. Niepodjęcie tutaj tego tematu mam głębsze uzasadnienie; uważam, że szczęście nie jest celem ludzkiego życia, ale wynikiem dążenia do tych wartości, o których mówi się w tej książce. A więc do przyjaźni, miłości, rozwoju wewnętrznego, porozumienia, twórczości i, ogólnie, urzeczywistniania tych celów, które czynią nasze życie wartościowym.

Nie napisałam też rozdziału o potrzebach człowieka, bowiem ich klasyfikacja w literaturze naukowej jest niezmiernie zróżnicowana, i myślę, że jałowym zabiegiem byłoby przedkładanie jeszcze jednej propozycji. Dlatego wystrzegam się terminu „potrzeby”, chociaż niewątpliwie piszę

o nich pośrednio. Również kryteria dobra i zła pozostały poza tymi rozważaniami. Uważam, że każda dziedzina ma właściwe dla siebie kryteria, a dobro i zło należą do obszaru filozofii moralnej. Ponieważ piękno, jak twierdzą, nie wiąże się w sposób konieczny z dobrem, więc mogłam pisać o twórczości, nie poruszając tego problemu. Mówi się wiele na temat dobra i zarazem czyni tak wiele zła, że pustobrzmiące wydają się nieraz moralne nakazy, rzadko, zresztą, przez wielu rozumiane jednoznacznie. Może, mówmy więc o wewnętrznym poczuciu słuszności i niech ono wyznacza nam drogę?

Książkę niniejszą można traktować jako kontynuację zbioru moich esejów, zatytułowanych *Człowiek wobec siebie i wobec innego*. Zainteresowanie i oddźwięk Czytelników skłania mnie do podzielenia się dalszym ciągiem przemyśleń i przeżyć. Zresztą, już wcześniej, zwłaszcza we wprowadzeniu do *Dociekań nad prawem natury czyli o potrzebach człowieka*, dawałam wyraz zainteresowaniu antropozofią. Doprowadziło mnie to do zarysowania – właśnie tu – podstaw nowej dziedziny: filozofii codzienności. Pozostaje ona w zgodzie z duchem polskiej filozofii narodowej, którą znamionuje przede wszystkim dążność życiowa, praktyczna, a nie pogrążanie się w spekulacjach oderwanych od życia.

Nim zakończę, niech mi będzie wolno wspomnieć moją drogę filozoficzną od równoległych studiów na wydziałach filozofii i prawa poprzez doktorat i habilitację do długotrwałych usiłowań przywrócenia w Polsce znaczenia filozofii prawa, która zamilkła zasadniczo w latach 50-tych naszego stulecia. Filozofia prawa doprowadziła mnie właśnie do filozofii człowieka, ta zaś do filozofii codzienności. Ta ostatnia dziedzina sprawdza się, może, w doświadczeniu każdego z nas wyraziściej niż poczucie istnienia prawa natury (naturalnego), którego teorię zarysowałam we wcześniej wydanych książkach filozoficznych.

Pragnę jeszcze wspomnieć, że niektóre z esejów opublikowałam

wcześniej w „Przeglądzie Humanistycznym”, „Życiu Literackim”, „Literaturze”, „Przemianach”, zaś ogłoszone w „Tygodniku Polskim”, były opatrzone winietą *niepokoju codzienności*. A więc myśl o potrzebie filozofii codzienności narastała, w przybliżeniu, od siedmiu lat. Niniejsza książka, rezultat moich usiłowań, została pomyślana nie jako zbiór ostatecznych rozstrzygnięć, lecz jako propozycja mająca na celu pobudzenie refleksji własnych Czytelnika. A jeśli wzmocni ona pogląd o potrzebie filozofii i jej niezbędnym miejscu w naszej codzienności, to tym samym zmniejszy się brak zaufania do tej najstarszej dziedziny wiedzy.

Filozofia codzienności, która ma pomagać w odnajdywaniu sensu istnienia, pogłębiać nasze trwanie w chwili przemijającej, pobudzać do działania i rodzić wiarę w siebie wbrew otoczeniu – spełniać może szczególną rolę w okresach osamotnienia i braku przyjaźni. Przy czym wymaga rozwoju naszego poznawania intelektualnego na równi z rozwojem i troską o świeżość przeżyć, kulturę uczuć i niegasnącą wrażliwość.

